

CHARLES
FOSTER



INTYMNE ZBLIŻENIE Z NATURĄ

ZWIERZĘ

Majstersztyk współczesnej literatury przyrodniczej!

THE GUARDIAN

JAK ZWIERZĘ

CHARLES
FOSTER

JAK

INTYMNE ZBLIŻENIE Z NATURĄ

ZWIERZĘ

Przekład
JACEK KONIECZNY



WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Tytuł oryginału: *Being a Beast: Adventures Across the Species Divide*

Copyright © Charles Foster, 2016

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadząca: Monika Długa

Redakcja: Natalia Szczepkowska

Korekta: Anna Wawrzyniak-Kędziorek

Projekt typograficzny i łamanie: Barbara Adamczyk

Projekt okładki, stron tytułowych i wyklejki: Urszula Gireń

Ilustracje: Magdalena Bloch

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

eISBN 978-83-7976-770-0

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@wydawnictwopoznanskie.com

www.wydawnictwopoznanskie.com

*Mojemu ojcu,
który nigdy nie wracał do domu bez znalezionej przy drodze
zwierzęcia,
który płacił za moją formalinę i moje szklane oczy,
którego kocham i szanuję.*

Pytając, czym jest zwierzę, a także czytając dziecku bajkę o psie, czy walcząc o prawa zwierząt, zastanawiamy się też, czym różni się bycie człowiekiem od bycia zwierzęciem. Zastanawiamy się, czym jest człowiek.

Jonathan Safran Foer, *Zjadanie zwierząt*^[1]

^[1] Jonathan Safran Foer, *Zjadanie zwierząt*, przeł. Dominika Dymińska, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2013, s. 52.

Od autora

Chcę wiedzieć, jak to jest być dziką istotą.

Może mi się to nawet udać. Wesprę się wprawdzie neurobiologią, a także odrobiną filozofii i dużą dawką poezji Johna Clare'a, ale moje zadanie sprowadzi się w głównej mierze do powolnego schodzenia na niebezpiecznie niskie konary drzewa ewolucji; zagrzebywania się w norze wykopanej w walijskiej górze, odwracania kamieni w rzece przepływającej przez hrabstwo Devon, poznawania stanu nieważkości, kształtu wiatru, doświadczenia nudy oraz tego uczucia, kiedy mierzwa włazi do nosa, dygotania i wsłuchiwania się w trzaski wysychających rzeczy.

Literatura przyrodnicza przedstawiała zwykle ludzi przechadzających się z kolonialną pewnością siebie po dzikich terenach i opisujących je z perspektywy 180 centymetrów albo ludzi udających, że zwierzęta noszą ubrania. Moja książka jest próbą spojrzenia na świat z perspektywy nagusieńkich walijskich borsuków, londyńskich lisów, wydr z parku narodowego Exmoor, jerzyków z Oksfordu i jeleni szlachetnych z West Country; przekonania się na własnej skórze, co to znaczy pokonywać truchtem albo lotem koszącym przestrzeń konstruowaną w większym stopniu w oparciu o informacje węchowe i dźwiękowe niż wzrokowe. To coś w rodzaju literackiego

szamanizmu — a zarazem przedniej zabawy.

Kiedy idziemy przez las, mamy do dyspozycji ten sam zbiór danych (światło, barwy, zapachy, dźwięki, i tak dalej) co wszystkie mieszkające w nim istoty. Czy jednak którakolwiek z nich rozpoznałaby nasz opis tego miejsca? Każdy organizm wytwarza sobie w mózgu inny obraz otoczenia. I potem w takim właśnie świecie żyje. Otaczają nas miliony innych światów. Poznawanie ich jest fascynującym wyzwaniem neurobiologiczno-literackim.

Neurobiologia czyni ogromne postępy: na przykład dzięki badaniom pokrewnych gatunków wiemy, a przynajmniej potrafimy odgadnąć, co dzieje się w nosie borsuka oraz w węchowych obszarach jego mózgu, kiedy przemierza świat. Ale to przecież zaledwie pierwszy krok w naszej literackiej podróży. Nawet jeśli, posiłkując się obrazami rezonansu magnetycznego, opiszemy, które części mózgu uaktywniają się u borsuka, kiedy wyczuwa on zapach ślimaka, zupełnie innym wyzwaniem będzie odmalowanie obrazu całego lasu tak, jak go postrzega borsuk.

Tradycyjna literatura przyrodnicza popełniała dwa grzechy: antropocentryzmu i antropomorfizmu. Antropocentryści opisują naturę w taki sposób, w jaki jawi się ona ludziom, a ponieważ piszą książki dla ludzi, ma to pewnie głęboki sens z komercyjnego punktu widzenia. Tyle że jest dość nudne. Antropomorfiści zakładają, że zwierzęta przypominają ludzi i ubierają je w dosłowne (jak Beatrix Potter) lub metaforyczne (jak Henry Williamson) szaty, a także wyposażają w nasze receptory zmysłowe i ludzki sposób rozumowania.

Starałem się wystrzegać obu tych grzechów — oczywiście na próżno.

Opisuję świat takim, jakim go widzi borsuk, lis, wydra, jeleni szlachetny i jerzyk. Posługuję się w tym celu dwiema

metodami. Po pierwsze pochłaniam literaturę psychologiczną poświęconą pokrewnej tematyce, aby stwierdzić, co na temat funkcjonowania tych zwierząt udało się ustalić nauce. Po drugie zanurzam się w ich świecie. Kiedy jestem borsukiem, żyję w norze i jem dżdżownice. Jako wydra próbuję łapać ryby zębami.

Referowaniu odkryć psychologicznych towarzyszy ryzyko przynudzenia albo hermetyczności. Opisowi, jakie to uczucie jeść dżdżownicę — ryzyko zrobienia z siebie kompletnego idioty.

Receptory zmysłowe pozwalają zwierzętom odmalowywać obraz otoczenia za pomocą znacznie szerszej palety kolorów, niżby mógł to zrobić jakikolwiek ludzki artysta. Niezwykle bliski związek zwierząt z ich środowiskiem sprawia, że konstruuje one w umysłach swój świat ze znacznie większą pewnością niż (nawet) rolnik z dziada pradziada, którego przodkowie zdążyli od czasów neolitu zajrzeć pod każdy kamień w okolicy.

Książka ta skupia się na czterech żywiołach, z których, według starożytnych, składał się świat. Każdemu przypisane jest inne zwierzę: ziemi — borsuk, który drąży w niej tunele, i jeleń szlachetny, który po niej galopuje; ogniovi — miejski lis żyjący w jasno oświetlonym świecie; wodzie — wydra; powietrzu — jerzyk: najbardziej zagorzały miłośnik przestworzy, który śpi w locie, utrzymując się w nocy w powietrzu dzięki prądom termicznym, i rzadko kiedy ląduje. Jeśli zmieszamy te żywioły w odpowiedniej proporcji, wydarzy się coś magicznego.

Rozdział 1 przedstawia problemy związane z obranym przeze mnie podejściem i próbuje się zawczasu uporać z niektórymi z nich. Jeżeli moja metodologia nie budzi waszych wątpliwości, możecie wskoczyć od razu do nory borsuka w Rozdziale 2.

Rozdział 2 został poświęcony właśnie borsukom. Jego akcja rozgrywa się w masywie Black Mountains w Walii, gdzie spędziłem kilka tygodni o różnych porach roku. Na przestrzeni kilku lat przesiedziałem w sumie pod ziemią około sześciu tygodni, nie tylko w Walii. Rozdział ten jest kolażem rozmaitych doświadczeń.

Będzie to dość długi rozdział. Zawiera wprowadzenie do wielu zagadnień i paru idei naukowych, które okażą się istotne później — na przykład do pojęcia pejzażu zbudowanego raczej z informacji węchowych niż wizualnych. Kolejne rozdziały będą krótsze właśnie dzięki informacjom zawartym w Rozdziale 2.

Rozdział 3 opowiada o wydrach — wędrowcach pokonujących ogromne odległości. Ich „lokalność” rozciąga się na znacznie większy obszar niż w przypadku innych omawianych tu ssaków. Ponieważ wydry przemieszczają się tuż przy ziemi, poznanie tras ich wędrówek jest równoznaczne z zagłębieniem się w fałdy krajobrazu. Wydry żyją w rozcieńczonych roztworach świata. My również, choć zazwyczaj sobie tego nie uświadamiamy. Nasi wspólni przodkowie wyszli z wody, a wydry do niej wróciły. Nie był to całkowity powrót, przez co są nam bliższe niż ryby.

Akcja tego rozdziału rozgrywa się w parku narodowym Exmoor, gdzie i tak spędzam większą część roku. Zgodnie ze zwyczajami wydr poruszałem się po sporym obszarze, choć głównie na rzekach East Lyn i Badgworthy Water oraz w strumieniach, które dopływają do nich z położonych wyżej wrzosowisk, oraz na północnym wybrzeżu hrabstwa Devon, gdzie uchodzą obie rzeki.

Rozdział 4 to spojrzenie na ludzkich mieszkańców miast przez pryzmat lisich oczu, uszu i nosa. Rozgrywa się w londyńskim East Endzie, gdzie mieszkałem przez wiele lat. Przemierzałem wtedy nocami ulice, wypatrując lisich rodzin.

W Rozdziale 5 wracam do Exmoor i na szkockie Western Highlands, aby spędzić trochę czasu wśród jeleni szlachetnych. Widujemy je czasami przez okna samochodów i wydaje nam się, że znamy je lepiej od pełzających, zagrzebujących się w ziemi istot. Nasza mitologia uprawomocnia tę zarozumiałość, a jednocześnie ją podważa. Rogaci bogowie przemykają z gracją przez naszą podświadomość. Są wielcy i doskonale widoczni, ale pozostają bogami i znikają, ledwie wyczuwając nasze spojrzenia.

Przez sporą część swojego życia próbowałem zabić jelenia. Ten rozdział przedstawia polowanie innego rodzaju — próbę wejścia w głowę tego zwierzęcia, a nie podkradnięcia się na odległość dwustu metrów od jego serca.

Rozdział 6 poświęciłem jerzykom, a jego akcja rozgrywa się w powietrzu między Oksfordem a Afryką Środkową. Jerzyki to królowie przestworzy. Wydają się równie nieważkie co mikroskopijne meduzy. Fascynowały mnie już we wczesnym dzieciństwie. Kiedy piszę te słowa w moim oksfordzkim gabinecie, metr nad moją głową pokrzykuje parka jerzyków, które uwiły tam gniazdo. Kawałek dalej, dokładnie na wysokości mojego wzroku, jerzyki urządzają koncerty. Odbyłem podróż śladem tych ptaków przez Europę do zachodniej Afryki.

Rozdział ten rozpoczyna się od zestawienia „faktów”, które wiele osób ze zrozumiałych powodów uzna za kontrowersyjne albo tendencyjne. Zdaję sobie sprawę z tego, że dowody przemawiające za wieloma z przedstawionych tam tez są mocno dyskusyjne. Nie zrażajcie się jednak, proszę, i wytrwajcie chwilę dłużej.

Wybierając jerzyki, postawiłem się na z góry przegranej pozycji. Trudno zrozumieć, dlaczego to zrobiłem. Żadne słowa nie pozwolą choćby zbliżyć się do wiernego opisu życia

tych ptaków. Tyle tytułem usprawiedliwienia podejścia, które przyjąłem w tym rozdziale.

W Epilogu podsumowuję moją podróż przez pięć wszechświatów. Czy okazała się daremna? Czy opisałem cokolwiek poza wnętrzem mojej własnej głowy?

Miałem nadzieję stworzyć pracę w dużej mierze albo całkowicie wyzuta z mojej osoby. Jakże to było naiwne! Książka okazała się (w zbyt wielkim stopniu) poświęcona mojemu własnemu udziczeniu, odkrywaniu niedostrzeganej przeze mnie uprzednio dzikości w samym sobie oraz rozżaleniu nad jej utratą. Przepraszam.

Oksford, październik 2015



1.

Jak stawałem się zwierzęciem

Jestem człowiekiem. Przynajmniej w tym sensie, że moi rodzice byli ludźmi.

Ma to pewne konsekwencje. Nie mogę na przykład spłodzić dzieci z lisem. Jakoś się z tym pogodziłem.

Mimo to granice między gatunkami są, jeśli nie iluzoryczne, to z pewnością nieprecyzyjne, a czasami częściowo otwarte. Potwierdzi to każdy biolog ewolucyjny czy szaman.

Minęło zaledwie 30 milionów lat — mgnienie oka na Ziemi, gdzie życie ewoluuje od około 3,4 tysiąca milionów lat — odkąd miałem z borsukiem wspólnego przodka. Jeżeli cofniemy się o dalsze 40 milionów lat, będę wchodził w skład jednej rodziny nie tylko z borsukami, ale również z mewami srebrzystymi.

Wszystkie opisane w tej książce zwierzęta są w miarę blisko spokrewnione. To niezbity fakt. Jeżeli wydaje się to nieprawdopodobne, świadczy to tylko o tym, że nasze odczucia są biologicznymi analfabetami. I trzeba je poddać reedukacji.

W Księdze Rodzaju znajdziemy dwa opisy stworzenia. Jeżeli ktoś chciałby za wszelką cenę uznać je za źródło wiedzy historycznej, powinien wiedzieć, że są ze sobą całkowicie sprzeczne. W pierwszym człowiek został stworzony jako ostatnia istota. W drugim — jako pierwsza. Oba mają nam jednak do powiedzenia wiele ciekawych rzeczy na temat naszych relacji ze zwierzętami.

W pierwszym opisie człowiek został stworzony szóstego

dnia wraz ze wszystkimi zwierzętami lądowymi. Wynikałoby z tego, że jesteśmy w podobnym wieku. Obchodzimy urodziny tego samego dnia.

W drugim opisie w Księdze Rodzaju zwierzęta zostały stworzone specjalnie po to, by dotrzymywać towarzystwa Adamowi. Samotność mu nie służyła. Ale wysiłki Boga poszły na marne: zwierzęta nie zapewniły Adamowi wystarczającego towarzystwa, dlatego stworzona została również Ewa. Adam ucieszył się na jej widok. „Nareszcie!”, wykrzyknął. Jest to okrzyk, który każdy z nas albo zdążył już wydać, albo ma nadzieję wydać pewnego dnia. Niektórych stanów samotności nie ukoji nawet kot. Nie oznacza to jednak, że boski plan okazał się całkowitym niewypałem — że zwierzęta pozostają dla nas całkowicie bezużyteczne jako towarzysze. Doskonale wiemy, że to nieprawda. Świadczy o tym choćby ogromny rynek karmy dla psów.

Adam nadał nazwy wszystkim ssakom i ptakom, zawiązując w ten sposób więź, która legła u podłoża jego i ich tożsamości. Pierwszymi wypowiedzianymi przez niego słowami były nazwy^[2]. Wypowiadane przez nas słowa i używane określenia wpływają na to, kim jesteśmy. Adam został ukształtowany przez swoje relacje ze zwierzętami. Te relacje i ich konsekwencje są zresztą niepodważalnymi faktami historycznymi. Dorastaliśmy pośród zwierząt, które pełniły rolę naszych nianiek. Nauczyły nas chodzić, przytrzymując nas łapami pod ramię, kiedy wciąż poruszaliśmy się chwiejnym krokiem. Nazwy — które oznaczają kontrolę — ukształtowały z kolei zwierzęta. Jest to oczywisty, a często i tragiczny w skutkach fakt (przynajmniej dla zwierząt). Ze zwierzętami łączy nas nie tylko genetyczne pokrewieństwo i ogromna wspólna część DNA, ale również historia. Chodziliśmy do tej samej szkoły. Nie dziwny się

zatem, że czasami porozumiewamy się tymi samymi językami.

Człowiek przemawiający do swojego psa zaprzecza tezie o nieprzekraczalnej granicy oddzielającej oba gatunki. Wykonuje pierwszy i najważniejszy krok na drodze do stania się szamanem.

Jeszcze do niedawna ludziom nie wystarczała rola doktorów Dolittle'ów. Owszem, przemawiali oni do zwierząt; owszem, zwierzęta im odpowiadały. Tyle że nie odzwierciedlało to w wystarczającym stopniu zażyłości ich relacji. Niewiele z tego również wynikało. Zwierzęta nie chciały zdradzać niebezpiecznych, cennych sekretów, na przykład kierunku, w którym miało się udać stado w razie suszy, albo powodów, dla których ptaki opuściły przybrzeżne błota po północnej części jeziora. Aby uzyskać tego rodzaju informacje, należało z ekstatycznym uporem opowiedzieć się za tezą o wspólnym pochodzeniu. Trzeba było tańczyć w rytm bębnow wokół ogniska, aż odwodnionemu w ten sposób człowiekowi krew zaczynała tryskać z pękających naczyń włoskowatych; albo stać w lodowatej rzece i monotonnie zawodzić tak długo, aż miało się poczucie, że dusza wypływa nam przez usta niczym wymiociny; albo najeść się czerwonych muchomorów, wzbudzając w sobie w ten sposób poczucie, że unosimy się ku koronom drzew. Następnie należało przebić tę membranę, która oddziela nasz świat od pozostałych światów, nasz gatunek od pozostałych gatunków. Człowiek przeciskał się przez nią w tym epifanicznym wysiłku i zapadał w niej niczym w worku owodniowym. Opuszczał w nim ciało swojej ludzkiej matki i wylaniał się z niego jako wilk albo antylopa gnu.

Tego rodzaju transformacje są przedmiotem najwcześniejszych przykładów działalności artystycznej

człowieka. W paleolicie górnym, kiedy to, jak się wydaje, ludzka świadomość rozbłysła po raz pierwszy w neuronalnym buszu stworzonym przez ewolucję, człowiek wpełzał do jaskiń, owych zimnych macic, i malował na ścianach wizerunki terianotropów — zwierzęco-człowieczych hybryd: ludzi z głowami i kopytami dzikich bestii; zwierzęta z ludzkimi rękami i dzidami.

Religia zachowała terianotropiczną naturę nawet w zurbanizowanych, uporządkowanych kulturach Egiptu i Grecji. Helleńscy bogowie nieustannie zmieniali się w zwierzęta, żeby podglądać śmiertelników. Egipska sztuka religijna jest kolażem ludzkich i zwierzęcych części ciała. Tradycja ta znajduje oczywiście kontynuację w hinduizmie. Kiedy piszę te słowa, spogląda na mnie podobizna słoniogłowego boga Ganeśy. Dla milionów ludzi na cześć zasługują jedynie bogowie amfibiotyczni — ci, którzy potrafią przemieszczać się między światami. Światy te reprezentowane są przez ludzkie i zwierzęce formy. Wydaje się to wyrazem odwiecznej i szczerzej potrzeby zjednoczenia światów człowieka i zwierząt.

Znają ją doskonale dzieci, u których nie zaniknęła ona jeszcze w takim stopniu jak u dorosłych. Przebierają się za psy. Malują twarze, aby upodobnić się do tygrysów. Kładą się do łóżek z misiami i chcą trzymać klatkę chomika w swojej sypialni. Przed snem proszą rodziców, żeby przeczytali im jakąś bajkę o zwierzętach, które ubierają się i mówią jak ludzie. Piotruś Królik i kaczka Tekla Kałużyńska z powieści Beatrix Potter to współczesne szamańskie terianotropie.

Sam taki byłem. Za wszelką cenę chciałem być bliżej zwierząt. Częściowo wynikało to z przekonania, że wiedzą one coś, czego ja nie wiem, a co, z jakichś nieodgadzionych powodów, wiedzieć powinienem.

W naszym ogrodzie mieszkał kos, którego żółto-czarne oko sprawiało wrażenie wszytkowiedzącego. Doprowadzało mnie to do szału. Obnosił się z tą swoją wiedzą, a tym samym dawał mi odczuć moją ignorancję. Mrugające oko kosa wydawało się pokazywać migawki starej mapy ze skarbem piratów. Widziałem krzyżyk wskazujący miejsce ukrycia skarbu; wiedziałem, że zakopano tam niewyobrażalne wspaniałości, które całkowicie odmieniłyby moje życie — gdyby tylko udało mi się je odnaleźć. Za nic jednak nie mogłem dopatrzeć się lokalizacji tego krzyżyka.

Próbowałem wszystkiego. Zanudzałem innych opowieściami o kosie. Godzinami przesiadywałem w pobliskiej bibliotece, zgłębiając każdą książkę, która choćby wspominała o kosach; zdobytą wiedzę zapisywałem w zeszycie. Sporządziłem mapę gniazd kosów w okolicy (głównie w podmiejskich żywopłotach), odwiedzałem je każdego dnia, nosząc ze sobą krzeselko. W podwędzonej książce rachunkowej sporządzałem drobiazgowo raporty z poczynionych obserwacji. W jednej z szuflad w sypialni trzymałem skorupki jajek kosów. Obwąchiwałem je co rano, próbując wejść w umysł pisklęcia, aby któregoś dnia upodobnić się do kosa; obwąchiwałem je też wieczorami, w nadziei, że we śnie odrodzę się jako kos. Miałem kilka ususzonych języków, które wyrwałem szczypcami z dziobów kosów zabitych przez samochody — spoczywały na pierzynkach z waty w pudełkach po zapalniczkach marki Swan Vestas. Moją kolejną pasją było wypychanie zwierząt: kosy z rozłożonymi skrzydłami krążyły nad moim łóżkiem, zawieszane pod sufitem na nitkach, a z drewnianych półek spoglądały na mnie bardziej zdeformowane osobniki. Przy łóżku trzymałem mózg kosa w formalinie. Obracałem nieustannie słoik w dłoniach, próbując wwiercić się w umysł ptaka. Często zasypiałem z nim w dłoniach.

Na próżno. Kos pozostawał równie nieprzenikniony co wcześniej. Jego nieprzemijająca tajemniczość okazała się jednym z najcudowniejszych zrządeń losu. Gdybym jako dziecko choćby na chwilę nabrał przekonania, że zrozumiałem jego sekret, zakończyłoby się to katastrofą. Mógłbym skończyć jako nafciarz, bankier albo alfons. Pojawiające się na wczesnym etapie życia przekonanie, że się wszystko potrafi albo rozumie, zamienia ludzi w potworów. Tajemnicze kosi do dziś poskramiają moje ego i utwierdzają mnie w przekonaniu, że wszystkie istoty — w tym, a może zwłaszcza, ludzie — są nieprzeniknione.

Nie oznacza to jednak, że nie możemy poradzić sobie lepiej niż ja z kosami. Bynajmniej.

Absolutnie nie wątpię w realność prawdziwej szamańskiej transformacji. Sam jej nawet doświadczyłem: opowieścią o czarnowronie podzielię się z wami kiedy indziej. Było to jednak doświadczenie męczące i, przynajmniej dla mnie, stanowczo zbyt przerażające, abym zdecydował się do niego regularnie powracać. Jest zbyt dziwaczne, by większość ludzi mogła uwierzyć w jego skuteczność. Istnieje zapewne wiele powodów do lektury książki o byciu borsukiem, napisanej przez osobę, która zażyła środki halucynogenne u siebie w domu i której wydawało się, że zamieniła się w to zwierzę, niemniej nie dowiemy się w ten sposób niczego nowego o borsukach ani lasach liściastych.

To samo można powiedzieć o pseudoszamanizmie J.A. Bakera, o którego kanonicznej książce *The Peregrine* można powiedzieć, że uczyniła dla jednego gatunku to, co ja próbuję tu zrobić dla pięciu. Baker podążał wszędzie za swoimi sokołami wędrownymi i w pewnym sensie sam się do nich upodobnił. Deklaruje otwarcie, że jego celem było unicestwienie własnego „ja”: „Gdziekolwiek tej zimy uda się [sokół wędrowny], tam podążę i ja. Będę z nim dzielił strach,

uniesienie, nudę i życie myśliwego. Będę za nim podążał tak długo, aż moja drapieżna ludzka sylwetka przestanie rzucać cień na rozedrgany kalejdoskop kolorów, który zabarwia dołek środkowy jego wspaniałego oka. Moja pogańska głowa zanurzy się w zimowym krajobrazie i ulegnie oczyszczeniu”.

Jeżeli mielibyśmy wierzyć Bakerowi, cel ten udało się zrealizować. Autor zaczął podświadomie naśladować ruchy jastrzębia, a w jego mowie zaimki zmieniły się z „ja” na „my”: „Wiedziemy w tych dniach żywot na otwartej przestrzeni, to samo ekstatyczne podszyte lękiem życie”.

Podziwiam Bakera jak mało kto, ale nie potrafiłbym podążać tą samą drogą. Nie noszę w sobie jego zdesperowanej udręki, jego pragnienia rozwodnienia własnego „ja” ani jego przekonania, że rozpustny świat przyrody, w którym nagminnie ukręca się głowy i rozbebesza dzieci, w większym stopniu uosabia moralność niż jakiegokolwiek rozwiązanie stworzone lub praktykowane przez ludzi. Rozpłynięcie się, jako metoda, stwarza również zasadnicze problemy natury literackiej. Jeżeli J.A. Baker miałby naprawdę zniknąć, kto w takim razie opowiada jego historię? A jeżeli nie znika, dlaczego mielibyśmy ją traktować poważnie? Baker próbuje rozwiązać ten dylemat, tworząc (jak zauważa Robert Macfarlane) nowy język: bezskrzydłe rzeczowniki pikują i poruszają się lotem ślizgowym; kopiące nory czasowniki wykonują salta na skraju atmosfery; przysłówki dopuszczają się haniebnych czynów. Uwielbiam tę obcość, ale dowiaduję się z niej więcej o języku niż o sokołach wędrownych. Nieustannie powraca pytanie: Kto mówi? Sokół wędrowny, którego wyposażono w wykształcenie uzyskane na Cambridge? Czy Baker zsokolony? Ani przez chwilę nie jesteśmy tego pewni, dlatego ta metoda nigdy w pełni nie przekonuje. Ma w sobie pewną poetyckość, ale ani na moment nie odsłania kart.

Pomijając może szamańskie transformacje, zawsze będzie istniała granica między mną a obserwowanymi przeze mnie zwierzętami. Trzeba się z tym zwyczajnie pogodzić i próbować tę granicę możliwie dokładnie wyznaczyć — przynajmniej dla spójności wywodu. Byłoby czymś dość prozaicznym móc oznaczyć każde zdanie z tej książki stwierdzeniem: „Charles Foster pisze tu o dzikim zwierzęciu” — w odróżnieniu od: „Możemy tu mieć do czynienia z mistyczną wypowiedzią człowieka-borsuka” — ale zwiększyłyby to znacznie przejrzystość wywodu.

Moja metoda polega zatem na podejściu do tej granicy tak blisko, na ile to możliwe, i zajrzeniu za nią za pomocą wszystkich możliwych narzędzi. Proces ten różni się zasadniczo od zwykłej obserwacji. Typowy obserwator, skulony w zamaskowanej kryjówce z lornetką w dłoni, nie zawraca sobie głowy poruszającym pytaniem Anaksymandra: „Co widzi sokół?”, nie wspominając o jego współczesnym, szerszym, neurobiologicznym przeformułowaniu: „Jakiego rodzaju świat powstaje w umyśle sokoła za sprawą przetwarzania przez niego danych dostarczanych przez receptory zmysłowe i interpretowania ich zgodnie z jego zapisem genetycznym i zdobytym uprzednio doświadczeniem?”. To są właśnie pytania, które sobie zadaję.

Do międzygatunkowej granicy możemy podejść zaskakująco blisko w dwóch miejscach. Właśnie tam ustawiłem swoje kryjówki. Miejscami tymi są fizjologia i pejzaż.

Fizjologia: z powodu naszego bliskiego ewolucyjnego pokrewieństwa jestem, przynajmniej pod względem zestawu receptorów zmysłowych, dość podobny do większości zwierząt opisanych w tej książce. W sytuacjach, kiedy to podobieństwo jednak nie zachodzi, istnieje zasadniczo

możliwość opisanania i (z grubsza) zmierzenia tych różnic.

Zarówno ssaki, do których sam się zaliczam, jak i ptaki, używają na przykład narządów ścięgnistych Golgiego, ciałek Ruffiniego i wrzecionek nerwowo-mięśniowych do określania położenia w przestrzeni różnych części swojego ciała, a dzięki wolnym zakończeniom nerwowym mogą podskoczyć, kiedy coś je przerazi lub oparzy. Jako człowiek zbieram i przesyłam do mózgu nieobrobione dane gromadzone przez zmysły bardzo podobnie jak większość ssaków i ptaków.

Analizując rozmieszczenie i zagęszczenie różnego rodzaju receptorów, możemy określić typ i natężenie sygnałów przesyłanych do mózgu. Weźmy na przykład ostrygojada, który penetruje dziobem piasek w poszukiwaniu robaków. Na końcu jego dzioba znajduje się duża liczba komórek Merkla, ciałek Herbst, ciałek Grandry'ego, ciałek Ruffiniego i wolnych zakończeń nerwowych. W mokrym piasku, na skutek dziobnięcia, rozchodzą się fale uderzeniowe, a sieć receptorów wykrywa — na podobieństwo sonaru w łodzi podwodnej — nieciągłości w powracającym sygnale, które mogą wskazywać na obecność robaka. Część receptorów, zdolnych do wykrycia drobnych wibracji, wychwytuje ocieranie się włosków robaka o ściany jego jamki. Gdybyśmy mieli porównać to doświadczenie do ludzkich doznań, najbardziej przypominałoby seks. Jeden z mocniejszych argumentów przeciwko obrzezaniu mówi, że mężczyzna w mniejszym stopniu przypomina wtedy ostrygojada. Po wewnętrznej stronie napletka występuje bowiem podobne nagromadzenie komórek Merkla i innych receptorów, które są przyjemnie pocierane w czasie stosunku płciowego (biedna żołądz zawiera zaledwie kilka wolnych zakończeń nerwowych, często niemal całkowicie wyrugowanych na skutek dziesięcioleci masturbacji i ocierania się o szorstkie

spodnie). Polowanie na robaki przez ptaki brodzące w ujściach rzek powinno zatem mieć, pod względem natężenia sygnału, wymiar iście tektoniczny. To zupełnie tak, jakbyśmy chodzili między regałami w hipermarkecie w stanie nieustającego rozedrgania i docierali na skraj orgazmu, ilekroć zobaczymy ulubione płatki śniadaniowe.

Okazuje się jednak, że jest inaczej. Wszystko za sprawą przetwarzania informacji w mózgu. Gdybyśmy uszkodzili korę mózgową największego ogiera pośród niemieckich gwiazdorów filmów porno, biedak nie przeżyłby już nigdy orgazmu. To nieprawda, że mózg męczyzny znajduje się w spodniach. Źródło satysfakcji nawet najbardziej bezwzględnego gwałciciela zlokalizowane jest w głowie. Podobnie ostrygojad wyczuwa robaki piaskowe tylko w głowie.

I tu pojawia się istotny dla mnie problem: jak przebiega tajemniczy proces przekładania się sygnału na działanie czy doznanie? Świat, w którym żyję, jest wytworem mojego umysłu. Całkowicie unikalnym. Nawiązywanie intymnych relacji z innymi ludźmi polega na zdobywaniu umiejętności oprowadzania ich po własnym wnętrzu. Poczucie osamotnienia jest druzgocącym przekonaniem, że nawet jeśli dobrze radzimy sobie z formułowaniem tego rodzaju zaproszeń, nikt nie będzie miał okazji nas odwiedzić.

Nie możemy jednak ustawać w wysiłkach. Jeżeli damy w tej kwestii za wygraną w odniesieniu do ludzi, zamieniamy się w żalosnych mizantropów. Jeżeli damy za wygraną w odniesieniu do świata przyrody, zaczynamy w bezmyślny sposób budować obwodnice, zakładać pułapki na borsuki albo stajemy się samolubnymi mieszcuchami.

Nie jesteśmy zupełnie bezsilni. Przeczytałem wiele książek poświęconych fizjologii i starałem się stworzyć mapy somatosensoryczne moich zwierząt, czyli schematy

przedstawiające części ciała w taki sposób, żeby rozmiarami odzwierciedlały ich znaczenie dla umysłu. Ludzie mają na nich wielkie dłonie, twarze i genitalia, ale patykowate, niewykorzystywane torsy. Mysiom wyrastają wielkie siekacze upodabniające je do tygrysów szablozębnych (rodem z koszmarów sennych jaskiniowców), wielkie łapy i wąsy grube niczym węże ogrodowe.

Należy ostrożnie podchodzić do obrazów somatosensorycznych: nie mówią nam one nic o charakterze samego przetwarzania danych ani o jego rezultacie. Pokazują, jaka ilość oprzyrządowania została przypisana do wąsów, ale nie wspominają o tym, że mysz żyje w świecie, który z jej perspektywy składa się głównie z nich. Niemniej jest to dobry punkt wyjścia.

Możemy również pokusić się o ostrożne porównania z naszymi własnymi reakcjami na określone sytuacje.

Choć w ostatecznym rozrachunku wszystko zależy od sposobu przetwarzania danych, można chyba rozsądnie założyć, że kiedy lis i ja następujemy na drut kolczasty, „doświadczamy” czegoś podobnego. Użycie cudzysłowu jest istotne w przypadku lisa. Powrócę do tego wątku później, tu jednak, posługując się cudzysłowem, chcę tylko stwierdzić, że receptory bólu w łapie lisa i w mojej stopie uaktywniają się w zasadzie w identyczny sposób i wysyłają impulsy elektryczne w zasadzie identycznymi kanałami obwodowego i centralnego układu nerwowego do mózgu, który je przetwarza i w obu wypadkach wysyła do mięśni komunikat: „Zdejmij łapę/stopę z drutu” — jeżeli z zadaniem tym nie uporała się już wcześniej odruchowa reakcja. Przetworzenie tej informacji przez mózg, zarówno u lisa, jak i u mnie, zakończy się utworzeniem reguły: „Nie stawaj więcej na drucie kolczastym: to nic przyjemnego”. Wejdzie ona w skład doświadczenia, które będzie dla nas ze wszech miar

wspólne. U każdego z nas miało ono identyczną z neurologicznego punktu widzenia genezę: obaj wiemy, jakie doznania towarzyszą nadeptaniu na drut kolczasty i jest to wiedza odmienna od tej, jaką posiadają ludzie i zwierzęta, które nigdy na niego nie nadeptęły. Zakładam, że istnieje wiele neurologicznych sekwencji, które można zasadnie uznać za wspólne dla mnie i jakiegoś zwierzęcia. Jeżeli w dolinie, w której oboje leżymy, wieje wiatr, oboje podobnie go odczujemy. Może on oczywiście dla nas znaczyć (i będzie znaczył) co innego. Lisowi powie przede wszystkim, że króliki zgromadzą się w lesie pod kasztanowcami; mnie — że robi mi się zimo i muszę założyć kolejną warstwę ubrania. Nie oznacza to jednak, że żadne z nas go nie odczuło. Doświadczenie jest wspólne, a różnic w znaczeniu można się domyślić dzięki obserwacji.

Jako ludzie mamy skłonność do umniejszania roli naszego doświadczenia zmysłowego — zakładamy, że wszystkie dzikie zwierzęta znacznie lepiej od nas wiedzą, jak się tę dzikość „je”. Podejrzewam, że próbujemy w ten sposób usprawiedliwić przed samymi sobą nasze żalośnie wyzute z doznań zmysłowych miejskie życie („Muszę mieszkać w domu z centralnym ogrzewaniem i kupować jedzenie w puszkach, ponieważ nie potrafiłbym żyć na drzewie i łapać wiewiórek”), a także podkreślić naszą rzekomą kognitywną przewagę nad zwierzętami („One mają ode mnie lepszy węch i słuch, ponieważ ja przeszedłem na wyższy poziom i nie potrzebuję już tego rodzaju prostych funkcji sterowanych przez pień mózgu. Węch nie jest mi potrzebny: posługuję się umysłem, który jest znacznie skuteczniejszym narzędziem”). Tak naprawdę wcale nie jesteśmy tacy słabi. Małe dzieci potrafią usłyszeć dźwięki o częstotliwości przekraczającej 22 tys. herców. To niewiele mniej od psa (średnio 40 tys. herców) i znacznie lepiej od cyranki (do 2 tys. herców)

i większości ryb (zazwyczaj niewiele ponad 500 herców). W niskich częstotliwościach radzimy sobie znacznie lepiej od większości małych ssaków. To dobry argument — jeżeli w ogóle jeszcze jakiegoś potrzeba — żeby nie chodzić do klubów. Nawet nasze powonienie, które, jak podejrzewamy, uległo atrofii na skutek zmian cywilizacyjnych, okazuje się (u większości) zaskakująco nienaruszone. I użyteczne. Trzy czwarte ludzi potrafi za pomocą węchu rozpoznać, którą z przedstawionych im koszulek mieli wcześniej na sobie. Ponad połowa trafnie wybiera taką koszulkę spośród dziesięciu innych. Czy wam się to podoba, czy nie, jesteście zwierzętami wyposażonymi w różne zmysły, które mają wszelkie szanse wyczuć to samo zapachowe, świetlne albo wibrujące zjawisko, co wasi kuzyni na polach i w lasach.

W wielu obszarach mamy wręcz przewagę. Lepiej rozwinięte zdolności kognitywne pozwalają nam uwzględniać w interpretacji świata fakt posiadania przez nas tych zdolności i naszą fizjologiczną odmiennność od zwierząt, a tym samym opisywać te aspekty, w których się od nich różnimy i te, w których jesteśmy do nich podobni. Ale przedstawiciel gatunku ludzkiego jest również z innych powodów lepiej predysponowany do napisania tej książki niż surykatka. Lepiej radzimy sobie w tworzeniu fizjologicznych uogólnień, co wynika z naszej wszystkożerności: surykatka zbyt koncentrowałaby się na doznaniach węchowych, żebyśmy mogli ją uznać za wiarygodną autorkę. Dysponujemy również przewagą perspektywy. Kiedy któraś z moich praprzodkiń, zamieszkująca sawannę we wschodniej Afryce, stanęła po raz pierwszy w pozycji wyprostowanej na tylnych nogach, ludzkość wzniosła się znacznie wyżej niż o tych kilka stóp. Była to podróż do nowego świata. Moi przodkowie stali się w jednej chwili istotami, których nie ograniczały już wysokość trawy

i spękana od słońca ziemia, ale daleki horyzont i gwiazdy. Księga Rodzaju stwierdza, bez wątpienia słusnie, że ludzkość uzyskała wizualną dominację nad wszystkim, co pełza po ziemi. Postrzegała te stworzenia w sposób odmienny niż one ją. One musiały zadzierać głowy, a ona, siłą rzeczy, zaczęła spoglądać na nie z góry. Zaczęła zauważać regularności w ich śladach w buszu, których one same nie zauważały. Patrzyła na ich grzbiety, na szerszy kontekst ich życia i na jego prawidłowości. Pod pewnymi względami widziała je lepiej niż one mogły zobaczyć same siebie. A wszystko to tylko dzięki dwunożności. Jej znaczące zdolności poznawcze (niezależnie od tego, czy do ich rozwoju doszło wtedy, czy wcześniej) zwielokrotniły jeszcze tę przewagę.

Zaawansowane zdolności poznawcze pozwalają nam tworzyć i testować wiele hipotez (w wygodnym zaciszu własnej jaskini, a nie w przerażającym świecie strzał, rogów i kopyt, gdzie istota żywa otrzymuje zazwyczaj jedną szansę na znalezienie prawidłowej odpowiedzi), często zawierających wiele zmiennych, na temat tego, co dzikie zwierzę zrobi w następnym tygodniu. Wymaga to tworzenia i uruchamiania programów komputerowych. Każdy z nas bez przerwy to robi: nazywamy to myśleniem. Oznacza to, że myśliwy z rodzaju ludzkiego będzie prawdopodobnie wiedział lepiej od dzikiego zwierzęcia, co zrobi ono w przyszły wtorek. Sam udany rzut dzidą można by nawet uznać za przekonujący dowód na to, że ów myśliwy zna zwierzę lepiej niż ono samo siebie. A moi przodkowi byli niezwykle skutecznymi myśliwymi.

Ze zdolności poznawczych (choć nie z samej mocy obliczeniowej) wynika Teoria Umysłu, czyli zdolność postawienia się w pozycji innej istoty, która różni się od prostego rozumowania typu: „Co to zwierzę będzie robiło

w przyszłym tygodniu?”. Kobiety mają bardziej rozbudowaną Teorię Umysłu niż mężczyźni, co sprawia, że są one zwykle miłszymi osobami — rzadziej wszczynają konflikty i nie wygłaszają tylu egocentrycznych monologów przy stole.

Nie ma powodu, byśmy ograniczali Teorię Umysłu do zdolności wchodzenia w czyjąś skórę. Wynika z niej również zdolność wchodzenia w sierść, futro i łuski. Ogólnie rzecz biorąc, jest to umiejętność dostrzegania współzależności łączących różne elementy świata — właśnie z tego powodu w średniowieczu podtapiano czarownice i palono je na stosach. Nie powinno dziwić, że Kościół spalił znacznie więcej czarownic niż czarnoksiężników albo że wiedźmy znacznie częściej oskarżano o posiadanie zwierzęcych kompanów, w których skórę mogły w każdej chwili wskoczyć. Szamańska transformacja to naturalne następstwo wysoko rozwiniętej Teorii Umysłu. Jeżeli potrafimy się zagłębiać w umysły innych gatunków, możemy przy okazji wejść w ich skórę, a wtedy ręce pokrywają nam się piórami, a z palców wyrastają pazury.

Ponieważ w kulturach łowieckich szamani odgrywają kluczową rolę w odnajdywaniu i zabijaniu zwierząt, w człowieku zaczyna narastać konflikt, który można rozwiązać tylko przez szczerą pokutę i kosztowny rytuał. Wszyscy cywilizowani myśliwi przywiązują się do swoich zdobyczy za sprawą tej samej Teorii Umysłu, która każe nam wczuwać się w sytuację naszych dzieci i opłakiwać zmarłych. Inna postawa byłaby niebezpieczna, jak mówi stara mądrość — i w tym przypadku stara mądrość się sprawdza. Nasza planeta, czy też jej rogaci bogowie, surowo oceni dokonywaną przez nas zagładę ekologiczną.

Ja sam zdążyłem już odwiesić strzelbę i przekonać się do tofu, ale w przeszłości regularnie skradałem się uzbrojony po zęby przez lasy i po górach. Afrykańskie antylopy

popatrują z niechęcią na mojego laptopa w chwili, gdy piszę te słowa. Co roku w październiku wsiadam do pociągu i jadę na północ, żeby podglądać jelenie szlachetne w Górach Kaledońskich w Szkocji. Miałem mordercze zamiary wobec saren w Somerset i dzikiego ptactwa na słonych błotach w Kencie. Moje żona służyła za podpórkę dla broni, kiedy polowałem na króliki. Dziesięcioletniej córce kupiłem strzelbę kalibru .410. Polowałem konno w asyście beagli, foxhoundów i staghoundów, co miesiąc pisałem felieton do tygodnika myśliwskiego „The Shooting Times”. Moje nazwisko pojawia się w pozłacanych księgach myśliwskich spoczywających w eleganckich rezydencjach poza miastem. Zostałem uwieczniony z uśmiechniętą twarzą na fotografiach ze stertami zabitych grzywaczy w Lincolnshire. Całymi nocami polowałem na trocie w Kintyre i nadal potrafię zarzucić wędkę techniką spey, której nauczyłem się podczas wiosennych połowów łososi w Royal Dee. W pubach podśpiewuję *Dido*, *Bendigo*, modulując głos w sposób imitujący wykonanie tej piosenki myśliwskiej na Rydal Hound Show, gdzie usłyszałem ją po raz pierwszy. Wciąż uczestniczę w targach myśliwskich i nadal pożądliwie głaszczę wykonaną z orzechowca osadę strzelby.

Wszystko to ogromnie mnie zawstydza. Żałuję wielu rzeczy, które robiłem. Stałem się przez nie gruboskórny. Potem musiało minąć wiele czasu, zanim zrzuciłem z siebie resztki tej gruboskórności. Ale wiele się też nauczyłem. Opanowałem sztukę czołgania się i bezgłośnego, nieruchomego leżenia. Kiedyś, podczas pobytu w Argyllshire, przez trzy godziny leżałem w wodzie, która wpływała mi za kołnierzyk i wypływała nogawkami spodni. Siedziałem nieruchomo w lesie w Bułgarii, obserwując, jak gzy ustawiają się w kolejce, żeby użądlić mnie w dłoń; a także w rzece w Namibii, gdzie pijawki podążały wytrwale po moich

nogach od kostek ku pachwinie. Niejeden świt na bagnach witałem ze wzrokiem na wysokości głowy kaczki krzyżówki. Znam na wylot zimowy taniec gałęzi dwóch jaworów w Somerset Levels. Wiem, dlaczego węgorze wychodzą z rzeki Isle i kierują się przez trawiaste tereny ku pobliskiej Isle Abbots. Odróżniam od siebie zapach łajna dwóch samców sarny, które mieszkają nieopodal Ilminster.

Odzyskałem w ten sposób zmysły: człowiek ze strzelbą widzi, słyszy, wyczuwa nosem i przeczuwa intuicją znacznie więcej niż gdyby był uzbrojony tylko w atlas ptaków i lornetkę. Wydaje się, że śmierć lub potencjalność śmierci zwierzęcia włącza w człowieku jakieś stare, głęboko ukryte obwody. Śmierć musi się unosić wokół nas, żebyśmy zaczęli żyć pełnią życia. Wynika to być może z faktu, że zanim zaczęliśmy wyprawiać się ze szybkostrzelną bronią palną na niegroźną zwierzynę roślinożerną, polowaniom towarzyszyło często poważne ryzyko śmierci samego myśliwego, przez co musiał on wytężać wszystkie neurony, aby temu zapobiec. A może wynika to z faktu, że śmierć jest jedyną rzeczą, jaką bezsprzecznie dzielimy ze zwierzętami. Kto wie, czy podstawowym, ożywczym owocem tej równoważności doświadczenia śmierci nie jest przypadkiem zdolność postrzegania świata oczami ofiary: czasami ma się wrażenie, jakby w człowieku pulsowały dwa równoległe układy nerwowe — nasz, drapieżnika, i jelenia, na którego się zasadziliśmy.

Polowanie cofa w nas ewolucyjny i rozwojowy zegar: odzyskujemy zmysły przodków. O dziwo, dysponują nimi też nasze dzieci, które, jeżeli tylko im się na to pozwoli, nieustannie oddają się polowaniu. Moje pociechy wciąż tropią, wachają, odwracają kamienie i, prawdę mówiąc, wykazują się wręcz zdolnością jasnowidzenia w kwestii tego, gdzie znajduje się poszukiwane przez nie zwierzę. Mój

najstarszy syn ma teraz osiem lat. Nazywamy go „Małym Tommym Ropuchołapem”. Gdybyście zabrali go na jakąkolwiek nieznaną mu łąkę, rozglądałby się przez chwilę, po czym przeszedłby prosto w jakieś miejsce odległe, powiedzmy, o dwieście metrów i podniósł spoczywający tam kamień. Pod spodem siedziałaby ropucha. Gdybyście zapytali, jak dokonał tej sztuki, odparłby: „Po prostu wiedziałem, gdzie będzie”. Kilka tysięcy lat temu ta umiejętność uczyniłaby z niego męczennika albo grubasa, bogatego, szanowanego człowieka, dysponującego możliwością wybrania sobie tylu żon, na ile miałby ochotę. Jeżeli tego rodzaju umiejętność jest w jakiś sposób uwarunkowana genetycznie, byłaby silnie faworyzowana przez dobór naturalny. I niewątpliwie tak właśnie było. U wielu osób dar ten pozostaje w uśpieniu. Można go ponadto szybko rozbudzić nawet u ciamajdowatego korporacyjnego szczura. Umiejętność czytania zestawienia bilansowego nigdy nie będzie mogła liczyć na tak wielką ochronę ze strony doboru naturalnego.

Jesteśmy myśliwymi. Możemy zapolować na fragmenty światów różnych zwierząt tak samo, jak kiedyś zdobywaliśmy ich skóry — korzystając z tego samego zestawu umiejętności.

Tyle że nasze wspaniałe zdolności poznawcze nie zawsze nam w tym pomagają. Oznacza to na przykład, że w pewnych sytuacjach ogarnie mnie znudzenie i ciekawość, których lis zapewne nie doświadcza w taki sam sposób.

Za dnia lisy często układają się w jakimś osłoniętym miejscu, zazwyczaj na zmianę drzemając i śledząc otoczenie. Na potrzeby rozdziału o lisach poszedłem w ich ślady. Moje lisy żyły w środku miasta, dlatego leżałem w ogródku w Bow, bez jedzenia i picia, oddając mocz i wypróżniając się na miejscu, wyczekując nocy i popatrując wrogo na ludzi

w okolicznych domach z terasami (co nie było specjalnie trudne).

Był to pouczający dzień: zacząłem lepiej rozumieć, co to znaczy być lisem. Mimo to większość myśli, jakie przechodziły mi przez głowę, nie miała szczególnie lisiego charakteru. Z fascynacją obserwowałem społeczność mrówek, które uwijały się tuż przed moją twarzą, kiedy leżałem na brzuchu na kamiennych płytach. Nie potrafiłem się powstrzymać przed analizowaniem zależności łączących poszczególne osobniki i rozmyślaniem nad ich metodami komunikacji. Lisy zapewne tego nie robią. Zastanawiałem się, czy wyczuwam kurkumę w aromacie *saag aloo* (indyjskie ziemniaki ze szpinakiem), który dolatywał do mnie z za płotu; lis zanotowałyby jedynie w pamięci, że w tamtym domu znajduje się jedzenie i że warto później przetrząsnąć zawartość stojącego przy nim kubła na śmieci. Poza tym byłem znudzony — rozpaczliwie potrzebowałem jakiegokolwiek rozrywki: książki, rozmowy, akcji.

Zwierzęta również się nudzą. Przynajmniej w pewnym stopniu: pies leżący na tylnym siedzeniu w waszym samochodzie wolałby uganiać się za królikami. Wątpię jednak, czy stres wynikający z całkowitego braku akcji działa na zwierzęta równie destrukcyjnie jak na mnie. Być może w ogóle nie doświadczają tego rodzaju stresu. Być może zawsze dostrzegają jakieś potencjalne zagrożenia albo szansę na seks czy zdobycie pożywienia, które nadają pikanterii dniom wypełnionym długimi okresami czujności. Mnie samemu, kiedy tak leżałem we własnych odchodach w londyńskiej dzielnicy E3, te ewentualności wydawały się naprzemiennie mniej i bardziej prawdopodobne. Było to prawdziwe piekło.

Jak dotąd omijałem zręcznie kwestię świadomości. Wynika to oczywiście z faktu, że, podobnie jak wszyscy inni, nie

mam pojęcia, jak ją ugryźć. W niemal wszystkich książkach poświęconych percepcji zwierząt pojawia się, w charakterze niezwykle użytecznego epigrafu, cytaty z amerykańskiego filozofa Thomasa Nagela: „Jak to jest być nietoperzem?”. Cytat ma ironiczny charakter, jako że Nagel chciał tym pytaniem wskazać na nieusuwalne problemy towarzyszące pisaniu książek, które próbowałyby powiedzieć cokolwiek o świadomości istot innych niż ludzie. Po pierwsze w wielu przypadkach zwyczajnie nie mamy pojęcia, czy dany gatunek dysponuje świadomością (albo czy poszczególni członkowie danego gatunku dysponują świadomością — czy nie istnieją przypadkiem gadające, samoświadome albo pozbawione mowy zwierzęta jak w *Opowieściach z Narnii?*). I po drugie (to właśnie jest główna myśl Nagela) nie możemy powiedzieć, że dana świadomość „przypomina” cokolwiek innego, a to z kolei uniemożliwia dokonywanie jakichkolwiek porównań i utrudnia posługiwanie się metaforami.

Świadomość oznacza subiektywizm: moje wewnętrzne poczucie, że istnieje Charles Foster odróżniający się od wszystkich innych istot żywych; nietożsamy z moim własnym ciałem. Ten Charles Foster, co do którego istnienia jestem głęboko przekonany, jest mną pod takimi względami, pod którymi nie jest mną moje ciało. Wiele komórek tworzących mój organizm nie istniało jeszcze w zeszłym tygodniu i umrze do przyszłego tygodnia, mimo to mogę powiedzieć, że Charles Foster przechadzał się w zeszłym tygodniu po pagórku w Somerset, a w przyszłym będzie w Atenach. Stwierdzam tym samym, że istnieje jakaś esencja mojego „ja” zamieszkująca moje ciało. Podejrzanie przypomina to rozmowę o mojej duszy.

Nikt nie ma zielonego pojęcia, skąd wzięła się świadomość. Redukcjonisci uznają ją za artefakt naszego oprzyrządowania neurologicznego — swego rodzaju

substancję wydzielaną przez mózg. Nikt nie stworzył jednak przekonującej teorii wyjaśniającej, jak miałyby się ona narodzić, ani dlaczego, kiedy już do tego doszło, świadomość miałyby być faworyzowana przez dobór naturalny.

Ślady świadomości dostrzegamy w zapisie historii gatunku ludzkiego: wydaje się, że pojawiła się mniej więcej w górnym paleolicie, o czym świadczy eksplozja symbolizmu; ogromna ilość wytworów, które obwieszczają głośno: „ja i nie ty”.

Istnieją przekonujące argumenty, że powstanie świadomości mogło zostać zapoczątkowane przez praktyki wprowadzania się w odmienne stany świadomości za sprawą ascezy, wyczerpania, odwodnienia lub przyjmowania substancji halucynogennych. Teoria ta, choć interesująca, nie wyjaśnia w najmniejszym stopniu natury świadomości, powodów, dla których przetrwała, ani jej umiejscowienia. T.H. Huxley zauważył, że narodziny świadomości z pobudzanej impulsami elektrycznymi tkanki nerwowej są równie zagadkowe co wyłonienie się dżina z butelki pocieranej przez Aladyna. Współczesna neurobiologia nie zdołała w najmniejszym stopniu rozjaśnić tej kwestii.

Dla redukcjonisty jest to niesamowicie irytujący problem, ponieważ nikt nie ma pojęcia, czemu miałyby służyć świadomość. Nie wykryto również żadnych użytecznych procesów, których mogłaby być przypadkowym produktem ubocznym. Świadomość nie jest potrzebna do niczego, z czym potrafi się uporać dobór naturalny. Nie jest potrzebna do łapania pożywienia ani płodzenia potomstwa. Poczucie własnego „ja” nie zwiększa motywacji do unikania zachowań, w wyniku których możemy zostać pożarci przez drapieżnika. Owszem, Teoria Umysłu daje nam przewagę ewolucyjną, ale do jej powstania nie jest konieczna świadomość. Nawet bez niej zachowujemy zdolność widzenia. Za przykład niech posłużą przeprowadzone przez

Weiskrantza eksperymenty z pacjentem z korową ślepotą w lewym polu widzenia. Jego oczy pozostawały sprawne, miał jednak uszkodzone połączenia między nimi a korą wzrokową albo w obrębie samej kory wzrokowej. Badany twierdził, że nie widzi przedmiotów znajdujących się w jego lewym polu widzenia, jednak kiedy wymuszano na nim odpowiedź, co się tam znajduje, uzyskiwał wynik znacznie lepszy, niż wskazywałby na to czysty przypadek. Jeżeli skrzynka na listy była ustawiona pionowo, znacznie częściej ustawiał listy w takiej samej pozycji. Dobrze radził sobie z naśladowaniem wyrazu twarzy „niewidzialnej” osoby stojącej w jego lewym polu widzenia. Przyzwoicie orientował się w świecie, z którym według siebie nie miał żadnego związku. Ten „on”, za pomocą którego definiował samego siebie, nie postrzegał świata w lewym polu widzenia, a jednak jego ciało widziało tę część rzeczywistości.

Niektóre zwierzęta niewątpliwie posiadają świadomość. W sposób przekonujący stwierdzono ją na przykład u wrony z Nowej Kaledonii — często za pomocą eksperymentów z dostrzeganiem własnej podobizny. Im większą zyskujemy wprawę w rozpoznawaniu świadomości, tym częściej się na nią natykamy. Ziemia wydaje się ogrodem, w którym rozkwita ona na każdym kroku. Świadomości nie stwierdzono, o ile mi przynajmniej wiadomo, u żadnego z opisanych w tej książce zwierząt. Byłbym zaskoczony, gdyby jej nie miały — przynajmniej lis i borsuk — ale nie zakładałem, że na pewno istnieje (jak to czynią niemal wszystkie książki dla dzieci i wiele dla dorosłych). Nawet gdyby stwierdzono świadomość u tych zwierząt, nie wpłynęłoby to w znaczącym stopniu na moje ustalenia. Kiedy jakaś istota, na przykład człowiek, dysponuje świadomością, z jej opisem u choćby jednego przedstawiciela może sobie poradzić tylko pisarz albo poeta. A najwybitniejsi

z nich dochodzą do zgodnego wniosku, że jednostki nie da się w pełni opisać — i to pomimo faktu, że mamy jako takie pojęcie o tym, jak świadomość funkcjonuje u innych ludzi. Co mogłoby oznaczać bycie konkretnym, świadomym osobnikiem z gatunku lisa? To zadanie dla kogoś poruszającego się na pograniczach poezji. A jeżeli odpowiedź byłaby w ogóle możliwa, niekoniecznie powiedziałyby nam wiele na temat ogólnie rozumianego świata lisów.

Dostatecznie ciekawa — a z pewnością wystarczająco trudna — jest próba stwierdzenia, jak to jest być zwykłym lisem postrzegającym świat za pośrednictwem zmysłów.

Tyle jeśli chodzi o fizjologię. W wielu aspektach jestem pod tym względem podobny do moich zwierząt, a w innych mogę pokusić się o uzasadnione domysły. Drugi wymiar, w którym jesteśmy sobie bliscy, to przestrzeń. Mogę udać się w miejsca, w których przebywają zwierzęta. Pada na nas ten sam deszcz; rani nas ten sam kolcolist; odczuwamy te same drgania ziemi, kiedy obok przejeżdża wielka ciężarówka; widzimy tego samego rolnika, który przechodzi obok, niosąc tę samą strzelbę. Oczywiście każde z tych zjawisk oznacza dla nas co innego. Mało prawdopodobne, aby ta strzelba zwiastowała moją śmierć. Deszcz będzie oznaczał, że na powierzchnię ziemi wyjdą rosówki, co może być ciekawsze dla borsuka niż dla mnie. Mimo to borsuk i ja doświadczamy tej samej realnej i obiektywnej rzeczywistości. Owszem, nasze indywidualne światy zostały skrojone całkowicie pod nasze potrzeby, uformowane w głowach przez unikalne oprogramowanie neurologiczne. Owszem, mielibyśmy ogromny kłopot z określeniem, w jaki sposób inne zwierzę postrzega kamień na wrzosowisku. Nie oznacza to jednak, że kamień obiektywnie nie istnieje ani że próbę postrzegania go przez receptory zmysłowe nie-człowieka należy z góry uznać za bezsensowną i niespójną.

Zwierzęta i ja posługujemy się tym samym językiem: językiem naszych rozbłyskających neuronów. Często przemawiają one w trudnych — choć zawsze do pewnego stopnia zrozumiałych — dialektach. Kiedy pojawia się trudność z rozszyfrowaniem tego, co zostało powiedziane, można pomóc sobie kontekstem. A tym kontekstem jest zawsze przestrzeń fizyczna.

Zwierzęta są dziećmi ziemi. Niemal każda cząsteczka składająca się na ciało typowego borsuka pochodzi z obszaru 60 hektarów otaczających norę, w której przyszedł na świat. Precyzyjnie się przez drogi rodne matki, gdzieś głęboko pod ziemią, wydostał się w półmrok swojego ojczystego lasu przez inny tunel — tym razem wykopany w ziemi. Na zakończenie życia przejdzie w przeciwną stronę tym samym albo podobnym tunelem. Prawdopodobnie umrze pod ziemią, przez nią otoczony. Jego ciało stanie się częścią jednej ze ścian nory, pokarmem dla robaków, które z kolei posłużą za budulec ciał następnego albo następnych pokoleń borsuków. Przypuszczamy, że zwierzęta i ziemię łączy tego rodzaju głęboki, płodny związek. I słusznie. Niewiele zwierząt emigruje.

Ja jestem znacznie mniej lokalną istotą. Choć bardzo się staram, wiele z cząsteczek w moim ciele pochodzi z Chin i Tajlandii. Muszę się znacznie mocniej napracować, aby choć odrobinę zjednoczyć się z ziemią. A jednak istnieje wiele użytecznych narzędzi: książki historyczne, piosenki i melodie śpiewane przez poprzednie pokolenia chłopów, opowieści związane z jakąś okolicą albo tkwiące w moim umyśle niczym grudka ziemi na grzbiecie borsuka. Mogę stopniowo opanować mityczny język, w którym ziemia przemawia zarówno do mnie, jak i do borsuka, co wystarczy nam do nawiązania jakiegoś rodzaju dialogu, nawet jeśli rozprawiamy z borsukiem we własnych dialektach.

Pomaga w tym oczywiście bycie zagorzałym hipisem. Frank Fraser Darling chodził przez cały rok boso po swojej ukochanej wyspie, twierdząc, że trudno jest wyczuć puls wszechświata przez podeszwę, a ja nie mam wątpliwości, że stał się dzięki temu jeszcze lepszym zoologiem. Pozbądźmy się zatem ekwipunku i przywdziejmy instynkty. Zwierzęta nie noszą ubrań poza kartami powieści Beatrix Potter czy Alison Uttley. Goreteks to kolejna warstwa odgradzająca nas od doświadczania świata na podobieństwo zwierząt pokrytych mniejszą ilością futra. Znam człowieka, który przeszedł nago kilkaset kilometrów przez Anglię.

Napotykanymi przez niego Anglicy, jak to Anglicy, nie dawali po sobie poznać, że wygląda nietypowo, i pozdrawiali go nieskomplikowanym „Hello”.

Stroje piankowe przypominają kondomy, które uniemożliwiają górskim rzekom zapładnianie naszej wyobraźni.

Nauczcie się starych melodii; spożywajcie jedzenie wyprodukowane w waszej okolicy. Przysiadźcie w narożniku pola i zacznijcie nasłuchiwać. Włóżcie zatyczki do uszu, zamknijcie oczy i uruchomcie nos. Wąchajcie wszystko, gdziekolwiek się znajdziecie: uruchomcie swoje ośrodki węchowe. Powiedzcie za świętym Franciszkiem: „Witaj, bracie wole” — byle z przekonaniem.

Biologia ewolucyjna jest uskrzydającym stwierdzeniem zależności łączących elementy świata — swego rodzaju naukową adwajtą: trzeba czuć, a nie tylko wiedzieć. Czuć znaczy wiedzieć w prawidłowy sposób.

Czym jest zwierzę? Nieustającym dialogiem z ziemią, z której pochodzi i z której się składa. Czym jest człowiek? Nieustającym dialogiem z ziemią, z której pochodzi i z której się składa — tyle że mającym formę bardziej uwznioślonej, jakającej konwersacji niż w przypadku większości dzikich

zwierząt. Dialogi te mogą zamienić się w opowieści oraz przybrać formę i smak osobowości. Potem stają się wielbionymi przez nas zwierzętami i tego rodzaju ludźmi, obok których chcielibyśmy siedzieć na przyjęciu.

Chciałbym umieć wejść w bardziej elokwentny dialog z ziemią. Traktuję to po prostu jako jeden ze sposobów samopoznania, a moja obsesja na punkcie własnej osoby przekonuje mnie, że warto spróbować. Dobrym sposobem, żeby się za to zabrać, jest przeprowadzenie bardziej ożywionych rozmów z futerkowymi, pierzastymi, pokrytymi łuskami, pokrzykującymi, nurkującymi, wrzeszczącymi, szybującymi, chrząkającymi, rozgniatającymi, sapiącymi, trzepoczącymi, pierdzącymi, szarpiącymi, dreptającymi, wykręcającymi, sadzącymi susy, rozcinającymi, skaczącymi, radującymi się grudkami ziemi, które nazywamy zwierzętami.

Wprawy w mówieniu nabiera się przez mówienie. Wprawy w zaznajamianiu się — przez zaznajamianie. A to wymaga czasu. Trzeba również co nieco wiedzieć o partnerze. Zabrałem się zatem do lektury książek o fotosyntezie, megalitach, łupkach, odchodach i zapachach. Wkładałem liście między strony notatników i głaskałem je od czasu do czasu. Kupiłem audiobooki z odgłosami ptaków i, siedząc w metrze między stacjami Paddington i Farringdon, zdałem sobie sprawę z tego, że potrafię powiedzieć sporo na temat osobowości ptaka i szczegółów z jego życia na podstawie wydawanych przez niego odgłosów. Nie mając pojęcia, z jakim gatunkiem mam do czynienia (ponieważ audiobooki na szczęście nie wpychają nam na siłę do uszu nazw), wiedziałem, że ten słowik czarnogardły tańczył latem bojaźliwie w cieniu drzew, wypatrując śmierci, która mogła nadejść z góry, potem chwycił owady dziobem z taką wprawą, jakby to były chirurgiczne kleszcze, po czym

nastroszył piórka, podskoczył kilka razy i odleciał wcześniej na południe.

„Pretensjonalna mistyczna mowa-trawa”, zagrzmiał mój znajomy rolnik Burt, którego poznałem w następnym rozdziale. A przecież miałem rację. Między stacjami Farringdon i Paddington zdałem sobie sprawę, że nie jest to bynajmniej zaskakujące; można przecież wysnuć w miarę uprawnione przypuszczenia na temat historii i polityki Rosji, słuchając Rosjan rozmawiających między sobą po rosyjsku o zakupach i pogodzie — nawet jeśli nie rozumielibyście ani słowa (a może właśnie dzięki temu).

Tak czy inaczej, przez większość czasu przebywam gdzieś blisko moich zwierząt. Siedzę nagi, dygocząc, na wrzosowisku i obserwuję rozpiezchające się chmury. Wpływam do ciemnych dziur w rzece East Lyn, gdzie przebywają węgorze. Wykopuję sobie norę w zboczu walijskiej góry i zamieszkuję w niej. Leżę przy poboczu dużej drogi, złorzeczając na światła reflektorów i czując, jak asfalt drży pod mną, kiedy obok przejeżdżają kolejne ciężarówki. Poza tym, jak wszyscy, wielokrotnie dreptam z dziećmi do parku w niedzielne popołudnie, żeby nakarmić kaczki. I w ten sposób powolutku podchwyciłem znaczenie kilku zasłyszanych słów; wiem też, że i moje słowa zostały usłyszane.

Wittgenstein powiedział, że gdyby lew umiał mówić, nie rozumielibyśmy ani jednego słowa, ponieważ świat lwa ma postać całkowicie odmienną od naszego. Mylił się. Wiem, że się mylił.

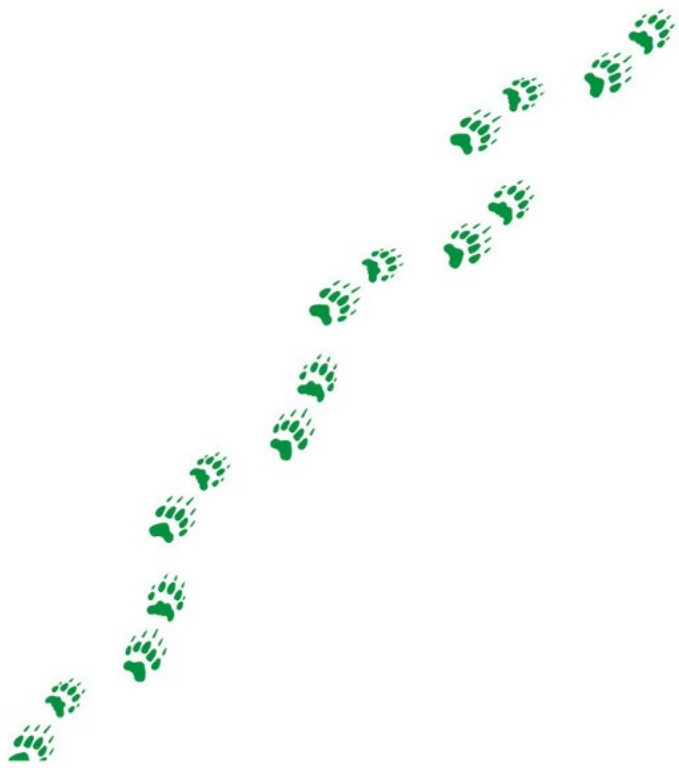
[2] Mimo że pierwsze odnotowane przez Biblię słowa Adama znajdują się w Rdz 2,23, już w 2,19-20 czytamy: „I utworzył Jahwe-Bóg z ziemi wszelkie dzikie zwierzęta i wszelkie ptactwo nieba, i przywiódł je do człowieka, by się

przekonać, jak on je nazwie. A każde stworzenie żywe miało nosić takie imię, jakie mu nada człowiek. Nadał więc człowiek imiona wszystkim zwierzętom domowym, ptactwu nieba i wszystkim dzikim zwierzętom” (wszystkie cytaty z Pisma Świętego za *Biblią poznańską*, przyp. tłum.). Jeśli nie podano inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od autora.

2. ZIEMIA

Borsuk





Kiedy włożycie robaka do ust, ich ciepłota go przeraża. Mogłoby się wydawać, że w poszukiwaniu wolności ruszy w dół, ku waszemu przełykowi, w jeszcze głębszy mrok stanowiący dla niego zazwyczaj bezpieczne schronienie. Ale tym razem będzie inaczej. Robak rzuci się ku przerwom między zębami. Ja mam ich sporo; w latach 70. w Sheffield nikomu nie zakładano aparatów ortodontycznych. Robak rozciągnie się w ciekłą nitkę i wwierci w szczelinę. Jeżeli jego wysiłki okażą się bezskuteczne, na przykład z powodu kosztownych mostków, wpadnie w panikę: zacznie się spazmatycznie skręcać, wywijając połowę ciała jak lassem i chłoszcząc nim wasze dziąsła. W końcu, zrezygnowany, zwinie się w wilgotnym miejscu przy wędzidełku języka, gdzie zaczeka na rozwój wypadków. Jeżeli otworzycie ponownie usta, rzuci się w tamtą stronę, przyciskając ogon do przepony waszej jamy ustnej niczym sprinter wychodzący z bloków.

To wyjątkowo obrzydliwe doświadczenie. I dobry argument za kremacją.

Kiedy po raz pierwszy nadgryziecie robaka, spodziewacie się po nim reakcji znanej każdemu wędkarzowi (i, mam nadzieję, znienawidzonej przez każdego wędkarza): wicia się, prób uwolnienia się z haczyka. Nawet jeśli, podobnie jak ja, nie potraficie się przemóc i rozgnieść robaka zębami trzonowymi, tylko przygryzacie go delikatnie siekaczami, nie zmienia to faktu, że właśnie miażdżycie jego ciało. Zareaguje na to inaczej niż robak na haczyku. Rozgniatane zwierzęta

leżą w bezruchu. Nie wydają się cierpieć. Kiedy spory kawałek Szkocji oderwał się i wylądował na mojej ręce, ani trochę mnie to nie zabolalo. Zakręciło mi się w głowie, poczułem błogość, coś w rodzaju haju pod wpływem krążących we krwi endorfin. Moją uwagę pochłoniął widok roztrzaskanej kości i zerwanych nerwów. Być może pierścienice dysponują jakimś prymitywnym układem znieczulania opioidami, choć w to wątpię: byłaby to absurdalna ekstrawagancja ewolucyjna. Tak czy inaczej, oba końce robaka kapitulują, dzięki czemu mogę przesunąć go w głąb jamy ustnej i przeżuć.

Dżdżownica smakuje szlamem i ziemią, z której wypełzła. Jest znakomitym przykładem lokalnego jedzenia, które, jak by powiedzieli koneserzy wina, odznacza się bardzo wyraźnym *terroir*. Robaki z Chablis mają utrzymujący się długo, mineralny posmak. Z Picardy — emanują stęchlizną; smakują rozkładem i roztrzaskanym drewnem. Z obszaru High Weald w hrabstwie Kent — są świeże i nieskomplikowane; pojawiłyby się w menu jako dodatek zalecany do grillowanej soli. Z Somerset Levels — mają nijaki, niemodny smak skóry i mocnego portera. Z kolei dżdżownice z walijskiego masywu Black Mountains są trudne do jednoznacznego zdefiniowania: stanowiłyby prawdziwe wyzwanie podczas degustacji „na ślepo”. Tylko naprawdę pretensjonalny koneser mógłby się pokusić o ich opis.

Smak mięsa dominuje. Szlam wyraźnie różni się od mięsa, a jego smak odznacza się niewytłumaczalną zmiennością. Nie wiąże się w żaden oczywisty sposób z *terroir* mięsa. Kiedy wyssimy szlam, okaże się, że ten z Chablis składa się z trawy cytrynowej i świńskiego gnoju (przynajmniej wiosną), a z Weald smakuje kablem pod napięciem i cuchnącym oddechem.

Smaki zmieniają się w miarę upływu pór roku, ale nie aż tak, jak byśmy się tego spodziewali. Poszczególne pory roku raczej wydobywają już istniejące komponenty smaku niż dodają nowe: zmieniają odcień. W porównaniu ze styczniem, w sierpniu wyczuwamy więcej wkładki do pieluchy niż parafiny, ale obie nuty będą wyczuwalne przez cały czas.

Dżdżownice składają się na mniej więcej 85% diety przeciętnego borsuka, który traci przez to część swej charyzmy, ale jednocześnie staje się dla nas fascynująco niedostępny.

Rozpoczęcie książki od borsuków to zarazem znakomity i fatalny pomysł. Fatalny, ponieważ wydaje nam się, że je dobrze znamy. Nasze borsucze antropomorfizacje z dzieciństwa należą do najukochańszych wspomnień i utrzymują się nawet kiedy dorastamy i tracimy dawną naiwność. Do potężnej, niemożliwej do wywichnięcia szczęki borsuka idealnie pasowałaby fajka z ziołowym tytoniem. Tylne łapy (uwędzone uchodzą za przysmak u Romów), zaprojektowane w ten sposób, żeby przeczłapać nocami tysiące kilometrów w poszukiwaniu robaków i korzonków, prezentowałyby się doprawdy wspaniale w bryczesach z kreciej skórki. Przednie łapy, potężne maszyny kopiące i rozcinające, wyglądają tak, jakby mogły z łatwością odpiąć mosiężny guzik kamizelki po obfitym niedzielnym grillowaniu. Cytadele wznoszone przez borsuki mają często kilkaset lat; emanują stabilnością i mądrością. Poważną, pokrytą pasami głową borsuk potrafi przekonująco pokręcić, wyrażając tym samym dezaprobatę dla poczynań innych, lekkomyślnych zwierząt.

A jednak rozpoczęcie książki od borsuków to jednocześnie znakomity pomysł, ponieważ łatwiej przyjdzie nam wykazać się obrazoburstwem w stosunku do nich niż do, powiedzmy, czapli, z którą jesteśmy znacznie słabiej związani

emocjonalnie. Nie ma lepszego sposobu na wyrugowanie naszych sentymentów niż wzięcie się za borsuki. Są znakomitymi nauczycielami. W ciemniejącym o zmierzchu lesie zmierzają nas swoim przenikliwym wzrokiem, podrapiają się w zamyśleniu po sztruksowych szelkach, po czym rozetną nam pazurami twarz.



Borsuki kojarzyły mi się z Burtem i masywem Black Mountains, choć nie dlatego, że z jakiegoś szczególnego powodu wiązały się ze środkową Walią. Sensowniej byłoby pojechać do hrabstwa Somerset, Gloucestershire czy Devon. Tyle że Burt ma koparkę.

Z Burtem znamy się od lat. Razem krwawiliśmy, cierpieliśmy, przeklinaliśmy i hulaliśmy w najmniej gościnnych zakątkach naszej planety. Teraz Burt gospodarzy, sepleni i przechadza się po jednych z najbardziej stromych i najmniej urodzajnych ziem w Wielkiej Brytanii. Z powodu kamlotów i pochyłości pieniądze jakoś nie chcą wzrastać na tamtejszych polach; w dolinach zatrzymują je pradawne, ociekające wodą lasy liściaste. Burt ma to gdzieś. Nie trzeba pieniędzy, żeby mieć domowej roboty cydr, domowej roboty seks i piękne widoki z okien.

Powitał nas na stacji w Abergavenny. Przywiozłem ze sobą własnego młodziaka: Toma, lat osiem. Borsuki to niezwykle towarzyskie, rodzinne istoty. Trudno sobie wyobrazić borsuka samotnika. A Tom, nieuleczalny dyslektyk, obdarzony dzięki temu oszałamiająco holistyczną, głęboko relacyjną wizją świata, przypomina borsuka chyba bardziej niż ja. Nie przeszkadza mu moja ułomność: tragiczne

skrzywienie, które nie pozwala mi uznać niczego za wartościowe, o ile nie mogę przerobić tego na tezę naukową.

Borsuki komunikują się ze sobą często i skutecznie, choć, jak podejrzewamy, bez odwoływania się do uciążliwej abstrakcyjności, do której prowadzi katastrofalny wynalazek języka pisanego. Pozbawia on bowiem rzeczy ich prawdziwej natury: zamienia korzeń w słowo „korzeń” i zasypuje je tyloma warstwami semantycznych niuansów, że jego pierwotne znaczenie zaczyna się pod nimi dusić. Tom nadal wie, czym jest korzeń, i zawsze będzie to wiedział. Podobnie borsuk, który lubi jeść korzenie, ale nie przepada za abstrakcjami. Tom definiuje „Toma” w kategoriach ekologicznych, w kategoriach sieci powiązań (z innymi ludźmi i z całym światem naturalnym), w której istnieje i którą współtworzy. Jest to dokładniejszy obraz niż moje wyobrażenie o samym sobie, a także zdrowszy, ciekawszy i bardziej borsukopodobny. Wątpię, aby w borsuczej norze znalazło się miejsce na niezdrowy atomizm. Poza tym Tom ma 137 centymetrów wzrostu. Ja mam metr dziewięćdziesiąt. Jego spojrzenie na świat jest w dosłownym tego słowa znaczeniu bliższe borsuczemu niż moje. Paprocie muskają jego twarz tak samo, jak muskają pyszczek borsuka; jego nos znajduje się bliżej leżącej na ziemi warstwy gnijących liści, w skład której prędzej czy później wejdzie on, ja i wszystkie borsuki, a która stanowi podstawowe źródło pożywienia dżdżownic.

Wpakowaliśmy się więc do land rovera Burta, ruszyliśmy, cofnęliśmy się, żeby podnieść i przywiązać tylny błotnik, pojechaliśmy do piekarni, żeby napchać się pasztecikami z mięsem uśmierconych krów (jako że nie mieliśmy specjalnej ochoty na dżdżownice), po czym udaliśmy się na farmę.

Właśnie tam, w kuchni Burta, zacząłem przed laty na

poważnie rozważać pomysł stania się innym zwierzęciem. Bynajmniej nie dlatego, że Burt wie o życie płaza, przeskakując ochoczo między człowieczeństwem a zwierzęcością: to akurat wiem od dawna. To jeden z elementów jego uroku. Nie wynikało to również z faktu, że w jego kuchni dochodzi do nieustannego przesuwania się granicy między dzikością a Świnką Peppą. Wpadłem na taki pomysł dlatego, że żona Burta, Meg, jest wiedźmą.

W jak najbardziej pozytywnym tego słowa znaczeniu. Jeżeli wbija w ludzi szpilki, to żeby im pomóc, a nie żeby im zaszkodzić. Rzecz w tym, że wyznaje pogląd o współzależnościach łączących wszystkie elementy świata, przez co w niegdysiejszej Anglii trafiłaby na stos.

Burt jest raczej jej druhem niż mężem; kudłatym kompanem przybyłym zza jednej z tych arbitralnych granic międzygatunkowych, który skacze i cieszy się pomimo tego, że jedna noga utkwiała mu we wnykach.

Z Burtem poznaliśmy się piętnaście lat temu na Saharze podczas Maratonu Piasków, który to postanowił przebiec w zwykłych tenisówkach. Natarłem wtedy jodyną to, co pozostało z jego stóp, a on zaprosił mnie na swoją farmę.

Przyszedł na świat w tamtej dolinie. Przesepłenił się po świecie, od kopalni diamentów w Namibii, do Cambridge, klinik weterynaryjnych w Etiopii, Afganistanie i Gazie, po rozkoszne majtki Meg i szalas do strzyżenia owiec.

Ich kuchnia przypomina wielopoziomowe skrzyżowanie. Wzgórze zlewa się w dywan. Trzonek topora z epoki brązu leży obok peceta. *Tybetańska Księga Umarłych* opiera się o Jamiego Olivera. Przy nuggetsach z kurczaka stoi sagan z ziołami halucynogennymi.

Meg uznaje za oczywiste, że podobnie jak każdy inny człowiek mogą zostać zwierzęciem.

„We wszystkich cywilizowanych kulturach ludzie bez

przerwy to robią. Szamani przenoszą się tam i z powrotem między swoimi ciałami a ciałami niedźwiedzi, kruków i czego tam jeszcze. Masz ochotę polatać? Istnieje kilkadziesiąt koktajli, które dadzą ci skrzydła. Mam tu kilka przepisów”. Wskazuje na regał z książkami.

„Chcesz zostać lisem? Wystarczy trochę poćwiczyć w ciemnym pokoju ze świeczką i kurczakiem. Te zwierzęta poprzedzają nas przecież o zaledwie kilka zakrętów na rzece ewolucji. Istnieją łodzie, które pozwalają poruszać się szybko pod prąd. Znam kilku przewoźników. A jeżeli wykażesz się prawdziwą zmyślnością, zdołasz odwrócić nurt”.

Nie wątpiłem wtedy w prawdziwość jej słów, nie wątpię również teraz. Mimo wielkich chęci dręczyły mnie jednak pewne obawy. Nie bałem się za to książek poświęconych fizjologii ani prób wchodzenia w czyjąś skórę. Chciałem się przekonać, jak głęboko w świat borsuka mnie one zaprowadzą.



Zamierzałem wykopać norę w zboczu spłaszczonej góry. W przeszłości ludzie zabijali na jej szczycie swoje dzieci. Borsuki tego nie robią, bo wiedzą, że psy, ciężarówki, gruźlica i głód zbiorą całe wymagane przez bogów żniwo.

Z dzieciobójczego sanktuarium zbocze opada piargiem, a kiedy zaczyna się spłaszczać, między kamieniami pojawia się trawa. Niżej ustępuje ona miejsca kępkom co śmielszych paproci z gatunku orlic, a na samym dole, przy rzece, dębom, jesionom, bukom i dzikim czarnym bzm. Te ostatnie trafiły tam w poszukiwaniu wody, a borsuki przybyły w okolicę w poszukiwaniu czarnych bżów: zajadają się ich jagodami jak dzieci chipsami i wydalają gówienka

gruzłowate od nasionek. W ten sposób czarne bzy i borsuki wędrują wspólnie przez świat. Nory borsuków często spotyka się nad rzekami, ale właśnie z powodu czarnych bzów. Nigdy nie widziałem, żeby borsuk pił wodę z rzeki (choć przecież kiedyś musi gasić pragnienie), przedstawiciele tego gatunku nie nauczyli się też wybierać z wody ryb tymi swoimi hakołapami. Wydaje się, że większość wody czerpią z dżdżownic.

Wzdłuż brzegów górnego odcinka rzeki ciągną się ponure moczary porośnięte wełnianką i torfowcem, które bynajmniej nie zasługują na entuzjastyczne pieśni brodzących po nich kulików. Dopiero osiem kilometrów dalej woda wyrywa się ze szponów kulikowych ćwierkotów, a kiedy wpływa do doliny borsuków, zna już najróżniejsze głosy i potrafi prowadzić poważne konwersacje. Wiele istot żywych, o bardzo różnych narządach słuchu, przychodzi jej posłuchać i z nią porozmawiać. Gdyby nie to, borsuków w ogóle by tam nie było. Monotonia konwersacji i diety działa na nie równie zabójczo jak na nas. Samymi kulikami by się nie wykarmiły; sycą się całymi ekosystemami.

Mamy wszelkie powody, by przypuszczać, że zwierzęta te żyły w owej dolinie na długo przed zabójcami dzieci z epoki brązu. Można tu znaleźć wspaniałe fortece borsuków; niekończące się labirynty przeplatające się we wnętrzu pobliskiej góry, tak bardzo wydrążonej, że zadźwięczałaby jak *bodhrán*, gdyby któryś z mrocznych bogów tupnął w nią nogą, zde gustowany smakiem złożonych w ofierze dzieci.

Fortece zamieszkuje stara i odizolowana społeczność; tutejsze okazy nie zniosłyby rozpaplanego rejuwachu borsuków nizinnych. Nawet wędrujące dziki, którym nie udało się znaleźć partnerów na swoim terytorium, nie docierały zbyt często pod tę redutę. DNA obecnych tu borsuków mieszało się w zamkniętym kręgu, wyrodnijac

w miarę upływu wieków. Jedna z czaszek znalezionych w stercie wykopanej ziemi miała dziwacznie wystającą szczękę; inna grzebień — jak u kakadu. Niektóre ze śladów na borsuczych ścieżkach mają po sześć albo siedem palców.

Czaszki te trzeba było wykopać, ponieważ borsuki umierają zazwyczaj pod ziemią, między swoimi krewniakami i tam są chowane. W miejscu spoczynku ich ciał często powstaje nowa odnoga w tunelu. Zwłoki borsuczej babci wpływają na geografię domu dla kilku następnych pokoleń. My porzucamy naszych zmarłych za najdalszą obwodnicą, żeby nie przeszkadzali nam w dalszym życiu.



Dopuściłem się drobnego oszustwa. Rozwahałem pomysł powiększenia opuszczonej borsuczej nory, ale nie byłem pewien, czy uda mi się przekonać policję, że nie próbuję wykopać żywego borsuka, poza tym nie uśmiechała mi się perspektywa wciągania do płuc potężnej dawki prątków gruźlicy (poza sporą ilością aromatycznych cząsteczek gleb środkowej Walii). Do tego moja żona zasadnie przypuszczała, że jakakolwiek wykopana przeze mnie dziura zawali się Tomowi na głowę, co pociągnęłoby za sobą konieczność odwalenia ogromnych ilości papierkowej roboty. Koparka Burta nie mogła wydrążyć tunelu, a jedynie głęboki rów w zboczu góry. Udało nam się jednak rozwiązać ten problem — zbudowaliśmy nad nim dach z gałęzi i paproci, przysypaliśmy go ziemią i w ten sposób powstała nora. Burt popyrkał przez dolinę na kotleciki rybne i *Ulicę Sezamkową*, zostawiając nas samych. Wczołgaliśmy się do nory i próbowaliśmy nabrać choć odrobiny autentyzmu.

Mimo że wiele borsuczych nor to prawdziwe labirynty,

wijące się niczym rojowisko robaków między skałami i korzeniami, istnieją też takie, które wyglądają zupełnie inaczej. Te najprostsze, wykopane jako tymczasowe schronienia, są pojedynczymi tunelami. Niczym brama w średniowiecznym zamku ustawiona pod kątem prostym, żeby uniemożliwić najeźdźcom nabranie rozpędu, chodnik w borsuczej norze skręca mniej więcej metr od wejścia, ciągnie się jeszcze kawałek, po czym rozszerza się w komorę sypialną. Właśnie tak wyglądała nasza nora. Ukształtowaliśmy ją własnymi łapami i dziecięcą łopatką plażową (idealną do pracy w wąskich przestrzeniach). Próbowaliśmy wypychać wybraną ziemię tylnymi łapami, ale nam się to nie udało, ponieważ sufit znajdował się stosownie nisko (większość chodników w borsucznych norach ma półkolisty przekrój, są szersze niż wyższe). Tom zdołał wepchnąć do środka nogami posłanie z liści paproci, jak to czynią prawdziwe borsuki, ale dla mnie okazało się to za trudne. Kichaliśmy: nieustannie, donośnie i zupełnie nieborsuczo. Wydaje się, że borsuki dysponują czymś w rodzaju zwieracza mięśniowego tuż przed wlotem do nozdrzy, który zaciskają podczas kopania, uniemożliwiając ziemi dostawanie się do środka. My nie dysponowaliśmy takim udogodnieniem, do tego był suchy lipiec, więc przynajmniej początek tunelu okazał się koszmarem. Kiedy borsuki wychodzą w nocy na polowanie i biegną z nosem przy ziemi, nie używają, rzecz jasna, zbawiennego zwieracza: nozdrza muszą pozostać otwarte, żeby mógł się do nich dostawać zapach. Pył wydmuchują potężnymi prychnięciami. I my czyniliśmy to samo, kopiąc norę w przerwach między kolejnymi kichnięciami. Tom przez następny tydzień plamił chusteczki krzemionką i krwią.

Posługiwaliśmy się latarkami czołówkami. Borsuki mają w siatkówkach oczu więcej światłoczułych pręcików od nas.

Posiadają też błonę odblaskową zwaną „makatą”, która odbija rozproszone fotony z powrotem do siatkówki i sprawia, że ich oczy lśnią w świetle reflektorów samochodu. Borsuki wyciskają ze swojego świata więcej światła niż my. Świat obdarza ich tym samym co nas, ale one potrafią to lepiej wykorzystać. Niemal całkowita ciemność panująca za dnia w naszym tunelu byłaby dla nich oślepiająca.

Okropnie się natrudziliśmy, ale w końcu nora była gotowa. Spełniliśmy do rzeki, wychłęptaliśmy wodę z zatoczki, gdzie pijawki uczepiły się naszych warg, po czym wpełzliśmy z powrotem do komory-legowiska, gdzie zapadliśmy w sen, leżąc koło siebie na waleta, jak na porządne borsuki przystało. To najlepszy sposób wykorzystania przestrzeni. Tom ciągle wiercił się w nocy. „Niefajnie jest mieć czyjeś stopy na twarzy”, powiedział.

Śniłem: a były to kwieciste, konfrontacyjne sny, które wylęgają się tuż pod powierzchnią jawy; które nawiedzają człowieka w tropikach, kiedy zielonozłote istoty tańczą w rytm wiatraka na suficie. W tym przypadku ów rytm wyznaczało serce Toma bijące tuż przy mojej głowie, a melodia miała postać cichego buczenia góry oraz głosu dziewczyny dobiegającego znad rzeki.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że borsuki dysponują jakimś rodzajem świadomości. Uważam tak choćby dlatego, że widziałem, jak śpią. Przebierają wtedy łapami, skomlą i powarkują; przez ich pyszczki przebiega pełna gama min. Ich umysł odgrywa jakąś historię. A kimże miałby być jej główny bohater, jeśli nie samym borsukiem? W mglistej krainie snów nasze „ja”, jakże często tłumione, wypierane i tłamszone, może kroczyć dumnie i przemawiać swobodnym głosem.

Nie ulega też wątpliwości, że śniący borsuk przetwarza

w mózgu dane zgromadzone poprzedniego dnia albo poprzedniej nocy. Testuje, z powodów oczywistych z perspektywy ewolucyjnej, w jaki sposób powinien — w świetle nowych informacji — reagować w przyszłości na rozmaite wyzwania. Tyle że świadomość nie wyłącza się bynajmniej z takiego analitycznego procesu przetwarzania niepokojów — przeciwnie, leży u ich podłoża.

W przeszłości sądziłem, że sen musi przypominać program defragmentujący dysk na komputerze. Porozrzucane za dnia pliki zostają przeniesione do szafek, w których znacznie łatwiej będzie je można później znaleźć. Kiedy wprawiam się w stan autohipnozy, moje powieki drgają w podobny sposób jak w czasie fazy REM, czyli fazy szybkich ruchów gałek ocznych. A ja rzeczywiście mam wtedy poczucie defragmentacji mojego wnętrza. Ale ta analogia nie wystarcza. Program komputerowy nie potrzebuje opowieści. Borsukom śnią się jakieś historie, a do historii potrzebni są bohaterowie.

Na czym mogłyby polegać sny nieświadomej istoty? Na czym w ogóle polegałby u niej sen? Co znika, kiedy pozbawimy kogoś „świadomości”? Co towarzyszy zwierzęciu w podróży po świecie skrytym za kotarą snu? Jeżeli świadomość borsuków nie przypomina w jakimś stopniu naszej, uśmiechy i grymasy pojawiające się na ich pyszczkach we śnie stają jeszcze bardziej zagadkowe od samej świadomości. W takiej sytuacji wybieram mniejszą tajemnicę.



Budziliśmy się etapami (albo staliśmy się trwalej przebudzeni, ponieważ dzika przyroda nigdy nie pozwala się

całkowicie osunąć w nieświadomość; cały czas coś się wokół nas dzieje), najpierw przy skrzekach sójek, a już całkowicie na dźwięk warkotu silnika. Burt przywiózł nam pieróg nadziewany rybą.

– No wiem, wiem... to kanciarstwo, ale obiecuję, że nikomu nie powiem.

Tak naprawdę wcale nie miał racji. Borsuki w sytuacji przymusowej żywią się, czym popadnie. Żaden nie odmówiłby sobie pieroga z rybą.

– Wiecie co, chłopaki... — ciągnął Burt. — Dla równowagi przyjdę tu później i poszczuję was psami. A potem przejdziemy na drogę, gdzie spróbuję was przejechać.

Bardzo zabawne. Mimo to propozycja była niegłupia. Wcześniej sądziłem, że życie borsuka należałoby odmalować w barwach lasu. W kolorach, które sam miałbym nadzieję zobaczyć. Tymczasem spomiędzy nich przebijał też ciemniejszy odcień — kolor strachu. Można go dostrzec — w mojej wyobraźni jest to bladometaliczny błękit — na czubkach zjeżonego futra, kiedy borsuk przystaje na ścieżce między paprociami, wyczuwszy silny zapach człowieka, oraz wokół czubków nadstawionych uszu, kiedy słyszy psa znajdującego się nieco bliżej niż typowy pies pilnujący obejścia.

Wymordowawszy wszystkie wilki, postawiliśmy się w pozycji głównego prześladowcy borsuków. Jeżeli borsuki faktycznie śnią, musimy się pojawiać w ich najstraszliwszych koszmarach — chyba że powracają w nich do odległych czasów, kiedy polowały na nie wilki i kiedy dochodziło do warczących konfrontacji pod pnem dębu. Wspomnienia utrzymują się długo w głowach dzikich zwierząt. Jeleń szlachetny wpada w panikę, kiedy damy mu do powąchania odchody lwa, mimo że minęły tysiąclecia, odkąd musiały się lękać tych zwierząt.

Tak naprawdę wątpię, aby borsuki śniły o wilkach, zdążyły bowiem dokonać zasadniczych zmian w sposobie życia i uwzględnić bezwzględność swojego środowiska. Podejrzewam, że za zachowaniami poszła psychika. Tam, gdzie wciąż żyją wilki (na przykład w bardziej rozwitych częściach Europy Wschodniej), borsuki nie wiodą aż tak radośnie wspólnotowego życia jak tu. Nie znajdziemy tam wielkich, drażnionych przez pokolenia pałaców w osuszonych zboczach gór. Borsuki żyją tam w mniejszych, bardziej kameralnych i mniej rozbrykanych grupach. Na terenach, gdzie żyją wilki, borsuki poruszają się bardziej nerwowo, roztropnie i zmierzają po linii prostej do celu, co skraca czas żerowania, a w konsekwencji liczbę borsuków, która może przeżyć na danym obszarze. Owszem, wielkie nory są upragnionym celem wędrówek dla psychopatów z pitbullami, ale psychopaci z pitbullami nie potrafią polować równie skutecznie co wilki, poza tym nie lubią oddalać się za bardzo od dróg. Walia potrafi być okrutnym miejscem dla borsuków, ale i tak szczęśliwszym od Białorusi.

Jeżeli coś tak podstawowego jak struktura wspólnoty przybiera odmienną postać w związku ze zmianą głównego drapieżnika, spodziewałbym się, że to samo dzieje się ze snami. Świat snów borsuka musi odzwierciedlać emocjonalne zabarwienie lasu, a w lesie pełnym wilków dominuje czerwień i czerń.

Zawodowi biolodzy nie lubią rozmawiać o emocjach zwierząt. Wystarczy wypowiedzieć to słowo, a z ust przemawiających melodyjnymi akademickimi językami dobywają się wzburzone hausty wciąganego do płuc powietrza, przez czoła przetacza się meksykańska fala unoszonych brwi i dochodzi do wymiany pełnych politowania spojrzeń stwierdzających, że nieoświecony dyskutant nie należy do towarzystwa. Można mówić

o zdolnościach poznawczych zwierząt, ponieważ tego rodzaju rozważania są wygodnie osadzone w jedynej i niepodważalnej metaforze używanej przez behawiorystów z głównego nurtu nauki — czyli w komputerze — w której rękach zresztą sami są narzędziami. Jeżeli będziecie chcieli pogadać o zwierzęciu jako o urządzeniu funkcjonującym dzięki jakiemuś oprogramowaniu (czy nawet będącym tym oprogramowaniem), spotkacie się z przyjaznymi uśmiechami. Można rozmawiać o wskaźnikach dobrostanu: podnoszących się poziomach kortykosteroidów u nieszczęśliwych (przepraszam, zestresowanych) krów. Ale emocje? To już nie.

Żył kiedyś biolog, który nie nosił w sobie urazy do zagadnienia emocji u zwierząt. Był świetnym przyrodnikiem; życzliwym i rzeczowym obserwatorem, który nie przesiąkł darwinowskim redukcjonizmem na uniwersytecie. Nazywał się Karol Darwin i napisał znakomitą, choć niemal zupełnie zapomnianą książkę *O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt*. Oto jeden z odrobinę zawadiackich fragmentów:

Sir C. Bell chciał widocznie wykazać możliwie największą różnicę między człowiekiem a niższymi zwierzętami; twierdził więc, że „u niższych stworzeń nie ma innych ekspresji ponad takie, które odnoszą się wyłącznie lub prawie wyłącznie do wyrażania pragnień lub potrzebnych instynktów”. Utrzymywał on także, iż „twarze ich mogą, zdaje się, wyrażać głównie wściekłość i strach”. Jednak człowiek nie potrafi tak dobrze wyrażać miłości i pokory za pomocą zewnętrznych oznak, jak pies, który wita swego ukochanego pana ze zwieszonymi uszami, obwisłymi wargami, wyginając ciało i merdając ogonem. Nie można tych ruchów wytłumaczyć wpływem pragnień lub podobnych instynktów; tym bardziej nie dałoby się w ten sposób wyjaśnić blasku w oczach i uśmiechu na twarzy u człowieka, który spotyka starego przyjaciela. Gdyby sir C. Bell był zapytany o sposób wyrażania przywiązania u psa, niewątpliwie odpowiedziałby, że zwierzę to zostało stworzone ze specjalnymi instynktami, przystosowanymi je do towarzyszenia człowiekowi i, że wszelkie dalsze pytania na ten temat są zbędne^[3].

A to ledwie jeden z pierwszych akapitów dość długiej

książki Darwina. Dalsze pytania na temat prawdziwych emocji u zwierząt uważał on za jak najbardziej zasadne. Tak to już jest, kiedy człowiek zajmuje się biologią w prawdziwym, warczącym, bolącym, radosnym świecie, a nie w pozycji więźnia paradygmatu.

Kiedy doświadczam przyjemnego bodźca, mięśnie mojej twarzy kurczą się w określony sposób. Kiedy pies doświadcza bodźca oznaczającego dla niego jakąś korzyść, porównywalną do korzyści, której wskaźnikiem jest moja przyjemność, mięśnie jego pyska kurczą się w mniej więcej identyczny sposób do moich. Zwróciliście uwagę, z jaką ostrożnością posługuję się tu językiem świata akademickiego? Czy to nie absurdalne? Nie lepiej byłoby dobrać brzytwy Ockhama oraz czerwonego długopisu redaktora i porozmawiać o przyjemności, jaką odczuwają zwierzęta?

A skoro mielibyśmy mówić o przyjemności, to dlaczego też nie o innych emocjach?

Każdy, kto widział kiedyś bawiące się psy, ocierające się o nogi koty albo jerzyki wykonujące bezsensowne z termodynamicznego punktu widzenia akrobacje dla samej piszczącej, rozbawionej, entuzjastycznej frajdy, zareaguje na tę dyskusję zdumieniem i niedowierzaniem. Nie będą mu potrzebne moje wyważone argumenty, aby dojść do wniosku, że kiedy twarz zwierzęcia wykrzywia się w podobny sposób co nasza w reakcji na jakiś bodziec, który potrafimy zinterpretować jako obrzydliwy, w warstwie „emocjonalnej” zwierzęcia zachodzą zapewne zjawiska porównywalne do tych, które my sami przeżywamy. Wydaje się nieprawdopodobne, żeby dobór naturalny wyposażył w emocjonalne pochodne stanów naszego świata tylko ludzi.

Nie upoważnia nas to jednak do przyjęcia stanowiska antropomorficznego. Stwierdzenie, że coś jest

porównywalne, nie oznacza, że jest tożsame. Dotyczy to zwłaszcza strachu. Zabarwienie mojego strachu nie przypomina w najmniejszym stopniu charakteru lęku u innych ludzi.

Mimo że zabarwienie strachu borsuka ma ten wyrazisty, ostry, niezapomniany odcień niebieskiego, nie dominuje ono w paletcie kolorów składających się na jego świat. Może kłaść się półcieniem wokół wykonywanych przez niego akrobacji, jego pożądania i głodu, podobnie jak mnie otacza kolczasta szarość świadomości, że prędzej czy później umrę.

Czy borsuki obawiają się własnej śmierci? Z pewnością nie chcą umrzeć, o czym zaświadczą okaleczone pyski wielu terrierów. Tylko czym jest to coś, co nie chce przestać istnieć? Czy między borsukiem a jego genami toczy się w jakiś czarodziejski sposób dialog w rodzaju: „Jesteś naszym nosicielem: jeśli pozwolisz się zgładzić, nas czeka to samo. Daj zatem z siebie wszystko, dobrze? Zrób to dla nas”. „No dobra, czyli to jednak wy tu rządzicie?”. Biologia przyjmuje często milczące założenie, że właśnie z tego rodzaju rozmową mamy do czynienia.

Osobiście wolę prostszą i mniej popularną wersję, która zakłada, że borsuk ma realne poczucie własnej osoby i doświadcza realnych przyjemności, które obiera jako przeciwwagę dla cierpień. Borsuki są filozofami. Stworzyły sobie ideę Dobrego Życia, z czego wynika, że musi istnieć w nich świadome „ja”, które będzie dążyło do tego dobrego życia. Świadome „ja” nie chce stracić neurologicznej przyjemności płynącej z trącania nosem swojego dziecka, z zapachu dzikiego czosnku czy wicia się dżdżownicy na języku. Możecie oczywiście twierdzić, że wszystko to są nagrody przyznawane przez geny za wierną służbę wyposażonemu w silne szczęki genotypowi. Jak sobie chcecie. Tyle że nie pozbyłście się w ten sposób

świadomości ani Życiowego Dobrostanu, do którego ona dąży.



Włożyliśmy pieroga z rybą do plastikowego pudełka i zanurzyliśmy je w rzece, żeby pozostawało w chłodzie. Przechowywanie jedzenia w „lodówce” nie było pewnie szczególnie borsukowate. No, może trochę, ponieważ borsuki, zapaleni padlinożercy, wolą świeże zwłoki — mimo że te mocniej nadpsute są doprawione robakami, a borsuki teoretycznie powinny podskakiwać z radości na ich widok, niczym dzieci na widok kawałków czekolady w puddingu. Wątpię, żeby powstrzymywało je ryzyko zarażenia się jakąś chorobą. Borsuki bardzo szybko nabywają odporność i nie spędzają reszty życia na wymiotowaniu w paprotki. Każdy rozsądny rodzic powinien dodawać swoim dzieciom do mleka purée z dżdżownic: położyłoby to kres astmie i egzemie, zapobiegłoby również późniejszym lękom o niestrawność po zjedzeniu potrawy z jakiejś egzotycznej kuchni. Niemniej borsuki, podobnie jak wiele zwierząt i niektórzy ludzie, potrafią w razie konieczności zwymiotować, nie zwracając sobie tym faktem specjalnie głowy — robią to prawie w biegu. Chciałbym posiadać taką umiejętność.

Schowawszy pieróg, wdrapaliśmy się wyżej na brzeg i wygnietliśmy sobie legowisko w paprociach. Liście wznosiły się nad nami niczym żłobkowane kolumny zrujnowanej katedry. Zielone światło ześlizgiwało się po twarzy i szyi Toma gloniastą zielenią, nadając mu butwiejący odcień. Ze zdarzeń mniej poetyckiej natury — kleszcz wbiegł mu pod koszulkę. Kleszcze zawsze sprawiają wrażenie zagonionych. Uniosłem koszulkę i zacząłem obserwować jego poczynania,

ciekaw, jakie miejsce wybierze. U mnie zazwyczaj kierują się ku pachwinie albo pod pachę, co wydaje się logiczne, ale u naszych dzieci wgryzają się zwykle w tors, co wydaje się bezsensowne. Kto jednak wie, może słabsze unerwienie w tych miejscach zmniejsza ryzyko, że zostaną wykryte? W ten sposób nie są ponadto narażone na tarcie uginającego się stawu albo kołyszącej się moszny. Ten konkretny osobnik również zrezygnował z dyskretnej wilgoci pachy i zaczął się mościć nad żebrem. Rozgniotłem go między paznokciami.

W towarzystwie Toma w zasadzie nie muszę obawiać się kleszczy. Za każdym razem wybierają jego. Zapewne chodzi o zapach: udają się w jego stronę na długo, zanim mają okazję się przekonać, że jego skóra jest cieńsza i nie będą musiały się przedzierać przez nieprzyjemną dżunglę tłustego owłosienia.

Na ciałach wielu borsuków spotkamy żerujące kleszcze — zazwyczaj jeżowe, psie i owcze — niemniej zdarza się to rzadziej, niż można by się spodziewać. Twarda skóra musi sprawiać im pewien kłopot, więc wgryzają się zazwyczaj w cieką skórę odbytu albo krocza, a nie jak u psów w głowę, szyję i cieką skórę podbrzusza czy wewnętrznych części ud.

Zaleganie poza norą w ciągu dnia nie jest obce borsukom, choć nie stanowi reguły. Zwierzęta te, podobnie jak ja i Tom, zaszywają się w kępie roślinności i leżą tam do zmierzchu, kiedy przychodzi czas na kolejną rundkę dreptania i polowania. Nie wiemy, dlaczego to robią. Być może w gnieździe panuje napięta atmosfera i borsuk nie jest w stanie znieść myśli, że miałby spędzić dzień obok tego żalosego, zrzędlivego, wstrętnego Iksa. Niewątpliwie czasami świt zastaje je z dala od domu, a one nie mają ochoty mierzyć się z falą porannych wyprowadzaczy psów.

Za dnia poza norą bawią się zwłaszcza młode osobniki. To u nich odpowiednik nastoletniego buntu, który u ludzi przybiera postać wracania do domu o nieodpowiedzialnie późnej porze. Nie potrafię sobie wyobrazić, aby dni spędzane na zewnątrz mogły być szczególnie relaksujące. Nawet jeśli również w norze borsukom grożą rozmaite niebezpieczeństwa, można się tam z nimi zmierzyć wspólnie z innymi, stosując stare wypróbowane metody. Tymczasem odosobnienie, nieznanie miejsce i słońce to dla nich trzej jeźdźcy apokalipsy. Są to zwierzęta z natury społeczne, konserwatywne i żyjące w cieniu. W promieniach słońca dosłownie zamierają. Można odnieść wrażenie, jakby wyłączały im się wtedy zmysły. Za dnia o borsuka można się prawie potknąć. Będzie wtedy sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego. Są to zwierzęta dwufazowe: albo żyją na pełnych obrotach, albo nieruchomieją. Funkcjonują na pograniczu dnia i nocy, gdzie nie ma miejsca na połowiczne zaangażowanie.

Tom zrobił się senny i poszedł spać, zwinięty w pozycję embrionalną na starej paproci, z wciśniętymi pod brodę łapkami, poczerniałymi od kopania w ziemi. Ja również potrzebowałem snu, ale go sobie odmówiłem. Wzorem sparaliżowanych przez słońce borsuków wpatrywałem się w pustkę. Byłem grudką beczynnego oprogramowania w obudowie z mięsa.

Później często powtarzaliśmy to zachowanie. Musieliśmy upodabniać swój rytm do rytmu borsuka, co oznaczało przesypianie dnia, choć, przynajmniej początkowo, przesiadywanie w norze wprawiało mnie w lekkie przerażenie. Czy mogło tak być z powodu odwiecznego lęku przed byciem pogrzebanym żywcem? Jeżeli tak, byłoby to dość dziwne. Grzebanie żywcem rzadko kiedy było wykorzystywane jako metoda egzekucji, a moi przodkowie

przez tysiąclecia mieszkali i szukali schronienia w jaskiniach. Pogrzebanie kojarzy się ze śmiercią, ale większość z nas boi się nie tyle śmierci co umierania. Myśl, że nasze ciało ulegnie fizycznemu rozkładowi raczej nas intryguje, niż przeraża. Mimo że jesteśmy konserwatywnymi zwierzętami, dla których myśl o tym, że zostaniemy zjedzeni i strawieni wymaga pewnej pracy psychologicznej, nie budzi w nas to trwałej niszycielskiej grozy. Jeżeli czegoś się lękamy, to raczej utraty rozległego widoku na świat, jaki zapewniają nam długie nogi — widoku, dzięki któremu jesteśmy istotami sięgającymi wzrokiem po daleki horyzont, a przez to dysponującymi niewyczerpanymi możliwościami. Być znaczy widzieć, widzieć znaczy kroczyć, a kroczyć znaczy dysponować wyborem. Nawet panika klaustrofobii, którą poznałem, przeciskając się przez wąski tunel gdzieś w hrabstwie Derbyshire, sprowadza się w istocie do niezadowolenia z ograniczonych możliwości.

Oplatały mnie ściany naszej nory, pulsujące niczym macica, ale niezapewniające podobnego poczucia bezpieczeństwa. Ziemia wykrzywiała się, szarpała, rozrastała się, nabrzmiwała. Robak wpadł mi do ust. Borsuk uznałby ten fakt za naturalny porządek rzeczy — jak wylegający się na sofie pasza, któremu niewolnik podaje do ust winogrono — mimo że robak ten składałby się prawdopodobnie z nieżyjącej babci borsuka pogrzebanej gdzieś w ścianie nory. Zakrztusiłem się cicho i usnąłem ponownie z twarzą wtuloną w paprociową podściółkę.

Pierwszych kilka dni i nocy spędzonych pod ziemią wiele mnie nauczyło. Przekonałem się, że mimo moich kudłatych, anarchicznych zapędów jestem żalosnym mieszczuchem: wolałem pobielony mur z cegieł od nieustannie zmieniającej się, fascynującej prawdziwej ściany z ziemi oraz regularność wzorów na tapecie od Naturalnego Wystroju. Ale największy

niepokój wzbudzało we mnie to, że w każdym przypadku wolałem sztuczny wytwór od naturalnego. Wolałem moje wyobrażenia na temat borsuków i dziczy od prawdziwych borsuków i prawdziwej dziczy. Stawiały mi one znacznie mniejsze wymagania. Były posłuszniejsze i mniej skomplikowane. Poza tym nie obnażały tak wyraźnie moich niedostatków.

Wszystko to były symptomy paskudnej choroby, na którą wcześniej miałem nadzieję być uodporniony — kolonializmu. „Niech [ludzie] władają rybami morza i ptactwem nieba, i domowymi zwierzętami, i wszelkimi płazami, pełzającymi po ziemi”, słyszymy^[4]. Stwierdzenie to, interpretowane dosłownie — a przecież tak właśnie je interpretowano — ma katastrofalne skutki. Można przejść od pierwszego rozdziału Księgi Rodzaju prosto do sali spotkań rady nadzorczej koncernu bioinżynieryjnego Monsanto, robiąc sobie po drodze kilka przystanków, aby obejrzeć zagładę zwierząt stadnych: przy kilku pustyniach, gdzie na sproszkowanych azotniakach uprawia się ogromne ilości ogórków; przy tankowcu „Torrey Canyon”, z którego wyciekło 120 tysięcy ton ropy naftowej; przy fermach przemysłowych położonych na skraju cofającego się lodowca i w wielu innych krzepiących miejscach. A skoro już wyruszyliśmy w trasę, warto jeszcze rzucić okiem na popularną na wszystkich kontynentach rozrywkę polegającą na polowaniu na rdzennych mieszkańców tych ziem — ostatecznie nie zostali oni stworzeni na podobieństwo Boga, nieprawdaż?

Świątoszkowato wyobrażałem sobie, że biorę udział w partyzanckiej walce z tego rodzaju wynaturzonym biblicyzmem. Tymczasem leżałem w norze przepełniony urazami, a do głowy przychodziły mi dokładnie te same myśli, którymi teoretycznie pogardzałem. Uważałem się za lepszego od dzikich zwierząt, bardziej zaawansowanego, za

nowszy model, za apogeum ewolucji.

Dowiedziałem się także innych rzeczy. Między innymi tego, że wszyscy ludzie do pewnego stopnia zdają sobie sprawę z absurdalności człowieczych pretensji; wiedzą, że istnieje lepsza droga niż kolonializm. Oto dowód: weźcie eleganckiego bankiera ze Stuttgartu albo Zurychu. Wywieźcie go do lasu i zupełnie bez ostrzeżenia połóżcie na jego wypielęgnowanej dłoni śliczne, wysuszone gówienko wydry albo garść lisich bobków. Przyjrzyjcie im się dokładnie, uważnie je obwącha. Teraz podajcie mu psią kupę. Rzuci ją na ziemię i zwymiotuje lunch, który zjadł w drogim barze. Eksperyment ten dowodzi, że można sobie wyobrazić bankiera uznającego generalną szlachetność dzikości, potrafiącego odnaleźć w sobie resztki tego szlachetnego dzikusa. Psia kupa uaktywnia w nim niesprecyzowaną niechęć do tego, co udomowione.

Przekonałem się również, że możliwa jest prawdziwa, trwała zmiana — naszych smaków, lęków i poglądów. I że zmiana ta musi następować w odpowiedniej sekwencji. Najpierw nauczyłem się lubić tę moją nieszczęsną norę. Siła nawyku jest niezwykle potężna. Potrafi uporać się niemal ze wszystkim. Sam fakt regularnego powracania do nory i posiadania na jej końcu legowiska zmienił moje nastawienie do mieszkania pod ziemią. Po tym pierwszym szczeblu wspiąłem się ku bardziej złożonym formom zrozumienia: polubiłem kształt wylotu tunelu, czyli okna na świat skąpanego w promieniach słońca; polubiłem szeroki wachlarz zapachów, które wychwytywał mój nos, kiedy wypełzałem z zakurzonego paprociowego pośłania przez odcinek wyłożony trawą, przez szyjkę macicy z ziemi i gnijących liści na zewnątrz, dysząc z wysiłku i wpadając na krzak dzikiego bzu albo dąb, a często również (jako że Tom jest zapalonym piromanem) w kłęby dymu. Wtedy też —

ponieważ trudno lękać się tego, co się lubi — cała ta wirująca przed oczami atawistyczna panika zaczynała powoli ustępować. Nie wpadałem w panikę, nie stojąc na moich faktycznych i metaforycznych tylnych kończynach, nie lustrując odważnie odległych panoram, nie interpretując ich i nie snując dalekosiężnych wizji. Nie czułem dyskomfortu, leżąc w ciemności, otoczony skrobiącymi, brzęczącymi i wijącymi się zwierzętami, które mnie kiedyś pochłoną. Wystarczyło wykonać mały krok, żeby zubożnąć na perspektywę, że zostanę kiedyś zjedzony albo że następuje to już teraz. W takiej sytuacji człowiek staje się prawdziwym ekologiem, który zna swoje miejsce na ziemi. Cały ekokolonializm zniknął. Dopiero wtedy, po zakończeniu tej męczącej i przygnębiającej metafizycznej podróży, można się tak naprawdę zabrać do borsuczenia.

Upodabnianie się do borsuka polega w głównej mierze na doprowadzeniu do sytuacji, aby las mógł oddziaływać na nas w taki sam sposób, w jaki oddziałuje na borsuka. Siedzi się w tym lesie w czasie deszczu; wychodzi się do niego w tych samych porach co borsuk; leży się zwiniętym pod ziemią (nie sposób postrzegać świat jako swoje królestwo, kiedy znajduje się on nad naszą głową, przygniata nam nogi i zsypuje nam się do oczu); porusza się przy ziemi, przez co dzwonki ocierają nam się o twarz, a nie o buty. Niemniej istnieje kilka zasadniczych fizjologicznych przeszkód, które nie pozwalały nam w pełni wejść do borsuczego świata. Był to głównie zapach.

Jako człowiek żyję w świecie wizualnym. Mam duże oczy i odpowiednio duży obszar w mózgu odpowiedzialny za przetwarzanie dostarczanych przez nie danych. Co istotne, przetworzone bodźce zostają uzupełnione o wynik przetwarzania kognitywnego, przez co kiedy mówię, że widzę górę, będzie to zupełnie inna góra od tej, którą opisałby inny

człowiek. „Widzę” tę górę przez szereg „wyższych” filtrów zlokalizowanych w korze mózgowej: mitów, domniemań, wspomnień, odwołań, aluzji. Istnieją sposoby na wyłączenie tych filtrów. Wiele z nich pochodzi z kultury wschodniej; zdarzało mi się posługiwać niektórymi z nich. Mimo że jest to trudne, można nauczyć się widzieć kwiat. Tak czy inaczej, u człowieka mamy do czynienia z widzeniem.

Świat borsuka składa się w głównej mierze z zapachów. Podstawowe cegiełki, z których jego mózg buduje świat, powstają w nosie. Fizyczne granice jego życia są wytyczane przez zapachy. Terytorium zostaje oznaczone za pomocą odchodów, które u każdego osobnika odznaczają się charakterystyczną wonią. Wszyscy jesteśmy ostatecznie podłożem dla bakterii, a bakterie robią z każdym z nas trochę — albo skrajnie — co innego (każdemu z nas zdarzyło się znajdować w ciepłym pomieszczeniu z nieumytym nastolatkiem, który nie używa dezodorantu). Podobnie ma się sprawa z borsukami. Każdy z nich posiada swój charakterystyczny aromat — mieszanę wydzieliny piżmowego gruczołu ogonowego i produktów działalności bakterii.

Zapach nie służy wyłącznie do wytyczania granic świata. Nosy nasycają również świat borsuka formą, barwami i osobowością. Dla borsuka, z jego dość słabym wzrokiem, szczawik zajęczy składa się głównie z zapachu szczawiku zajęczego; wzniosły grab przybierze w upalny dzień spiralny kształt aromatycznego wiru, który unosi pył w kierunku korony, a w chłodny dzień — niskiego garbu cierpkich porostów, z którego sterczy jakiś niewyraźny komin. Martwy jeź ma kształt jeża, potem kolejno zielonej woni, flaków, słodczy, skwarków, a na koniec żuka.

Literackim sposobem opisanie tego zjawiska byłyby zapewne autobiograficzne przemyślenia osoby dysponującej

zdolnością synestezji — na przykład wyczuwaniem zapachu kolorów czy smaku liczb albo postrzeganiem każdej litery w charakterystycznej dla niej barwie. Ale tego rodzaju literatura (w tym Nabokova, który niezmiernie usiłował opisać zjawisko synestezji) okazuje się dziwnie niepoetycka i uboga w przemyślenia. Można odnieść wrażenie, jakoby dar wielowymiarowego postrzegania świata pozbawiał ludzi umiejętności opisywania go. A może po prostu ich świat nie daje się opisać słowami, co kiepsko wróżyłoby mojej książce czy jakiegokolwiek innej próbie uchwycenia jakiejś skrajnej odmienności? Najśmielszej, a przez to najmniej nieudanej próby artystycznego oddania synestezji dokonał Olivier Messiaen, który opracował nowy styl muzyczny, aby pokazać, co to znaczy żyć w dwóch przenikających się strefach sensorycznych.

W porównaniu z borsukiem człowiek jest niemal całkowicie ślepy w wymiarze węchowym. Naszego pejzażu węchowego nie postrzegamy nawet w kategoriach zarysów, a jedynie w formie niesprecyzowanych obszarów o mglistych granicach. Wyobraźcie sobie, że idziecie ulicą i widzicie nie twarze czy sylwetki, ale kołyszący się rattanowy dywan. Taki poziom szczegółowości osiąga nasze postrzeganie węchowe.

Nie wpadłem jednak z tego powodu w rozpacz. Pamiętałem, że ludzie są niezwykle plastycznymi istotami i że niewidomym zdarza się nawet opanować sztukę echolokacji. Nie pozwala to napisać wiarygodnego rozdziału o nietoperzach, ale wystarcza, żeby nie wpadać na ściany. Taką właśnie funkcję ma stukot białej laski: fale dźwiękowe odbijają się od przeszkód i wracają do mózgu, który składa z nich prymitywny obraz otoczenia. Przypomniał mi się również Jack Schwartz, który twierdził, że widzi aury wokół wszystkich ludzi i potrafi dostrzec światło w zakresie fal mierzących między 335 a 1700 nanometrów, czyli tysiąc

nanometrów poza przedziałem normalnie dostępnym dla człowieka. Jeszcze lepiej zapamiętałem sobie Johna Adamsa, fizjologa, który przeprowadził testy sprawdzające umiejętności Schwartza. Zdumiony uzyskanymi wynikami naukowiec postanowił zbadać własny wzrok, odrzucając tradycyjne założenia na temat potencjału ludzkiego wzroku. Odkrył, że jego oczy postrzegają sporą część podczerwonego przedziału spektrum, która teoretycznie powinna być dla nich niewidoczna.

Uparcie próbowałem przemienić się w istotę polegającą w większym stopniu na węchu. Zapisałem się do grupy miłośników degustowania wina „na ślepo”, z którymi zgodnie wydawaliśmy „ochy” i „achy” i posługiwaliśmy się twórczo przymiotnikami. W każdym pomieszczeniu w moim domu paliłem inny rodzaj kadzidła, próbując uzupełnić wizualny obraz pokoju o doznania węchowe, a jednocześnie ucząc się, gdzie prądy powietrza opadają, a gdzie się wznoszą. Wąchałem z zawiązanymi oczami ubrania moich dzieci. Rozłożyłem różne rodzaje sera w każdym kącie pokoju, poprzestawiałem meble, aby pozbawić się innych wskazówek, znów zawiązałem sobie oczy, obróciłem się kilka razy, aby stracić orientację, po czym spróbowałem ustalić swoje położenie jedynie na podstawie zapachu. Kiedy na powitanie i pożegnanie — jak na przedstawiciela klasy średniej przystało — całowałem się z kimś w policzek, starałem się wyczuć zapach tej osoby. Każdego dnia zrywałem liście z innego gatunku drzewa i kładłem je sobie w nocy na poduszce. Przeważnie jednak leżałem na zewnątrz z nosem przy jakimś przedmiocie albo na określonej wysokości nad ziemią, sprawdzając, w jaki sposób zapachy zmieniają się w ciągu dnia, w różnych porach roku i na odcinku między poziomem gruntu a wysokością, na której normalnie znajdowałby się mój nos.

Woda wyzwala zapachy. Po burzy na terenie bogatym w skały wapienne mamy okazję nawdychać się aromatu zmarłych dawno temu krewetek. Dzięki wodzie oddycha również reszta świata — jest to może botaniczny truizm, ale jednocześnie niezaprzeczalny fakt. Wczesnym porankiem w lecie grunt jest względnie chłodny, a woda, która skondensowała się na nim w nocy, zaczyna parować, uwalniając prawdziwy zapach ziemi. W miarę jak robi się coraz cieplej, zapach ziemi unosi się, czasami bardzo szybko, aż powstaje słynny *breast-high scent* — silny aromat, pod wpływem którego psy myśliwskie puszczają się pędem naprzód, często zbyt odurzone, żeby wydać z siebie jakikolwiek odgłos. Ten czysty zapach ziemi wznosi się niewiele powyżej łap psa czy głowy borsuka. Kiedy słońce wschodzi na tyle wysoko, aby uwolnić z ziemi jej aromat, rozgrzewa jednocześnie powietrze, które zaczyna lekko wirować, przetaczać się i przemieszczać, przez co wszystkie obszary położone co najmniej pół metra nad ziemią zostają odcięte od lokalnych zapachów. Borsuk, który w czerwcu o siódmej rano znajduje się wciąż poza norą, wracając z całonocnego robakobrania, wyczuje korony drzew i rdestnicę rosnące po drugiej stronie doliny.

W zimie sytuacja wygląda inaczej. Nie występują wtedy tak drastyczne różnice w temperaturach, dzięki którym gleba może wyskoczyć w powietrze. Zapach chroni się w ziemi, jak wszystko inne, co potrafi się w niej zakopać. Ale nawet tam zapach jakoś zamiera. Kiedy w połowie grudnia odkopaliśmy ośnieżone wejście do naszej nory, okazało się, że chłód stłumił zapachy. A może znieczulił nasze nosy. Neurony nie pracują najlepiej w niskich temperaturach. Producenci piwa, które nie smakuje niczym konkretnym, przekonują bardzo roztropnie, że powinno się je pić mocno schłodzone: to jedyny sposób, żebyśmy nie poznali ich mrocznego sekretu.

Kiedy wieczorem następuje spadek temperatury, gleba, która przez cały dzień pochłaniała słoneczne kalorie, utrzymywała ciepło dłużej niż powietrze. Wydawało się nawet, że ten chłód pełni funkcję koca przyciskającego mocno zapach do ziemi. Jest to bardzo korzystne dla borsuków, które interesują się głównie tym, co znajduje się na ziemi i tuż pod jej powierzchnią. To również jeden z głównych powodów, dla których borsuki wychodzą z nor po zachodzie słońca.

Moje próby wkroczenia w świat zapachów zakończyły się częściowym powodzeniem. Napotkałem oczywiste i frustrujące ograniczenia. Nauczyłem się zwracać większą uwagę na zapach, czasami udawało mi się również na sekundkę pojąć, jak może wyglądać pejzaż odmalowany zapachami. Ale te przebłyski były jedynie ekstrapolacjami dokonywanymi przez moją wyobraźnię. Czynnikiem ograniczającym okazało się natężenie docierających do mnie sygnałów. Nie miałem możliwości zwiększenia liczby albo czułości receptorów węchowych, aby zbliżyć się do poziomu percepcji borsuka. Mogłem tylko zadać sobie pytanie: „Jeżeli dane o natężeniu x powodują taki skutek, jaki efekt miałyby dane o natężeniu $1000x$?”.

Trudno pisać się o zapachach. Bezsensem byłoby wyliczanie tu wszystkich przymiotników i metafor, których sam używałem do opisu zapachu tasznika pospolitego na mojej poduszce albo rosnącego w lesie szczyru trwałego. Określenia te mogłyby wam powiedzieć coś o mnie, ale nie o borsukach albo lesie.

Czy borsuki posługują się przymiotnikami? Przypuszczam, że opisują sobie jakoś rzeczywistość, z czego wynikałoby, że muszą ich używać. Ich świat nie sprowadza się przecież do wielkiego, wilgotnego rzeczownika; dużej kluchy „byt-ności”. Przymiotniki są następstwem postrzegania świata

w odcieniach.

Zupełnie inaczej ma się sprawa z metaforami. Ich tworzenie wymaga procesora centralnego o dużych mocach obliczeniowych. Borsuki dysponują przyzwoitą mocą obliczeniową, ale wykorzystują ją do innych, zapewne ciekawszych, celów niż wspieranie branży metaforycznej — a mianowicie do wyszukiwania powiązań między odrębnymi elementami świata i wykorzystywania tych powiązań do własnych potrzeb. Metafory przydają się w przeskokach myślowych, a tym samym w radzeniu sobie z szokująco nowymi okolicznościami. Tymczasem borsuki polegają na rutynie: śpią, budzą się, przeciągają, wypróżniają w jednej z wyznaczonych w norze latryn albo na granicy terytorium, objadają się dżdżownicami, zapadają w sen — i potem wszystko od początku. Trudno sobie wyobrazić, że proces ten zostałby w jakikolwiek sposób usprawniony, gdyby na jakimś etapie borsuk stwierdził, na przykład, że drzewo jest jak matka.

Chcę przez to powiedzieć, że sposób, w jaki nieuchronnie postrzegam i opisuję borsuczy świat zapachów, będzie zawierał elementy niemające żadnego odpowiednika w faktycznym życiu borsuka. Będą czysto ludzkim wytworem. To właśnie jest główne źródło nieautentyczności.

Ale może wcale nie stoję na przegranej pozycji, ponieważ borsuka niespecjalnie interesuje sam szczyr trwały. Jego aromat zostaje natychmiast zamieniony na całkowicie odmienną informację, na przykład: „Kiedy wczoraj w nocy doszedłem do tego miejsca, jakieś dwadzieścia kroków dalej i trochę na prawo leżał stary pień, a pod tym pniem znalazłem sporo tłusciutkich dżdżownic. Zjadłem trochę, ale może zostało ich tam więcej”. Nie dowiem się, jaką reakcję w mózgu borsuka wywoła nagłe pojawienie się aromatu szczyru trwałego, ale czy ma to jakiekolwiek znaczenie?

Mogę w przybliżeniu przypuszczać, co z niego wynika. Nie jestem w stanie wyszkolić moich zmysłów (choć mogę wyszkolić mózg, aby lepiej radził sobie z dostarczonymi przez nie sygnałami), ale mogę wprawić się w tłumaczeniu bodźców zewnętrznych na podstawowe sądy logiczne borsuczego żargonu.



Kilka dni później Burt wrócił swoim ryczącym pojazdem z chorizo i wieściami. Te ostatnie dotyczyły jakichś liczb z budżetu państwa oraz nadciągającej burzy. Miałem zupełnie gdzieś wspomniane liczby, co uznałem za pokrzepiający objaw. Co innego, jeśli chodzi o burzę.

– Tylko pamiętajcie — powiedział Burt, wsiadając z powrotem do land rovera — że macie być nadzy. Nagusieńcy.

W Rozdziale 1 wychwalałem nagość i gołe stopy Frasera Darlinga. Nie odwołuję tych słów, ale tym razem Burt nie miał racji. Borsuki dysponują grubym zewnętrznym płaszczem szorstkich włosów i wewnętrzną otuliną w postaci delikatniejszego owłosienia. Obie warstwy niezwykle skutecznie zatrzymują w sobie powietrze. Borsuk porusza się otoczony powłoką ciepła. Rozebranie się do naga oddaliłoby mnie zatem znacząco od jego świata doznań sensorycznych. O wiele bardziej zbliżyłem się do niego w spodniach z kreciej skórki i tweedowej kurtce. W tym właśnie odzieniu, zaraz po odjeździe Burta, położyłem się spać w najdalszym zakątku naszej nory.

Mieszkaliśmy w lesie od niedawna, mimo to uważaliśmy go już za swój. Właśnie z powodu tego poczucia własności, a nie jakiegokolwiek niepokoju związanego z fizycznymi

zagrożeniami, o świcie wyłanialiśmy się ostrożnie z nory i zaczynaliśmy wciągać powietrze przez nosy, dokładnie tak, jak to czynią borsuki. Naruszone poczucie własności przybiera postać zagrożenia.

Wychodziliśmy codziennie spod ziemi i staraliśmy się przez cały czas trzymać blisko niej. Wcześniej uważałbym łażenie na czworakach po lesie za przejaw absurdalnej pretensjonalności, ale teraz cokolwiek innego wydawałoby mi się nieznośną arogancją. Więcej, zaczęliśmy rozumieć, jak wiele byśmy wtedy stracili. Chodzenie na tylnych kończynach przypominałoby oglądanie lasu na ekranie telewizora w sytuacji, gdy moglibyśmy się do niego udać osobiście.

Kiedy wychodziliśmy z nory, nasze głowy zaczynały się przechylać na boki, co wyglądało identycznie jak u wężącego borsuka, niemniej wymuszone było przez naszą niezgrabną anatomię. Długie nogi i ręce wydawały się czynić nas równie niepełnosprawnymi, jak gdybyśmy ich nie mieli. Przedzieraliśmy się przez paprocie, trzciny i ostre trawy. Przeniosłem się dwa metry w dół a jednocześnie wiele milionów lat wstecz w świat borsuka. Moje zmysły, które okazały się tu najbardziej przydatne — węch i słuch — przedstawiały się żałośnie w porównaniu z ich borsuczymi odpowiednikami. Próbowałem uchwycić świat borsuków przez rękawice kuchenne. Mimo to był on obiektywnie ciekawszy od mojego. Na wysokości 18 centymetrów i poniżej dzieje się znacznie więcej niż na wysokości 180 centymetrów i powyżej.

Nie ulega wątpliwości, że właśnie z tego powodu dobór naturalny dokonał takich, a nie innych wyborów. Na borsuczej wysokości nad ziemią oczy są dość bezużyteczne. Nie widziałem dalej niż na kilkanaście centymetrów. Tymczasem stawki za miejsce w czaszce są najwyższe na

rynku. Byłoby głupotą przeznaczać niepotrzebnie dużą ilość tego miejsca na przetwarzanie sygnałów wzrokowych. Nawet w zapadających szybko ciemnościach widziałem lepiej od borsuka. Kiedy uniosłem głowę, zobaczyłem nietoperze migające między koronami dębów, sowę płomykówkę sunącą bezgłośnie nad zabudowaniami na polu po drugiej stronie rzeki, grzywacze szykujące się nerwowo na nadchodzący zmierzch. Żadne z tych zwierząt nie występuje w nocnym świecie borsuka, który zamiast tego rodzaju urokliwych podniebnych widoczków wybiera ciemne, lepkie, oślizgłe, wilgotne, twardsze przyjemności. Opuszczenie głowy przypominało przejście z filharmonii wypełnionej dźwiękami muzyki Szuberta do oświetlonego płomieniami świec burdelu, w którym trzeba wychłęptać kufel piwa, żeby dostać się do łóżka. Gdybym miał opisać za pomocą jednego słowa świat borsuka, powiedziałbym, że jest intymny. Łodygi trawy i liście paproci ocierają wam się o twarz. Kiedy wytyczacie nową ścieżkę, każdy krok przypomina poród. Strząśnięta z liści woda zalewa wam oczy. Co chwilę coś przed wami umyka. Zsuwa się, odskakuje, odbiega. Nie tylko chłoniecie świat, ale go stwarzacie. Stwarzacie strach, który rozpierzcha się z szelestem we wszystkie strony.

Kiedy borsuk opuszcza norę, jego celem jest znalezienie jakiegoś pożywienia. Metoda niekontrolowanego zderzania się z lasem czyni go jego mieszkańcem w większym stopniu niż kogokolwiek innego. Kręciliśmy się, pochrząkiwaliśmy, rozgarnialiśmy liście, przepychaliśmy się i przytykaliśmy nosy do ziemi. Nawet my potrafiliśmy coś wyczuć: cytrusowe siki norników na ich ścieżkach w trawie; delikatnie morski smak śladu pozostawionego przez ślimaka, przywodzący na myśl kamienisty staw w zimie; rozkruszony wawrzyn żaby; pylistość ropuchy; ostre piżmo łasicy; stępione piżmo wydry; oraz lisa, którego zapach jest rudy nawet dla człowieka

o najsłabszych zdolnościach synestezyjnych na świecie. Najczęściej mieliśmy kontakt z tym, co nieporadnie nazywaliśmy ziemią: liśćmi, odchodami, zwłokami, domkami, deszczem, jajkami i innymi paskudztwami.

Rzeczy te przybierały dla nas postać pojedynczych słów, niekiedy krótkich zdań. Gdybyśmy dysponowali borsuczymi nosami, podzieliłyby się one z nami wielowątkowymi opowieściami, splatającymi się ze sobą, przechodzącymi jedno w drugie, oddzielonymi znakami przestankowymi możliwości i frustracji.

Kiedy w czasie kilku pierwszych nocy krążyliśmy z Tomem po lesie, posługując się nosami, czułem się coraz bardziej więźniem swojej wizualności. Kiedy zacząłem lepiej radzić sobie z tworzeniem węchowego obrazu jakiegoś kawałka lasu i odgadywaniem jego brakującej części, ogarnął mnie stan autentycznej paniki, żalu i poczucia straty typowych dla więźnia. Przygotowywałem niedorzeczne, mistyczne plany ucieczki, które zakończyły się niepowodzeniem. Ta sensoryczna klaustrofobia ani na chwilę nie ustąpiła. Kiedy modłę się teraz o odkupienie win, uwolnienie nosa znajduje się na jednym z czołowych miejsc na mojej liście.



Odtworzenie przynajmniej części borsuczego świata dźwięków okazało się w mniejszym stopniu skazane na porażkę. Borsuki znacznie lepiej od nas radzą sobie z wysokimi częstotliwościami. Prawdopodobnie słyszą dźwięki do około 60 tysięcy herców, podczas gdy najczulsze uszy ludzkich dzieci nie poradzą sobie z częstotliwością powyżej 25 tysięcy, a słuch wielu ludzi po 60. roku życia zatrzymuje się na poziomie ośmiu. Borsuki wychwycają piski

mieszkającego na brzegu rzeki nornika, które dla nas pozostają niesłyszalne. Na szczęście pisk można sobie wyobrazić. Mieszkam w domu, który jest ich pełen. Poza tym borsuk nie słyszy wyłącznie pisków. Większa, choć nie cała, część zakresu dźwięków słyszalnych dla borsuka jest nam dostępna. Borsuk usłyszy bażanty podrywające się z rogu pola, buczenie generatora w domu, nawoływania lasówek, beczenie spanikowanej owcy, która zaplątała się w drut kolczasty, i pomruk odległego grzmotu. Wiemy, że ich uszy wychwytyją tego rodzaju dźwięki, a niedługo potem w obszarach mózgu odpowiedzialnych za słuch wzmagają się aktywność elektryczna. Co konkretny borsuk „słyszy” w następstwie zmiany napięcia bębenka usznego, które my nazywamy dźwiękiem? Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Nie wiem, jak Mozart brzmi dla kogokolwiek poza mną (a powinienem nawet uwzględnić, że brzmienie dźwięku zależy w dużej mierze od moich procesów trawiennych). W tym przypadku problemem nie była fizjologia, ale odmienność, którą — w kontekście trudności związanych ze zrozumieniem charakteru złożonych procesów przetwarzania danych — niesłusznie sprowadzamy do poziomu fizjologii. Skąd mamy wiedzieć, że nie jesteśmy sami? Czystym aktem wiary będzie z mojej strony stwierdzenie, że istnieją rzeczy, które przeżywam podobnie jak moje dzieci i moi najlepsi przyjaciele. Podobnie żywię przekonanie, że borsuk słyszy bażanty, a nie tylko je zauważa. Jeżeli chodzi o dzieci i przyjaciół, moją wiarę wspierają do pewnego stopnia wyniki badań EEG, słuchowych potencjałów wywołanych prądem mózgu i obrazowania metodą rezonansu magnetycznego (o ile mi wiadomo, nie dysponujemy tego rodzaju danymi w odniesieniu do borsuków). Niemniej wsparcie to jest mocno ograniczone, dlatego nie zdziwiłoby mnie, gdyby ktoś nie podzielał mojej wiary.

Możemy ze sporą dozą prawdopodobieństwa powiedzieć, że borsuki niespecjalnie interesowały się wspomnianym generatorem. Bardzo szybko przyzwyczajają się do dźwięków, zwłaszcza odległych, które nie zwiastują żadnego zagrożenia. Buczenie nieuchronnie wzbudzało wibracje bębenków w ich uszach: takie są niezagłuszałne prawa fizyki. Tyle że ich mózgi ignorują te drgania, więc mamy tu do czynienia z ekscytująco zagłuszną biologią. Mózg postanawia nie korzystać z akurat tej cegiełki w budowaniu swojego świata. Zawodzące głosy lasówek istnieją w tym świecie, ale zwykle nie na poziomie „świadomego” słyszenia. Ich miauknięcia składają się na normalny dźwięk lasu. Zmiana tonu ich głosów może wskazywać na jakieś istotne zdarzenie, a zatem borsuk zwraca uwagę na tę zmianę, a nie na śpiew lasówki jako taki. Ja sam, nie znając znaczenia zmiany brzmienia głosów lasówek i nie dysponując odpowiednim kontekstem, wsłuchiwałem się w nie intensywniej, niżby to robił borsuk. W tym sensie mój las był większy i bardziej złożony od lasu borsuka. On i tak jest mocno skoncentrowany na swojej grze w przetrwanie, a koncentracja rzadko kiedy sprzyja estetyce. Jeżeli miałbym zgadywać, doświadczenie estetyczne borsuka ma charakter w głównej mierze relacyjny i jest ograniczone do doznań zmysłowych. Borsuki lubią tarzać się z dziećmi i drapać się po brzuchach w słońcu.

Co nie oznacza, że nie mogą poszerzać swojej palety osiągnięć i interpretacji sensorycznych. Skoro mi się to udaje, dlaczego nie mógłby tego dokonać borsuk? Jednym z oczywistych pomysłów była muzyka. Bożek Pan częściej grał na fletni niż przemawiał. Jeżeli muzyka Bacha wyraża (a nie ma co do tego wątpliwości) jedne z najbardziej podstawowych formuł naszego olśniewającego świata, należałoby się chyba spodziewać, że powinien mieć wzięcie

również w walijskim lesie, prawda? Jeżeli wprawia w przyjemne drgania moje DNA, czy nie powinien również łechtać DNA borsuka — jakże zbliżonego do mojego?

Podjąłem próbę zaznajomienia borsuków z muzyką bez większego przekonania i, jak się okazało, bez jednoznacznych wyników. Albo deszcz zalewał mi głośniki, albo baterie się wyczerpywały i nie pozwalały na urządzenie porządnego koncertu. Wiem jednak, że będę miał po swojej stronie większość właścicieli, których psy uwielbiają muzykę klasyczną. Słuchający gramofonu Jack Russell z klasycznego logo wytwórni HMV zacząłby darzyć równie wielkim uwielbieniem mszę a-moll Bacha co głos swojego pana, nawet jeśli mszy nie towarzyszyłoby poklepanie po grzbiecie i smakołyk. W filmie *Opowieść o płaczącym wielbłądzie* matka wielbłądzica, która z uporem nie dopuszcza swojego dziecka do piersi, zasłuchuje się w starej mongolskiej piosence i natychmiast odzyskuje humor. Wielbłądziątko zostaje dopuszczone do piersi i nie umiera. Matka pozwala mu się przyssać i dzięki temu może pełnić dalej rolę matki. Muzyka pokazuje rzeczywistość taką, jaka powinna ona być, a świat, w tym wielbłąd, nuci melodię, zasłuchany. Muzyka pełni funkcję defibrylatora, delikatnie przywracając rzeczywistości odpowiedni rytm. Wielka muzyka, wielka literatura i generalnie wielkie „cokolwiek” są wielkie, ponieważ zostały zbudowane z najbardziej podstawowych elementów; ponieważ jest w nich coś fundamentalnego. Przemawiają zatem do królów, plebsu, borsuków i lasówek. Stąd właśnie mój niezwykle ekstrawagancki akt wiary: jeżeli puścimy mszę b-moll borsukowi, to borsuk usłyszy mszę b-moll.

Borsuki nie tylko słyszą dźwięki z większego zakresu od ludzi, ale dysponują na nie większą wrażliwością. Mają ostrzejszy słuch. Uważa się, że, podobnie jak wiele ptaków,

potrafią wychwycić zgrzyt szczecinek dżdżownicy o ziemię.

Wyobraźcie sobie, co ze zwierzęciem obdarzonym takimi możliwościami zrobi koszmarne tsunami przejeżdżającego w pobliżu samochodu. Można to sobie do pewnego stopnia zobrazować. Posiedźcie kiedyś w nocy w jakimś odludnym miejscu. Wyjątkowo zostawcie w domu iPoda. Potem zbliżcie się po cichu do drogi. Pierwszy samochód zabrzmiał jak kolumna czołgów. Poczujecie wtedy, że zbezczeszczeni zostaliście zarówno wy, jak i ziemia. Więcej, stwierdzicie, być może z pewnym zaskoczeniem, że ponieważ zostaliście zbezczeszczeni i wy, i ziemia, musi was łączyć jakaś niedostrzegana wcześniej solidarność. A ponieważ spacer nocą nastraja romantycznie, być może pomyślicie nawet, że łączy was z tą ziemią pewna tożsamość. Poczujecie nienawiść i odrazę do kierowcy, a mimo to będzie wam przede wszystkim żal tego człowieka, który siedzi w kokonie klimatyzacji i słucha jakiejś banalnej muzyki w radiu. Wiecie już, co traci — więcej, doświadczacie tego. Zrozumiecie wtedy do pewnego stopnia wściekłość, jaką musi odczuwać borsuk, słysząc ryk silnika, czując drżenie drogi pod stopami i całe to cholerne towarzyszące im bombardowanie, przenikające do głębi i na wskroś — gwałt, obrazę, inwazję, totalitaryzm. Borsuki odbierają łapkami dźwięki o niskiej częstotliwości. Odległe stąpanie w ciemnym lesie dobiega do nich drganiem gruntu. Zamierają — co nie jest najlepszą strategią, kiedy zbliża się do nich autobus — i trwają tak, dopóki nie nabiorą przekonania, że wszystko jest w porządku (można im w tym pomóc odgłosami drapania: borsuki uwielbiają odgłosy normalności). Na drodze żaden z nas nie odzyska spokoju.



Zmierziała w naszą stronę duża czarna bela, niosąca z sobą wszystko, co najgorszego może zaoferować Nowa Szkocja. Zatrzęsła się nad Snowdon, upuszczając część zgromadzonych nad Atlantykiem słonych zdobyczy, a następnie potoczyła dalej, wznosząc się coraz wyżej i wyżej, aż rześkie zielone powietrze nad lasem rozcięło jej elektryczną powłokę. Zatoczyła się w dół, zagniewana i zmęczona, zagarniając deszcz, pył, pióra i gromady owadów w wielką belę siana i owijając je wszystkie elektryczną płachtą. Leżeliśmy z Tomem z nosami przy ziemi i odczuwaliśmy nadciągającą burzę wszystkimi włoskami na naszych karkach. Słońce opadało przez przepełnione napięciem, szarzące niebo.

W lesie zapanował zrozumiały pośpiech — wszyscy próbowali najeść się tego, co jedzą normalnie, zanim sytuacja zrobi się całkowicie nienormalna. Te okoliczności stworzyły nam okazję do odbycia zajęć wyrównawczych z posługiwania się węchem. Kiedy zapadły ciemności, znaleźliśmy się w wąskich tunelach dotyku i zapachu. Świat poza nimi składał się z dźwięków, ale ponieważ pełziliśmy z nosami przy ziemi, wydawał się coraz bardziej odległy i pozbawiony znaczenia, a kiedy w końcu lunęło, przeraźliwy huk kropel uderzających o liście przy naszych głowach zamienił się w kanonadę, która odcięła nas od resztek szerszego kontekstu. Nie mieliśmy szans usłyszeć szamotaniny grzywaczy na sąsiednim polu. Istniały tylko nasze głowy, otoczone sięgającą na jakieś piętnaście centymetrów aureolą syku, trzasków, mamrotań i zapachu. Kanonada rozbebeszyła grunt. Zapach wlatywał w powietrze tak szybko, że docierał nawet do naszych nosów. Wyglądało to tak, jakby ziemia pękała w szwach, pragnąc opowiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się tamtego lata. Nos borsuka

potrafi wyczuć opowieść wszystkich bohaterów leśnego dramatu; do naszych docierała jedynie splątana wiązanka, mimo to była dla nas czymś nowym i emocjonującym. Zdaję sobie sprawę, że nie istnieje coś takiego jak sztuka bez bohaterów; że kiedy usuniemy konkret, zostajemy nie z ogólnością, ale z niczym. Że ta ogólność jest potworną abstrakcją, od której właśnie uciekłem do tamtego lasu. Mimo to nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że do mojego nosa dociera właśnie zapach lata; i że takie zakończenie jest lepsze od braku jakiegokolwiek zakończenia.

Bębnienie deszczu o ziemię przywołało dżdżownice tak samo, jak bęben z orkiestry wojskowej przyciąga tłumy gapiów. Ziemia się otworzyła, a one wyślizgnęły się na powierzchnię, skapując ze zbocza góry niczym kozy z nosa zakatarzonego dziecka.

Podeszczowe dżdżownicowe bonanzy muszą stawiać borsuka przed dręczącym dylematem. Las staje się skrzypiącym szwedzkim stołem, ale kto chce się przy nim posilić, musi się zmoczyć. A borsuki to prawdziwi wygodnicy. Najbardziej lubią zwinąć się w kłębek obok swoich bliskich na posłaniu ze starych liści paproci, suchutkie i rozespiane, głęboko we wnętrzu góry. Czasami rezygnują z tego trybu, ale potrzebują dużej zachęty. Tamtej nocy dżdżownicom nic nie groziło. Podążyliśmy za borsukami do naszego kawałka góry.



Leżałem przy wejściu do nory. Wisiała przed nią kurtyna z wody przypominająca zasłony z koralików na sznurkach, którymi oddziela się toalety w chińskich restauracjach. Było niemal całkowicie ciemno — a przynajmniej dla moich

pręcików siatkówki — pomijając chwile, kiedy błyskawica zakreślała na niebie linie uskoków. Mimo to każda kropelka deszczu wydawała się działać jak siatkówka oka, pochłaniając światło z lasu i odbijając je w stronę moich, uradowanych tym faktem, siatkówek, zagłębionych w głowie zagłębionej w górze.

Naszą norę otaczały splecione palce korzeni drzewa: z jednej strony buku, a z drugiej dębu. Cały las uginał się pod naporem wiatru. Podział na „pod ziemią” i „nad ziemią” stracił sens — wszystko było ziemią. Bujaliśmy się w naszej kołysce z korzeni, które napinały się i trzeszczały niczym belki w podskakującym na falach statku. Leśna mysz, zmuszona do ucieczki z zalanej wodą i zawałającego się tunelu, wdrapała się do naszej nory i skuliła się w zgięciu kolana Toma.

Nie potrafiłbym zasnąć, gdyby się nie pojawiła, ale jej obecność mnie uspokoiła. Znajdowaliśmy się w najlepszym możliwym miejscu — w schronieniu, które uzyskało certyfikat bezpieczeństwa od dzikiego zwierzęcia — i dzięki tej świadomości co chwilę zapadałem w krótki, niespokojny, żeglarski sen, który po zsumowaniu okazał się wystarczający. Tom zapadł w głęboki sen, co w czasie burzy czynią zapewne również borsuki.

Burza nie dokonała spustoszenia — jedynie przetrzebiła. Gałęzie, które bezczelnie wyforowały się nazbyt wysoko, zostały przywołane do porządku i wykręcone w dół. Drzewa, które nierozważnie zużyły swój słoneczny cukier na liście, a nie na korzenie, nie poradziły sobie w zapasach z wiatrem. Rzeka zbrązowiła; martwa wrona krążyła w zakolu rzeki, jakby wypatrywała ścierwa na kamienistym dnie. Ale ekstremalny popis Nowej Szkocji okazał się nie tak straszny, jak go malują.

Nasza nora nie została w żaden sposób uszkodzona,

niemniej przepełnieni wdzięcznością i dumą, że przetrwała najtrudniejszą chwilę lata, z samego rana przystąpiliśmy do jej ulepszenia. Wykopaliśmy nową komorę, w której znalazło się miejsce na półki, wzmocniliśmy dach i wznieśliśmy z ziemi imponujący łuk nad wejściem. Tom dla rozrywki zajął się innymi robotami ziemnymi, a ja zapadłem w kamienny sen.

Początkowo sądziłem, że trudno będzie wejść w nowy rytm — spanie za dnia, opuszczanie nory i aktywność w nocy. Wiedziałem oczywiście, że możliwe jest stopniowe przestawianie zegara biologicznego. Była to nieskomplikowana kwestia związana z poziomami kortyzolu. Sądziłem jednak, że tego rodzaju zmiana wyczerpie mnie psychicznie, że tęsknota za słońcem uczyni samą rolę zwierzęcia prowadzącego nocny tryb życia aktem uciążliwego ataku na wszystkie moje instynkty.

Okazało się jednak inaczej. Kortyzol dopiero po czterech dniach dostosował się do sytuacji, ale ja już po dwóch zacząłem naginać go do swojej woli. Nie kryło się za tym nic szczególnie głębokiego, ale zwykła ciekawość wścibskiego turysty. Tamta pierwsza noc, jakkolwiek frustrująca, unaoczniała mi (nie, to słowo odnoszące się do doznań wzrokowych. „Wskazała”? Zbyt ogólnikowo. Potrzebujemy węchowego odpowiednika „wskazać”, ale taki nie istnieje) — zademonstrowała mi (dalej słabo, ale nie potrafię znaleźć lepszego słowa), że w lesie istnieje oszałamiający, niesamowicie ponętny świat, niezbadany i niepoznawalny przez człowieka poruszającego się w zwykłych, neutralizujących doznania sensoryczne butach. Chciałem go zbadać za wszelką cenę.

Nie chodziło tu o jakieś wniosło, dyktowane potrzebą serca poszukiwania wyjaśnienia zagadki inności, które chcemy poznać w rozpaczliwej nadziei, że sami zostaniemy

lepiej zrozumiani. Właśnie ta potrzeba napędzała w czasach elżbietańskich dążenie do odkrywania nowego świata. Każdego wieczoru wypływałem z portu, jakim była nasza nora, kierując się na zachód ku zmierzchającemu słońcu, w nadziei na zdobycie sławy, przypraw i, co najważniejsze, nowego miejsca do życia.



Burt wtoczył się do naszej doliny autem, choć jak na człowieka, który zostawił swojego (rzekomego) przyjaciela i jego młode w lesie, nad który nadciągała epickich rozmiarów burza, nie sprawiał wrażenia szczególnie zatroskanego. Tym razem przywiózł lazanię.

Widok jedzenia mnie zmartwił, ponieważ się nim nie przejmowałem: nie potrafiłem wzbudzić w sobie niepewności, jaka musi towarzyszyć życiu borsuka. Robiliśmy, co w naszej mocy: jedliśmy dżdżownice, na surowo i upieczone, oraz wszystko, czego dostarczała nam dolina, i co byliśmy w stanie pochwycić. Zdrapaliśmy wiewiórkę z drogi i zjedliśmy ją ze szczawikiem zajęczym i dzikim czosnkiem. Problem w tym, że Meg co chwilę podsylała coś przez Burta, a nam brakowało dyscypliny i bezczelności, żeby odsyłać te dary. Dysponowaliśmy ponadto sardynkami, tuńczykiem i fasolą, które spoczywały na dnie plecaka.

Późniejsze lektury pomogły nam lepiej zrozumieć tę kwestię. Borsuki nie mają zwykle fioła na punkcie polowania. Owszem, śmierć głodowa jest w miarę częstą przyczyną zgonów, ale głównie wśród młodych osobników. Wybór dżdżownic jako podstawowego składnika kuchni wiele mówi o borsukach. Dżdżownice to niezwykle odporne

zwierzęta — nawet na suszę. W większości angielskich terenów leśnych dżdżownice stanowią znaczącą część masy ziemi. Kiedy górna warstwa gleby wysycha, schodzą niżej, a borsuki zaczynają kopać. Suche noce robią się dłuższe i bardziej pracowite, ale choć brak wilgoci obniża szanse na skuteczne odchowanie potomstwa (co z pewnością sprzyja rozchwierutanej psychice), rzadko kiedy kończy się śmiercią poszczególnych osobników. Mogliśmy zajadać się tą lazanią bez większych wyrzutów sumienia.



– Byłoby szaleństwem oczekiwać, że zdołasz poznać ten las równie dobrze jak borsuk — stwierdził Burt tydzień później. — Nie będziesz go znał nawet tak dobrze jak ja, a borsuk zna go znacznie, znacznie lepiej. Moja rodzina siedzi tu dopiero od jakichś pięciuset lat, więc nigdy mi nie dorównasz. Człowiek, którego DNA pałęta się po tym lesie od pół tysiąclecia, wie więcej o świecie borsuka od kogoś, kto obwąchuje i przepęłza okolicę przez kilka tygodni.

Rozdrażniło mnie to. Postanowiłem zrobić wszystko, żeby wydrzeć Burtowi choćby jedną część lasu — borsuczą część. „Cóż w tym trudnego?” — myślałem. Burt jest tylko człowiekiem. Ja czułem się już w połowie borsukiem.

Pierwszym krokiem w każdej kampanii powinno być ustalenie, gdzie się znajdujemy. Potrzebna nam jest mapa. Trzeba ponadto wiedzieć, co będzie możliwe, a co nie. Drugi krok był prosty. Lata palenia skrętów zniszczyły Burtowi węch, a wiele pokoleń chowu wsobnego — jego mózg. My tymczasem mieliśmy za sobą ostre szkolenie węchowe z wykorzystaniem kawałków sera, nasze nosy podążały na borsuczej wysokości nad mierzwą; poza tym cechowała nas

pokora. A cóż to była za pokora! Nabrałem pewności, że nasza konkretna wiedza węchowa szybko przewyższy jego ogólnikowe, odziedziczone po przodkach rozumienie okolicy.

Przez kilka następnych tygodni wypełnionych tarzaniem się, skrobaniem i drapaniem sporządziliśmy własną mapę lasu. Była to mapa węchowa o całkowicie odmiennych konturach od map fizycznych. Idąc przez miasto, zauważacie dziurawe stosy cegieł przykryte pochyłymi warstwami dachówek i wypełnione rurami. Krótki rozbłysk aktywności mózgu pozwala wam zidentyfikować te obiekty jako „domy”. Dodatkowa porcja przetwarzania danych umożliwia odszukanie ich nazwy — na podstawie kształtu otworów i kąta nachylenia dachówek — i przyporządkowanie ich do określonego typu. W ułamku sekundy przechodzimy zatem od stosu cegieł, przez oko, do swego rodzaju platońskiej abstrakcji. Z czasem również w naszych nosach zaczynają się pichcić abstrakcje, rzecz w tym, że korzystają one z metafor osadzonych głęboko w naszych mózgach za sprawą przetwarzania informacji wizualnych.

Paprocie tworzyły duże, wyraźne, monolityczne bloki — węchowy odpowiednik okazałych, choć szarych i jednorodnych dzielnic mieszkaniowych. Aromat ten był zbyt dominujący i monotony, aby mógł nam wystarczyć. Istoty o lepszym węchu potrafiłyby rozpoznać różnice w roślinkach otaczających korzenie paproci, ale nawet my zaczęliśmy powoli dostrzegać drobne odmierności w udekorowaniu okien, kątach nachylenia dachów i ozdobach wokół drzwi.

Dęby — nawet te małe — wyraźnie się od siebie różniły. Przywodziły na myśl pozbawioną prawidłowości prawidłowość cechującą budowę domów, które widziałem kiedyś na równinie we wschodniej Afryce: konsekwentnie przypadkowe zbieraniny szkła, luster, desek surfingowych

i egzemplarzy czasopisma „Proceedings of the Linnean Society”, połączonych słoniowym łańcem i udekorowanych ludzkimi kośćmi, pieluchami i fragmentami prac Katullusa przypiętymi do korkowych tablic.

Można by sądzić, że drzewa rosnące blisko siebie będą podobnie pachniały — a przynajmniej, że ich zapach będzie się mniej różnić od zapachu drzew rosnących dalej. Okazało się jednak, że niekoniecznie tak jest. Kiedy opuszczaliśmy norę z zawiązanymi oczami, potrafiliśmy wyznaczyć trasę jedynie za pomocą rosnących najbliższej dębów. „Po wyjściu z tunelu skręć w prawo. Piętnaście metrów; dziki tytoń, głównie turecki; dalej prosto. Pół minuty dalej ściana lip i wymiocin z przodu. Przechodzą w pomarańcze rozarte na skórze po lewej i risotto z grzybami ze zbyt dużą ilością parmezanu po prawej. Skieruj się delikatnie w dół. Łuszczące się siodła, obok olej kostny stojący gdzieś powyżej na półce. Podążaj dalej w dół aż do pajęczyn i pasty czosnkowej”.

Poszczególne jesiony były równie charakterystyczne, ale nie aż tak wyraźnie: przypominały domy w stylu Arts and Crafts z hrabstwa Sussex. Nie potrafiliśmy rozróżnić buków (osiedle bliźniaków na przedmieściach), czarnych bżów (żółta cegła, plastikowe okna, czerwone asfaltowe podjazdy dla firmowych samochodów) ani olch (zabudowa szeregową). („Na litość boską, i pomyśleć, że lubiłem metafory, zanim cię poznałem”, stwierdził Burt).

Im bardziej jednorodne były wspomniane bloki, tym zacieklej i skuteczniej walczyły z innymi o panowanie nad doliną. Dęby nie miały szans: w ogóle nie istniały jako blok. W lecie przegrywały zazwyczaj z paprociami. Kiedy powróciliśmy jesienią, lasem rządziły buki, ale wraz z pierwszymi przymrozkami wyparły je dzikie bzy.

Niemniej od tych generalnych zasad istniało kilka

wyjątków. Tkwiłiśmy w rozgrzanej butli. Zapach czasami unosił się w górę z danego drzewa, opadał w jakimś zaskakującym, odległym miejscu i dopiero później podpływał z powrotem w cień tego samego drzewa. Krawędzie lasu, zwłaszcza wyznaczone przez żywopłot, sprawiały wrażenie sterylnych pod względem węchowym — a przynajmniej całkowicie dezorientujących dla drapieżników posługujących się węchem. Były względnie bezpiecznymi korytarzami pełnymi łagodnych, bojaźliwych, soczystych istot, które mogły bezpiecznie pełzać dosłownie pod czarnymi nosami drapieżników wyposażonych w ostre zęby.

W lesie występowały pływy, równie potężne i przewidywalne jak na każdej plaży. Po wschodzie słońca powietrze, a wraz z nim i zapachy, unosiło się wzdłuż naszej strony doliny. Czarne bzy przesunęły się — niczym szekspirowski las Birnam — przez stanowiska buków i paproci; w środku dnia można je było znaleźć na krawędzi doliny. Pozostawały tam do zachodu słońca, po czym ruszały powoli z powrotem ku rzece. Do domu wracały około trzeciej nad ranem.

Rozbudowywaliśmy naszą mapę węchową, ale po kilku tygodniach leżenia na brzuchu w lesie zacząłem tracić wiarę w powodzenie naszej misji. Mój świat pozostawał niezmiennie wizualny. Odmalowywałem go w kształtach i kolorach, które tylko uzupełniałem zapachami i dźwiękami. Czasami jakiś zapach budził niezwykle silne wspomnienia: porwał mnie i przenosił w przeszłość z prędkością i siłą, której nie osiągnęłyby nigdy zjawy rodem z pamięci wizualnej. Zapach, osadzony w najstarszej części pnia mózgu, potrafił mi się naprzykrzać, przypominając o suwerenności, jaką dysponowałem w czasach, gdy moi przodkowie byli rybami i jaszczurkami. Czasami pamięć podsuwała mi najpierw jakiś głos, ale zapach i słuch były zawsze jedynie pomocnikami wzroku, wielkiego

sztukmistrza, który wyciąga nasze światy z kapelusza. Nie mogły tego zmienić zabawy z kawałkami sera i kadzidełkami. Problem nie polegał na czułości nosa, ale w głównej mierze na architekturze mojego świata. Borsuki żyją w świecie, który trudno nawet nazwać równoległym do mojego; jest do niego ustawiony pod kątem, którego nie dałoby się przedstawić za pomocą żadnej znanej mi geometrii. Musiałem się zadowolić nieskładnym opisem.

Rozważmy dwa przykłady z klasycznej książki Ernesta Neala *The Badger* [Borsuk].

W pierwszym o jedenastej przed południem człowiek kładzie na minutę dłoń na ścieżce uczęszczanej przez borsuka. O dziesiątej wieczorem ścieżką podąża samiec. Zatrzymuje się w miejscu, gdzie spoczywała wcześniej dłoń, obwąchuje je i rusza dalej, zmieniając trasę. Samica, która trafia tam mniej więcej w tym samym czasie, nie decyduje się na dalszą wędrówkę: zawraca i zabiera młode do nory.

Oto moja interpretacja tego zdarzenia w języku, którego nauczyłem się w lesie: na ścieżce pojawiła się ściana zbudowana z cząsteczek zapachowych, które przyczepiły się do żyłek martwych liści i rozgniecionych wylinek nieżywych robaków. Dla samca ściana ta miała jasno sprecyzowane wymiary: potrafił ją zatem obejść i zagłębić się w świat leżący poza nią. Samicy, ostrożnej i lękliwej z racji macierzyńskich obowiązków, ściana wydawała się tak nieskończenie wysoka i szeroka, że nie potrafiła ona sobie nawet wyobrazić wejścia w leżący poza nią świat.

W drugim przykładzie Neala ścieżka borsuka przechodzi przez łąkę, która została zaorana i obsiana kukurydzą. Mimo to borsuki przechodzą przez nią dokładnie tą samą trasą.

Moja interpretacja: druga ścieżka przebiega między dwiema wysokimi, ale przejrzystymi i przenikalnymi ścianami. Każda

z nich ma dwa wymiary: fizyczny i mentalny. Cząsteczki zapachu tworzące fizyczny wymiar ścian zostały przewrócone i zakopane głęboko pod ziemią, mimo to wytwarzały psychiczne pole wznoszące się nad kukurydzą i wznające się w mózg borsuka. Ścieżka wiodła między nieistniejącymi już od dawna przeszkodami, które przetrwały jedynie w pamięci węchowej zwierzęcia.



Ośmiolatek dysponuje plastycznym nosem i potrafi sobie szybko przypomnieć, jak się nim posługiwać. W drugim tygodniu naszego pobytu w dolinie, kiedy akurat przyglądaliśmy się biedronkom rozgniatającym mszyce, Tom stwierdził nagle: „Czuję zapach myszy”, po czym ruszył nową trasą, płynąc żabką przez trawę z nosem przy ziemi. Niewiele się pomylił. Odkrył sieć ścieżek nornic rudych, oznaczonych odchodami, drobnutko pociętymi łodygami i moczem. Jeszcze ciekawsze było to, w jaki sposób polował. Wciągał powietrze do nosa bardzo szybko — wykonywał kilka wdechów na sekundę. Później dowiedziałem się, że dokładnie w ten sam sposób zachowują się ssaki posługujące się głównie węchem. Technika ta nosi nazwę „próbkiowania węchowego” i pozwala zwiększyć odsetek powietrza docierającego do nabłonka we wnętrzu nosa. Normalny oddech wysyła je prosto do płuc. Spróbowałem tego sam — różnica jest drastyczna. Na sesjach degustacji wina zachowuję się teraz w całkowicie odmienny i mało elegancki sposób.

Schodzenie (w wymiarze neuronalnym) na niższe poziomy drzewa ewolucji (koszmarna i koszmarne ograniczająca wertykalna metafora) nie ma większego sensu, jeśli nie

zadbamy o to, aby faktycznie opuścić wyższe gałęzie. Tom na szczęście nie miał wielu z moich zahamowań. Lizał ślimaki („Te duże czarne są trochę gorzkie; im większe, tym bardziej gorzkie. Wolę brązowe; mają trochę orzechowy smak”), miażdżył zębami pasikoniki („Są jak pozbawione smaku krewetki”), a dżdżownice wsysał jak spaghetti („Te duże mają włoski. Niespecjalnie za tym przepadam”). Stonoga ugryzła go w język, mrówki weszły mu do nosa.

Plastycznością odznaczał się nie tylko jego nos. Tom całym sobą zmierzał kroczył za kroczkiem w stronę borsukowości. Jego ścięgna Achillesa wydłużyły się, nadgarstki i szyja usztywniły, aby łatwiej mu było hasać na czworakach po labiryncie z paproci. Przysięgał, że słyszy język dziecięcia wsuwany przez dziury w korę drzewa. „Słyszę go, wiesz? Wyobraź sobie szepczący pilnik do paznokci” (Wierzę, Tom, tylko jak my u diabła zmusimy cię teraz, żebyś poszedł do szkoły i oduczył się tego wszystkiego?). Kiedy mrok nocy gęstniał wokół podstaw drzew, on podchodził do nich i poruszał w nim palcem, twierdząc, że wiruje i oblepia mu rękę. Jego ciało w norze albo na którymś z naszych zewnętrznych dziennych legowisk wydawało się opływać kamieniem. Las nigdy nie tworzył dla niego takiej bariery, jak dla mnie.



Większość ssaków przesypia dużą część doby. Dotyczy to bez wątpienia borsuków, ale my również zaczęliśmy to robić — w znacznie większych ilościach niż normalnie. Im bardziej wielowymiarowy stawał się nasz świat, tym większe ogarniało nas zmęczenie. Czego zresztą należało się spodziewać. Musieliśmy zwracać uwagę na znacznie większą

liczbę zjawisk. Nieustanne próby rozpoznania głosów rywalizujących o naszą uwagę są doprawdy wyczerpujące. Podczas wyjazdu na wieś nasz wzrok wyrabia nadgodziny. Każdy krok wędrówki konfrontuje nas z całkowicie nowym i kognitywnie wymagającym widokiem. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy przecież tego konkretnego układu kamieni, na którym ma się oprzeć nasza lewa stopa, ani tamtego, na którym zaraz potem stanie prawa — i tak dalej. Nie wspominając o układzie liści na tej konkretnej gałęzi tego konkretnego drzewa przy tym konkretnym podmuchu wiatru — układ ten nie wystąpił nigdy wcześniej przez całą historię wszechświata i nigdy się nie powtórzy.

Nasze „normalne” miejskie widoki są w istocie całkowicie anormalne i koszmarne nudne: znajome krzesła w znajomym kącie pokoju. Znajomy obraz nad kominkiem — być może zamrożona migawka jakiegoś miejsca na zewnątrz, która mimo wszystko (skuteczniej niż krzesła) uspokaja siatkówki zaprojektowane do wychwytywania milionów kolejnych migawek. Jedynymi zmieniającymi się sekunda po sekundzie elementami życia większości z nas są literki przeskakujące na ekranach komputerów, a przecież nasze mózgi nie traktują ich w ogóle jako bodźców wizualnych — przechodzą od razu do abstrakcyjnych pojęć, które one reprezentują. Nic dziwnego, że nasze biedne, wygłodniałe mózgi zachłystują się każdą zmianą, na jaką zdołają natrafić — nawet jeśli będą to błyskające na ekranie telewizora zęby Simona Cowella. Wystarczy zabrać nas na najzwyklejszy spacer za miastem, a natychmiast doznajemy fascynującego — choć wyczerpującego — przeciążenia sensorycznego. Wszystko wymaga od nas reakcji. Musimy zachowywać nietypową uważność. Myślę, że właśnie dlatego ludzie twierdzą, że śpią lepiej po spędzeniu odrobiny czasu na świeżym powietrzu.

Wyobraźcie sobie teraz las, kiedy zwracacie uwagę nie tylko na to, co dociera do waszych umysłów za pośrednictwem oczu, ale również uszu, nosa i skóry. Wyobraźcie sobie ponadto, że każdym z tych kanałów wdziera się do was inny świat, który tylko mgliście pokrywa się z pozostałymi. Męczące jest samo rozmyślanie o czymś takim. A wyczerpujące — doświadczanie tego na własnej skórze. Wszystkie te strumienie danych wymagają ogromnych mocy obliczeniowych. Dlatego też borsuki i jogini nieustannie śpią. A my poszliśmy w ich ślady.

Borsuki nie są ślepe: po prostu nie odsłaniają swojej sensorycznej wyściółki za pośrednictwem oczu. Wzrok dostarcza im, jak się wydaje, mapę lasu składają się głównie z kształtów. Jest generatorem zarysów, a pamięć wizualna borsuków wydaje się zainteresowana głównie porównywaniem postrzeganego w danej chwili zarysu z jego poprzednimi wersjami. Innymi słowy, oczy borsuków wypatrują głównie zmian w zasadniczej strukturze lasu. Gdybyście postawili na pobliskim grzbiecie górskim Empire State Building, w środę wieczorem borsuki byłyby wystraszone, a gdyby budynek nie zmienił wyglądu ani nie buchał groźnymi zapachami, w czwartek wykazywałyby się jedynie ostrożnością, a w piątek nie poświęciłyby mu w ogóle uwagi.

Za dnia radzimy sobie oczywiście lepiej od borsuków i nawet w zapadających ciemnościach potrafilibyśmy wychwytywać wizualne detale dłużej niż one. Mimo to w większości sytuacji istotnych z punktu widzenia borsuka mamy wyrównane szanse: my również specjalizujemy się w rozpoznawaniu kształtów. W tym celu musimy umieć zapamiętywać i porównywać kolejne obrazy. Większość z nas dysponuje tą umiejętnością już na etapie embrionalnym. Jeżeli w dobrze nam znanym pokoju została dokonana jakaś

drobna zmiana, powiemy: „Coś jest inaczej”. Już samo takie stwierdzenie okazuje się użyteczne, jeżeli mieszkamy w potencjalnie groźnym lesie. Nawet jeśli nie potrafimy zidentyfikować tej zmiany, sam fakt jej zaistnienia wystarczy, abyśmy wrócili pod ziemię, gdzie nie dosięgną nas zęby i pazury. Ale borsuki często potrafią wykazywać się większą precyzją. Dostrzegają zmianę, następnie identyfikują jej umiejscowienie przez porównanie z biblioteką zapamiętanych obrazów, po czym nakierowują swoje nosy i uszy w tamtą stronę i gromadzą więcej informacji.

Umiejętność ta wymaga wysokiego poziomu lokalności — czyli wiedzy na temat dokładnych związków czasoprzestrzennych łączących ciało konkretnego borsuka z lasem. Właśnie na uzyskaniu tej lokalności tak bardzo mi zależało. Miałem ogromną nadzieję, że mi się powiedzie.

Alan Garner ujął to prosto i cudownie: „Na wzgórzu w Cheshire Garnerowie są”. Z tego jednego faktu wywodzą się wszystkie jego książki, wszystkie stworzone przez niego światy, cała jego moc. Wspomnienie tego wzgórza jest brzmieniem krainy Fundindelve, a tamtejsze wieczory gasnącym światłem w Elidorze. Ogromnie zazdroszczę Garnerowi umiejętności, które pozwoliły mu napisać to zdanie. Nie istniało nigdy miejsce, gdzie Fosterowie są.

Radziłszy sobie za pomocą dwóch strategii. Pierwszą (mojego autorstwa) było udawanie, że wszędzie czujemy się jakbyśmy byli w domu. Zgodnie z przewidywaniami zakończyła się ona całkowitą porażką. Jej konsekwencjami są pretensjonalność, powierzchowność i neurotyczność. Druga (stosowana przez większość pozostałych członków mojej rodziny) sprowadza się przekonania, że kwestia bycia w domu nie ma znaczenia. Postawę tę wyrażają stoicko zapadnięte policzki: jesteśmy wyspami pośród groźnych wód. Rzecz w tym, że nie dysponowaliśmy nigdy — poza

nazwiskiem — niczym, co by nas łączyło, a ta strategia nie pozwoliła nam się rozwijać. W praktyce oznaczała, że oglądaliśmy za dużo telewizji.

Borsuki przynależą do miejsc i dlatego (a to „dlatego” jest niesamowicie istotne) je posiadają; jak mało które albo wręcz żadne inne zwierzę. Zamieszkujące wnętrza gór dynastie trwają dłużej od najbardziej odwiecznych, herbowych ludzkich rodów. Borsucze ciała są zbudowane z kilku akrów przetworzonej gleby. Zwierzęta te kopią głębokie nory i wiedzą o wszystkim, co dzieje się pod ziemią. Łączy je z nią taka intymność, jaką może zapewnić jedynie spenetrowanie jej wnętrza. Trzymają się tego lokalnego życia z zacięłym uporem: potwornie trudno je wytępić albo wypędzić. Mają grube czaszki. Łopaty odbijają się od ich łukowatych grzbietów. Kiedy zacisną zęby na gardle atakującego ich gniazdo terriera, nie puszczą go, chyba że złamie im się szczęki.

Borsuki są dla mnie ucieleśnieniem *genius loci*.

Nie znamy wielu bogów-borsuków z pradawnej Europy, ale jeden z nich, Moritasgus („Wielki Borsuk”) został upamiętniony w galijskich inskrypcjach z Côte d’Or. Wydaje się, że łączono go synkretycznie z Apollinem, a przez to uważano głównie za bóstwo uzdrawiające. Nie znamy dokładnie teologii stojącej za tym skojarzeniem, ale nietrudno jej się domyślić. Kiedy borsuk znika pod ziemią, wyrusza w szamańską podróż. Może wtedy, przy zastosowaniu odpowiedniego rytuału, zanieść w dół prośby ludzi. Zabiera je do Tego Wielkiego, swojego mistrza duchowego, a jeśli Ten Wielki zdecyduje się spełnić prośbę, wysyła borsuka z powrotem na powierzchnię z błogosławieństwem posiadającym moc odmieniania świata.

Ale, jak to zwykle bywa, sprawa jest bardziej skomplikowana. Rdzeń „tasgus” w „Moritasgus” wywodzi się

prawdopodobnie ze staroirlandzkiego *tadg* — jednego z wielu określeń poety (*tadg* mogło przetrwać we współczesnym angielskim określeniu borsuka, czyli *badger*). W tamtym świecie słowa uważano za tak potężne narzędzia, że funkcje poety i szamana, oraz terminów używanych na ich określenie, ulegały często połączeniu. Dla nas istotny jest fakt, że borsuka uważano za nosiciela słów, za kowala logosu, zaklinacza. Wyobrażam to sobie tak: borsuk prznosił między światem nadziemnym a światem podziemnym słowa, które pozwalały obu stronom interpretować się nawzajem. Jedna rozumiała dzięki nim drugą, a przez to i samą siebie. Borsuk poruszał się w górę w i dół niczym igła zszywająca dwie płachty świata, łącząca je w całość, nadająca mu integralność, której inaczej by nie uzyskał. I nadal to czyni.

Jeżeli potrafi to borsuk, to może my też? A nawet ja. Może gdybyśmy wszyscy zaczęli przekraczać tę granicę, świat mimo wszystko by się nie rozpadł?

Kilka tygodni spędzonych w lesie nie robi z nas „miejscowych”. Lokalność oznacza, że żyjemy pośród naszych rozkładających się przodków. Długość życia człowieka i ogromna zdolność do zrzucania skóry sprawia, że możemy się stać swoimi własnymi przodkami. Ziemia, w której gniją przodkowie, musi być prawdziwa, a nie metaforyczna, ale człowiek może się osiedlić w jakimś miejscu i do tego stopnia całkowicie przeżywać każdą chwilę, że zarazem w każdej z tych chwil całkowicie obumiera, przez co miejsce to zaczyna się wypełniać jego własnymi zwłokami, a on rozbudowuje swój świat wokół ich grobów. Próbuję żyć, a przez to umrzeć, na wrzosowisku w hrabstwie Devon, a między innymi dzięki nauce pobranej od borsuków czynię w tej kwestii pewne postępy.

Oczywiście nie zdołaliśmy poznać lasu równie dobrze jak

Burt. Po upływie kilku stuleci człowiek siłą rzeczy zaczyna dzielić część zbiorowej podświadomości z pobliskimi dębami. Zlewamy się z naszymi sąsiadami. Każdy wspólny oddech jest aktem kopulacji, w którym dochodzi do wymieszania DNA („Muszę powiedzieć, przyjacielu, że jest z ciebie naprawdę pokrecony dziwoląg”, stwierdził Burt). Ale nawet mimo krótkiego pobytu w lesie my zaczęliśmy wnikać w niego, a on w nas. Odkryliśmy, że już w czasie pierwszych pełzających wycieczek po okolicy z jakąś przedziwną pewnością siebie wytyczyliśmy optymalne trasy prowadzące do nory. Nasze spoczywające na brzuchach ciała wyczuwały ziemię, kształtowały ją i w coraz większym stopniu były same przez nią kształtowane. Odciski zrobiły nam się tam, gdzie okazały się pomocne; nasze nogi nauczyły się nienaturalnie wyciągać, abyśmy mogli łatwiej prześlizgnąć się nad zwalonym bukiem. Poruszaliśmy się zawsze po wytyczonych wcześniej ścieżkach i czyniliśmy to coraz bardziej automatycznie. Borsuki funkcjonują w podobny sposób: poruszają się po swoich ścieżkach i bardzo, bardzo niechętnie z nich zbaczają. Ścieżki te noszą jeszcze zapach borsuków, które zmarły w czasach wojny secesyjnej, a zniszczyć je może tylko osuwisko albo buldożer.

Mimo całego mojego uwielbienia dla natury, odkryłem u siebie potrzebę pozostawiania po sobie jakichś śladów. Borsuki obsesyjnie znaczą różne przedmioty na swoich terytoriach wydzieloną z gruczołów piżmowych i wypróżniają się sumiennie na jego obrzeżach. Nie mam równie zdrowej relacji z własnymi odchodami, odkryłem jednak, że wielokrotnie kładę dłoń w tych samych miejscach na tych samych kamieniach, żeby poczuć znajomą gładkość. To było moje piżmo. Chciałem wiedzieć, że to ja byłem wcześniej w tym miejscu. Nie przepełniało mnie pragnienie posiadania, ale potrzeba potwierdzenia, że przynależę do okolicy — że

między mną a nią istnieje pewna ciągłość. Element „ja” był w tym dość istotny. Jeżeli wsadzimy młodego borsuka do zagrody, ten zaczyna jak szalony oznaczać ją pizmem. W końcu przestaje, jakby uspokojony własnym zapachem i świadomością, że łączy go z tą zagrodą jakaś wspólna historia. Ze mną było podobnie.

Tuż przed opuszczeniem Afryki Karen Blixen zapytała: „Czy w kwiatkach na równinach Afryki odbija się kolor, który ja nosiłam?”. Sama uważała, że nie, i w tej odpowiedzi znalazła pewną samorozgrzeszającą pociechę. Andrew Harvey stwierdził wprost: „To właśnie te rzeczy, które nas ignorują, okazują się dla nas w ostatecznym rozrachunku ratunkiem”. Blixen się myliła. Góry Ngong zmieniły się nieodwracalnie, ponieważ spacerowała po nich w czerwonej sukience i oddychała znajdującym się tam powietrzem. Ale nawet jeśli to ona miała rację, muszę wierzyć, że Harvey nie miał racji. W przeciwnym razie nie mielibyśmy możliwości stworzenia relacji z niczym, a przez to nadziei na jakąkolwiek pociechę. Nie można w ten sposób żyć ani umierać. Właśnie tego rodzaju pociechy szukałem, wyciągając rękę ku kamieniowi leżącemu przy pniu buku.



Widmo zimy unosi się nad latem, zakradając się w borsuczy umysł nawet w najbardziej słoneczne sierpniowe dni. Sapaniu i grzebaniu zaczyna towarzyszyć jakiś nowy pośpiech. Do dżdżownic i ślimaków dochodzą zboża i owoce; przydają się do budowania tkanki tłuszczowej.

My również wyczuwamy nadchodzące zimy. Dla wielu z nas jest to zasadnicza okoliczność: cały rok upływa pod znakiem chłodów. Letnie myśli i plany pozostają w służbie ciemności.

Opieram się z całych sił kapitulacji przed mrokiem, ale trudno się cieszyć sierpniowym dniem jako po prostu sierpniowym dniem. Im silniejszy stawiam opór, tym większa rodzi się we mnie świadomość, że prędzej czy później poniosę porażkę. Niczym borsuki jak szalony gonię po dolinie, sycąc się ciepłem. Im większe szaleństwo, tym większe późniejsze przygnębienie. A przecież powinno być inaczej: w styczniu powinniśmy funkcjonować spokojnie jako zadowolone z siebie, senne pasożyty karmiące się ciałem lipca. Właśnie tak robią borsuki. Nie zapadają w sen zimowy, ale między listopadem a marcem ich obowiązki sprowadzają się głównie do spania, sporadycznych wypadów na robaki, przeciągania się, przebywania na świeżym powietrzu oraz bycia w ciąży.

Na początku maja, kiedy wegetacja rozpędza się na dobre, świat wydaje się taki, jak być powinien; rządzi nim zmartwychwstanie, które, jak się wydaje, nigdy się nie skończy. Ale ta wiara szybko słabnie. W połowie czerwca, kiedy wprowadzaliśmy się po raz pierwszy do naszej nory, skroplone promienie słońca zakłęte w śpiewie kapturki zaczynały już brzmieć jak drwina („Wkrótce go nie będzie, wkrótce go nie będzie, zniknie”), a nazwa tego ptaszka zaczynała brzmieć złowieszczo.



Przeżuwałem, lizałem, dławilem się, wachałem i dreptałem, zmierzając ku światu borsuka. Czasami mi się zdawało, że się do niego zbliżam, ale szybko się przekonywałem, że zrozumiałość leżąca u podstaw takiego poczucia oddala mnie od tego świata bardziej niż cokolwiek innego. Każdej nocy słyszeliśmy prawdziwe borsuki, kiedy przedzierały się

przez paprocie, a o zmierzchu migąła nam czasem przed oczami głowa z jasnymi pasami, należąca do zwierzaka przeczłapującego przez jakiś gęstniejący cień. Próbowaliśmy się często do nich zbliżyć i nauczyliśmy się rozpoznawać po odgłosie, że przystanęły, a chwilę potem koły nerwy, drapiąc się zawzięcie. Zaraz po wyjściu z nory opieraliśmy nasze przednie łapy na drzewach i się przeciągaliśmy.

Wypróżnialiśmy się na wzniesieniach wybranych ze względu na rozciągający się z nich widok na naszą górę. Zaczęliśmy wydzielać silny zapach, który ku swojemu wielkiemu niezadowoleniu wyczuwał nawet Burt, mimo nosa pełnego lanoliny i oleju napędowego. Kiedy Tom poruszał się przede mną w ciepły, wilgotny dzień, wyczuwałem pozostawiony przez niego ślad zapachowy nawet po dwudziestu minutach.

Szyderstwa Burta i przywożone przez niego posiłki stawały się coraz rzadsze. Byliśmy zdani na siebie i zaczęliśmy obrastać doliną. Obserwowaliśmy dziwne światła w opuszczonym od dawna domu. Włoski jeżyły nam się na grzbietach na dźwięk szczekania psów z farmy. Mające na horyzoncie sylwetki odziane w nylon wydawały się równie odległe co księżyc i znacznie mniej od niego istotne. Nas interesował ciężar chmur, kolor liści i głód muszek. Przed norą postawiliśmy patyk z zatkniętą na czubku czaszką borsuka, choć nie potrafię podać żadnego sensownego powodu, dla którego to zrobiliśmy. Myśleliśmy się sporadycznie, ale i tak tylko częściowo. W ustach mieliśmy smak ziemi i dymu. Strzyżyk upolował gąsienicę pełzającą po nodze Toma, kiedy ten pochrapywał na stercie uschniętych dzwonków. Zegarek wydawał mi się czymś niestosownym: zdjąłem go z ręki, włożyłem do plastikowego worka i uroczyście zakopałem w ziemi. Stanęliśmy na baczność. Zagrałem marsz żałobny na blaszanej fujarce.

Tamtego lata musieliśmy się tym zadowolić: świadomością, że pod pewnymi względami żyliśmy — może przez kilka minut — w tym samym miejscu co borsuki.

Uważaliśmy, że nic więcej nie udało nam się osiągnąć.



Wykopałem zegarek. Wróciliśmy na stację w Abergavenny w poczuciu, że ponieśliśmy porażkę — że duszek inności wymknął nam się, jak to on, i zniknął w szemrzącym lesie.

Miasto ryczało, buchało, trajkotało i na nas łypało. Pojedynczy listek przed naszą norą odznaczał się większą różnorodnością od wszystkiego, co miało do zaoferowania to miejsce. Karmiło się orientalnymi towarami, a wszyscy mieli tam identyczne ubarwienie. Jego mieszkańcy rozmawiali o przygodach miłosnych piłkarzy i głuchych jak pień piosenkarzach. Bloki zapachu były wielkie i rażące; zataczały się, kołysały i porykiwały. Robiło mi się niedobrze od tej szokującej zmiany charakteru otoczenia, od nudy, od unoszących się i opadających warstw ogłuszających zapachów. Ktoś zapytał mnie o drogę do bankomatu. Miałem wrażenie, jakby wywrzeszczał te słowa na cały głos, wpychając się na mnie. Ogarnęła mnie wściekłość i niemal go przewróciłem. A przecież Abergavenny to jedna z najmilszych znanych mi ludzkich osad i zawsze czułem się tam dobrze.

Za wszelką cenę chciałem powrócić do doliny. W pociągu włożyłem sobie do uszu zatyczki i patrzyłem na przesuwane się za oknem pola — wynalezienie silnika odrażająco skróciło odległości. Wyjąłem zatyczki i zacząłem słuchać śpiewu leśnych ptaków. Brakowało mi czegoś niezwykle istotnego — czegoś, co jeszcze niedawno miałem.

Oto więc moje pierwsze twierdzenie: aby spełniać się jako człowiek, musiałem być w większym stopniu borsukiem.



Po powrocie do domu bardzo szybko zapomniałem o wielu rzeczach, ale choć mój nos powrócił do swojej normalnej inercji, a ja przywykłem na powrót do szumu w uszach, który nazywamy normalnym życiem, coś jednak przetrwało. Emigracji z doliny towarzyszyło kojące rozdrażnienie. Wiedziałem, że możliwe jest — raczej na skutek sensorycznej rutyny niż jogińskich wygibasów — zwracanie uwagi na świat w jego wielu płaszczyznach a nie, jak to się zwykle czyni, w jednej czy dwóch. A także na to, co można wtedy dostrzec.

Do nory wróciliśmy z Tomem w środku zimy. Wejście zasłaniały pajęczyny, co było dość przykrym widokiem. Miałem nadzieję, że nora zostanie pod naszą obecność zamieszкана, przynajmniej przez lisy. Czaszka borsuka nadal tkwiła na patyku, ale jej pozycja uległa zmianie, więc zamiast wpatrywać się w ziemię, spoglądała ku szczytowi góry przez pomarszczone palce dębów, obok milczącej kolonii gawronów; zerkała ku domowi, który Burt zbudował tamtego lata i gdzie Meg podgrzewała cydr, zaczytana w *Mabinogion* i spokojnie obojętna na epidemię biegunki i wymiotów, jaka zapanowała wśród wszystkich dzieci.

Nasze ścieżki pozostawały wciąż widoczne, choć ledwie. Do wiosny całkiem by zniknęły, choć pozostałyby wciąż najlepszymi trasami do przepełnienia przez las. Kiedy leży się na ziemi, przez ciało zaczynają przebiegać fale przejmującego zimna, tej żalobnej barwy, wypełniające klatkę piersiową i rozlewające się ku nogom. Wydawało nam

się, jakby ziemia była nas spragniona: wysysała nas i podgryzała.

Poza obszarem brązowych kęp przemokniętych paproci las wydawał nam się większy, przez co narząd wzroku przydawał się bardziej niż w lecie. Z niektórych miejsc widać było horyzont, a często jakieś odległe drzewa. Zima pozwala borsukom spoglądać w dal, pozbawia je jednak mięsistego związku z ziemią zapośredniczonego przez nosy i upał lata. Blade zimowe słońce starało się za wszelką cenę rozkruszyć ziemię na drobinki, które moglibyśmy wyczuć. Na próżno. Czuliśmy zapach humusu z liści i jakiegoś niesprecyzowanego rozkładu, ale nic poza tym. W zimie las zrobił się płaski; znacznie bardziej ludzki niż w czasie lata.

Uszy się usamodzielniały. Możliwość dostrzegania odleglejszych obiektów oznaczała, że mogły się skoncentrować na związanych z nimi dźwiękach, a ponieważ w lesie działo się niewiele, zdawały znacznie dokładniejsze raporty z każdego dźwięku niż w rozbrzeczonym lecie.

Prawdziwe borsuki się pochowały, choć musiały być gdzieś blisko. W ich latrynach zobaczyliśmy świeże odchody, na drucie kolczastym szare i białe włoski, a na błotnistych borsucznych autostradach odciski łap. W nocy słyszeliśmy, jak sapią niczym stare, zdezelowane lokomotywy przetokowe na stacji rozrządowej. Powinny się wydawać bliższe: ich pochrząkiwań nie tłumiła gęsta czerwcową roślinność; w czystym powietrzu niosło się tylko niepewne nawoływanie puszczyka, a nie głuche i przenikliwe odgłosy lata. A jednak wydawały się dalsze niż wcześniej: nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Wydawało się, że w czerwcu miały nam o czym opowiadać, a teraz zwyczajnie się do tego nie kwapiły.

Nora otoczyła nas chłodem. Tym razem jej ściany były szczękami. Robakom podobało się ciepło, które ulatniało się

z nas i było z nas wysysane. Przybywały, niczym wysuwające się owłosione języki, i oblepiały nas swoją mazią.

– Nie podoba mi się to — jęknął Tom, dygocząc w śpiworze, który okazał się zdecydowanie za cienki.

– Mnie też — powiedziałem. — Chodźmy stąd.

Zabraliśmy nasze rzeczy, przeszliśmy przez rzekę i ruszyliśmy z powrotem ku farmie trasą, która w świetle księżycy biegła bardziej prosto niż za dnia.

Żaden borsuk nie wyłonił się spod ziemi, żeby nam zasalutować. Siedziały w cieple. Ich nora znajdowała się znacznie dalej w lesie niż nasza; znacznie głębiej, niż moglibyśmy się dokopać.

[3] Karol Darwin, *O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt*, przeł. Zofia Majlert, Krystyna Zaćwilichowska, PWN, Warszawa 1988, s. 40-41. Cytat zmieniony ze względu na błąd w polskim wydaniu (przyp. tłum.).

[4] Rdz 1,26 (przyp. tłum.).

3. WODA

Wydra





Każdego ranka pięć wydr patrzy, jak jemy śniadanie. Są to martwe okazy z epoki wiktoriańskiej, wybielone przez wypychacza zwierząt zgodnie z ówczesną modą. Spoglądają na nas wyniośle, niczym pułkownicy kawalerii, opierając stopy na pokonanych rybach. W epoce wiktoriańskiej ludzie życzyli sobie białych wydr i takie też wydry otrzymywali. Wszyscy zazwyczaj otrzymujemy takie wydry, jakich sobie życzymy. Traktujemy je tak instrumentalnie jak mała które zwierzę. Henry Williamson (*Tarka the Otter*), mówiąc metaforycznie, rozgniółł swoje wydry i za pomocą otrzymanej z nich pasty odmalował północną część hrabstwa Devon; użył jej także jako balsamu, który wsmarował w rany, te prawdziwe i te wymaginowane, jakie pozostały mu po czasie spędzonym w okopach. Gavin Maxwell (*Wydry pana Gavina*) chciał mieć (i dostał) błaznujące, rozdokazywane wydry, które nie zadawałyby mu kłopotliwych pytań i pozwalały się przytulać w samotne noce na Hybrydach. Obu mistrzów wydrzej literatury przewyższam tylko w jednym aspekcie: niespecjalnie przepadam za tymi zwierzętami.

Wieść życie wydry, to jak być na amfie. Gdybym jako mieszkaniec przedmieść chciał się wprowadzić w podobny stan, musiałbym nie spać przez dwie noce z rzędu, wypijać co dwie godziny podwójne espresso, zaraz potem brać zimną kąpiel, po niej pochłaniać potężne śniadanie z poruszającego się w przedśmiertnych drgawkach sushi, a następnie zapadać w drzemkę — i tak bez końca aż do śmierci, którą w imię realizmu mógłbym ponieść, wbiegając pod samochód

albo zapadając na sepsę w wyniku ran odniesionych na podbrzuszu.

Pisanie o wydrach — bardziej niż o jakimkolwiek innym zwierzęciu — ma w sobie coś z rachunkowości. Wydry są przedsiębiorstwami metabolicznymi funkcjonującymi na bardzo niewielkim marginesie bezpieczeństwa. Ponad trzy czwarte życia poświęcają na sen. To przeszło osiemnaście godzin na dobę. Pozostałe sześć godzin spędzają na szaleńczym mordowaniu.

Podstawowy poziom ich metabolizmu jest o około 40% wyższy niż u innych podobnej wielkości zwierząt. Wzrasta znacząco, kiedy pływają, zwłaszcza w zimnej wodzie. Metaboliczny silnik płynącej wydry pracuje na około czteroipółkrotnie wyższych obrotach od silnika psa. Nie jest to do końca trafne porównanie, ale wyobraźcie sobie, że tętno psa podczas aktywności wzrasta pięciokrotnie. Gdyby zyskał on nagle wydrze możliwości, jego klatka piersiowa nie tyle by dudniła, co trzepotała, jakby siedział w niej wielki koliber. Taki silnik potrzebuje niewyobrażalnych ilości paliwa — około 20% masy ciała wydry dziennie.

Wagę około 95 kilogramów. Gdybym chciał zjadać proporcjonalnie tyle samo co wydra, to (kierując się wyłącznie masą pożywienia) musiałbym każdego dnia pożerać 88 Big Maków (wszystkie trzy poziomy bułki z oboma plastrami wołowiny, serem, sałatą lodową, ogórkami, cebulką i tym dziwnym żółtawym sosem). Albo 3800 standardowych paczek czipsów, 229 puszek fasoli w sosie pomidorowym, czy około 792 typowych kotletów jagnięcych albo rybnych.

Osiemdziesiąt osiem Big Maków w ciągu sześciu godzin aktywności daje około piętnastu bułek na godzinę, inaczej mówiąc jedną co cztery minuty. Trudno się dziwić, że wydry jakoś nigdy nie sprawiają wrażenia zamyślonych.

Są gibkie tylko za sprawą fizyki. Powstało wiele wierszy opiewających ich opływowość, ale są to w istocie hymny na cześć wody, a nie samego zwierzęcia. Wydry to nastroszone istoty. Chcielibyśmy, aby odznaczały się tymi samymi właściwościami co woda, którą z jakiegoś powodu pragniemy metafizycznie nawoskować, ale prawdziwe wydry nie pasują do tej wizji. My mówimy o przepływie i jego laminarności, a powinniśmy o zjeżonej sierści, chapnięciach i skrobaniu. Wydry są najeźdźcami, nie mieszkańcami. Wtykają te swoje czarujące noski między warstwy laminarne na podobieństwo dłoni w rękawiczkach chirurgicznych wślizgujących się do otworu w ciele. Są klinami załamującymi nurt rzeki. Przepędzają z niego ryby i je miażdżą. Niespecjalnie pasują do środowiska wodnego. Nie żyją w nim dostatecznie długo, żeby mogły uchodzić za mitycznych pierwotnych mieszkańców wody, za jakich chcemy je uważać. Do rzek weszły dopiero jakieś siedem milionów lat temu.

Są zwierzętami lądowymi, którym zdarza się zamoczyć w wodzie — z imponującymi rezultatami, choć również z dozą niepewności. Znacznie bliżej im do gronostaja niż do foki. Ewolucja dopiero zaczęła majstrować przy ich pierwotnych cechach, spłaszczając im czaszki, przesuwając oczy i nozdrza na nieco korzystniejsze pozycje, wyposażając je w grubsze płaszcze, ogon przypominający zewnętrzny silnik w motorówce i nieśmiałe błony pławne między palcami. Z tym skromnym wyposażeniem ewolucja rzuciła wydrę na głęboką, zimną wodę i kazała jej sobie radzić, żyjąc pod jarzmem przerażającej termodynamicznej arytmetyki.

A owa arytmetyka uczyniła z wydry podróżniczkę. W ciepłej i żyznej nizinnej rzece wystarczyłoby jej paliwo zdobywane na odcinku mniej więcej dziesięciu kilometrów. W uboższej w pożywienie Szkocji może potrzebować ich pięćdziesięciu. Ten rachunek zmusza wydry do nikczemności: wystarczy, że

stracą rybę na rzecz jakiegoś intruza, a saldo zaczyna wyglądać groźnie. Zazwyczaj zbyt groźnie, żeby mogły sobie pozwolić na uprzejmości. Ponad połowa martwych wydr, które poddano autopsji, nosiła ślady niedawnych walk. Rany są zazwyczaj bardzo nieprzyjemne: wydry walczące w wodzie atakują zazwyczaj podbrzusze i genitalia. Rozpruwa się brzuchy, wywleka flaki; wyszarpuje jądra; odgryza penisy. A bywa przecież znacznie gorzej. Tych najstraszliwszych obrażeń nie mamy okazji zobaczyć: muszą one powodować śmierć wydry od razu, pozostawiając ich sztywne ciała na brzegu, gdzie stają się pokarmem dla szczurów, albo na dnie plosa, gdzie obgryzają je padlinożerne ryby. Człowiek ma szansę zobaczyć wydrę tylko wtedy, gdy przetrwa ona na tyle długo, aby wpaść pod ciężarówkę.

Cóż innego mogę zrobić, żeby zbliżyć się do tych nerwowych, powarkujących, wędrownych, marszczących nosy kłębków ADHD, jeśli nie przyznać, że sam jestem nędznawym ewolucyjnym kompromisem o niecierpliwiej naturze, stojącym na skraju ontologicznej przepaści? Na początek mogę przenieść się w miejsce, w którym one żyją, a kiedy już się tam znajdę, przystąpić do przesunięcia fizycznych granic mojego świata w taki sposób, aby pokrywały się z granicami świata wydr. W tym celu trzeba zacząć od wbicia kilku szpilek w mapę.

Pośrodku naszej mapy znajduje się szara chatka na skraju wrzosowiska w hrabstwie Devon. Jeżeli wejdziecie na wzgórze, przedarłszy się przez paprocie, zobaczycie światła Walii migoczące po drugiej stronie Kanału Bristolskiego. Mewy srebrzyste wydziobują tu kleszcze z odbytów jeleni szlachetnych. Nabieracie wodę ze strumienia, który przepływa koło chaty. Strumień przecina las zamieszkały przez borsuki, nabierając prędkości, niosąc liście buków i pokrywając kamienie torfem, przez co wyglądają one, jakby

ktoś zanurzył je w czekoladowym fondue. Z jakichś tajemniczych powodów potok zwalnia tuż przed wpłynięciem do rzeki East Lyn, zupełnie jakby wahał się, czy opuszczać wzgórze: przesącza się niechętnie pod drogą i zostaje zawrócony ku Lynmouth na homary z ziemniakami.

Ale koło naszej chaty pozostaje wciąż radosną rzeczką. Przystaje i rozlewa się na boki. Obok rosną pierwiosnki, wylęgają się ropuchy, a w wodzie unoszą się wachlarze glonów przypominające koronkowe serwetki. Nasze wzgórze jest silnym, rumianym kawałkiem wrzosowiska, które dominuje nad okolicą. Larwy chruścików budują tam swoje domki z kamyków żwiru, a nie z ziarenek piasku. Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że w okolicy panuje jedynie sielski, podchmielony spokój. Nieopodal rośnie kępa udręczonych drzew, których korzenie rozczapierzają się i zasysają wodę niczym namorzyny. Dzieci nie wchodzą tam, nie zostawiwszy muszelek, którymi próbują prześlagać istoty śpiące na hamakach z mchu.

Na krawędzi doliny, trzy minuty na piechotę od stołu z herbatą w naszej chacie, w miejscu, gdzie strumień wycieka z wrzosowiska, leżały — jakże to łaskawe z ich strony — wydrze odchody.

Wydry znaczą teren, pozostawiając w ten sposób następujące komunikaty: „To moje terytorium” albo „Wszystkie ryby z tego plosa zostały wyłowione, nie traćcie czasu”. Być może nie jest to jedyna — ale z pewnością najskuteczniejsza — metoda zdalnego oznaczania terytorium (mocz może odgrywać ważną rolę, specjaliści dyskutują ponadto zawzięcie na temat znaczenia wydzieliny gruczołów analnych, gęstej, marmoladopodobnej substancji, która prawdopodobnie ułatwia przechodzenie ostrych rybich kości przez delikatny układ trawienny). Odchody są zazwyczaj jedyną oznaką obecności wydr, niemniej badania całkowicie

zafałszowały nasze wyobrażenia o biologii tych zwierząt. To doprawdy smutne, że badamy odchody, a nie same wydry.

Badanie odchodów wydr to zabawna specjalność. Zajmujący się nim profesorowie drepczą ochoczo wzdłuż brzegów rzek z notatnikami, sporządzając statystyki, dokonując ekstrapolacji i zajadając się kanapkami z serem i ogórkiem. Ale cały ten wysiłek idzie raczej na marne. Gównem to zwyczajnie za słaby fundament, żeby dało się na nim wznosić gmachy nauki. Nie dałoby się zrekonstruować mojego życia z moich odchodów. Ale kupa miewa inne zastosowania.

Można by się spodziewać, że zwyczaje wydalnicze wydr będą odzwierciedlać ich niesamowite tempo przemiany materii. I rzeczywiście tak jest. Hans Kruuk z poświęceniem śledził zwyczaje wydalnicze wydr na Szetlandach. W zimie, kiedy znaczenie terenu odchodami jest znacznie częstsze niż w lecie, zaobserwował około trzech wydań na godzinę. A były to tylko wydalenia mające na celu oznaczenie terenu, a nie zwykłe defekacje (niektóre z nich musiały zdarzać się w wodzie). Zakładając, że wydra pozostaje aktywna przez sześć godzin na dobę, otrzymujemy osiemnaście znakujących wydań dziennie. To duża liczba sygnałów. Mamy tu do czynienia z wyjątkowo rozmownymi jelitami. Zakładając, że młody osobnik z gatunku ludzkiego robi kupkę średnio półtora raza dziennie, moje dzieci potrzebowałyby dwunastu dni, żeby osiągnąć wynik wydry.

Zrobiłem mojemu potomstwu mały wykład na temat znakowania przez wydry terenu za pomocą odchodów, po czym wysłałem je w dolinę. „Wydalajcie”, rzekłem. „Tylko uważajcie, żeby nie powpadać do rzeki. I wróćcie na kolację”.

Pomysł oczywiście nie wypalił. Ludzkie dzieci nie wydalają na komendę, a podanie im środków przeczyszczających z dmuchanym ryżem zostałyby uznane w najlepszym razie

za nieprzyzwoite, a zapewne również za nielegalne. Zmieniłem zatem polecenie. „Kiedy poczujecie potrzebę, idźcie nad rzekę i wybierzcie jakieś miejsce. Musi mówić: ta część rzeki jest moja”.

Dzieci zaczęły wychodzić. Instynktownie naśladowały oznaczanie terenu przez wydrę europejską, wybierając te same odsłonięte, strategicznie położone kamienie, jakich użyłyby wydry. Jeżeli w okolicy nie było kamieni, tworzyły nawet, dokładnie tak jak omawiane zwierzęta, „zamki” — małe platformy z trawy lub piasku, na których pozostawiały swoje odchody niczym pierścionki zaręczynowe na aksamitnych poduszeczkach.

Następnym krokiem było sprawdzenie, jak bardzo charakterystyczne są poszczególne odchody — na ile dobitnie informują o swoim pochodzeniu. Było to odrażające zadanie; wyglądaliśmy pewnie na niezłych zwyrodnialców. Łaziliśmy na czworakach przy rzece, obwąchując kupy.

Badanie przyniosło zaskakujące wyniki. Mimo identycznej diety nasze dzieci produkowały całkowicie odmienny kał. Nie byłoby to zbyt eleganckie z mojej strony, gdybym przyporządkował poszczególne rodzaje odchodów do imion, powiedzmy zatem tylko, że A jest odszczepieńcem: musi metabolizować żółciany w bardzo nietypowy sposób. B pachnie jak łożysko i olej balsamiczny. I tak dalej. Wąchaliśmy również odchody „na ślepo”: cała nasza piątka wykazała się skutecznością rzędu 80% (moja żona wybrała bezpieczne wnętrze chaty, gdzie z optymizmem rozczytywała się w kolorowym magazynie traktującym o przyjemnościach życia).

Taki wynik uzyskaliśmy w przypadku świeżych kup. Piekące słońce szybko zmniejszało naszą skuteczność. Podobnie jak niskie temperatury. Mieliśmy do czynienia z tym samym zjawiskiem, które odkryliśmy w świecie

zapachów borsuka. Po tygodniu, niezależnie od warunków pogodowych, charakterystyczna dla kogoś kupa zamieniała się w kupę zwykłą, a gdybyśmy chcieli powiedzieć cokolwiek na jej temat, musielibyśmy dysponować również świeżą. Wydry postępują tak samo: łańcuch sygnałów ulega nieustannej erozji pod wpływem deszczu, słońca i wylewającej wody, dlatego jest sumiennie odbudowywany, zazwyczaj tuż przed posiłkiem albo zaraz po nim.

Znaczenie terenu odchodami pozwoliło nam (przez jakiś czas) określać, kto był nad rzeką i w którym miejscu postanowił zaznaczyć swoją obecność. C, drobny i nieśmiały, wytyczył sobie stosownie niewielkie terytorium. D poustawiał skatologiczne kapliczki wokół jednego plosa, ukrywając każdą pod rozłożystymi liśćmi paproci albo trzcin. A i B, kolonialnie agresywni, zdecydowali się na ekspansję terytorialną, wychodząc na wrzosowisko i anektując nawzajem swoje ziemie. Wyszukiwali odchody tego drugiego i skopywali je do rzeki, zostawiając w tym samym miejscu własne; kiedy indziej triumfująco pozostawiali własne odchody na odchodach rywala.

Gdybyśmy podawali naszym dzieciom bardziej charakterystyczne jedzenie, moglibyśmy zrekonstruować treść posiłków spożytych osiem godzin wcześniej. Z tego rodzaju informacji wynika jednak w sumie niewiele. Odchody nie zdradzą nam szczegółów życia poszczególnych dzieci ani ludzkich dzieci w ogóle. Wiele z opublikowanych przez biologów prac na temat wydr jest dosłownie gównem warty.



Zdecydowanie zbyt przyjemnie spędzałem czas. Przyjemne spędzanie czasu było czymś nieautentycznym. Wydry nie spędzają przyjemnie czasu. A przynajmniej nie w czasach, kiedy utrzymanie się przy życiu wymaga od nich tyle zachodu. Przeskakują nerwowo od ryby do bójki, nie mając nigdy pewności, z jakim bilansem energetycznym pozostaną po wydaleniu ostatniej porcji ości i mazi. Henry Williamson stwierdza — dobitnie, bo już w podtytule — że *Tarka the Otter* opowiada o „radosnym wodnym życiu i śmierci Tarki”. Gdyby Williamson miał rację, Tarka byłaby nietypowo, wręcz patologicznie euforyczną wydrą. Natkniecie się na radosne borsuki, jelenie i jerzyki. Bez najmniejszego problemu. Nie spotkacie jednak wielu radosnych wydr. Nie mają one zwyczajnie czasu na cackanie się z emocjami. Kto chce być zawodowym myśliwym — w takiej gospodarce jak nasza albo ich — musi się przygotować, że sam może w każdej chwili stać się ofiarą. Takie właśnie podejście obserwujemy w grafikach ich aktywności, w ich zimnych oczkach i w ich poziomach kortykosteroidów.

W świecie wydr nie istnieją inne horyzonty niż poziom wody. Są one futerkowymi robakami, więc nie mają żadnej potrzeby widzieć, co znajduje się w oddali. Drażą tunele w rzekach i morzach, a potem zabijają w tych tunelach inne istoty, podobnie jak krety zabijają w swoich robaki. W tunelach również mieszkają. Co jest zresztą całkowicie zrozumiałe z psychologicznego punktu widzenia. Kiedy człowieka — nie, kiedy mnie — ogarnia porównywalny niepokój, sam trafiam do tunelu i zaczynam się wyraźnie dusić. Moje oczy znajdują się wyżej nad poziomem gruntu niż oczy wydry, ale widzę równie niewiele. Mogę przechadzać się po salach galerii z malarstwem renesansowym w Ashmolean, ale równie dobrze mógłbym się prześlizgiwać przez mokre trybule leśne na brzegu rzeki, z oczami

zalanymi deszczem i nozdrzami pełnymi sygnałów zbliżającej się śmierci. Nawet moje rozrywki, które naiwny biolog uznałby za świadectwo radosnego hedonizmu, są tylko nieudanymi próbami uwolnienia się od bólu. Biolog dostrzegłby tę próbę, ale już nie porażkę. Bawię się z moimi dziećmi w pozbawionej złudzeń nadziei, że staną się inne niż ja, a przez to oszczędzone im będzie życie w tunelu.

Wydry są elastyczne. Potrafią spojrzeć w górę. Kiedy to jednak robią, widzą wznoszący się przed nimi, porośnięty zielenią brzeg, owłosione ząbki pokrzyw, zwisające gałęzie jesionów albo ślimaka pozostawiającego lśniący ślad na spodzie liścia łopianu. Wiedzą, że gdzieś powyżej jest niebo, ale tam nie patrzą. Łąd przesuwa się powoli wzdłuż brzegów w rytm kolejnych machnięć łapami; nie przeskakuje ani nie przetacza się jak nasz. W świecie wydr nie istnieją doliny o stromych zboczach, ponieważ na ich wysokości i przy ich szybkości nic nie jest strome. Wydra nigdy nie schodzi ani nie wchodzi przez długi czas, ponieważ w jej życiu nic nie trwa długo. Żyje w chwili obecnej, ale nie w sposób, który pozwoliłby jej się nią nasycić. Chwila ta jest udręczona, zdesperowana, podszyta ogromną presją i głodem. Zaraz po niej następuje kolejna — identyczna. I następna. W spłaszczonej głowie wydry nie dochodzi do połączenia tych chwil w ciągłą całość, do uformowania charakteru. Skrajne natężenie lęku prowadzi do erozji osobowości, a jeżeli lęk leży wręcz w czyjejs naturze, osobowość ta w ogóle nie powstanie. Wydry są procesorami przetwarzającymi dane. Niczego więcej w nich nie znajdziemy.

C.S. Lewis uważał, że cierpień zwierząt wbrew pozorom nie można uznać za niepokojące świadectwo przeczące dobroci i/lub omnipotencji Boga, ponieważ, aby cierpieć prawdziwie — jak my — trzeba świadomie dostrzegać, że ta okropna

neuralna burza w chwili A jest powiązana z neuralną burzą w chwili B, a przez to prawdopodobnie utrzyma się, o zgrozo, aż do chwili C. Siła lęku leży w dużej mierze w ekstrapolowaniu terażniejszości i wynikającym z tego wyczekiwaniem na niemiłe zdarzenia. Zwierzęta pozbawione ugruntowanego „ja”, obiektu udręki, zwyczajnie nie cierpią. A w każdym razie nie czynią tego istoty nieobarczone neuralnymi narzędziami, które pozwalałyby im przypuszczać, że nieprzyjemne doznanie odczuwane w chwili obecnej pojawi się również w przyszłości .

Zawsze uważałem ten pogląd za bzdurę, gdybym jednak miał zmienić zdanie, to najprędzej uczyniłbym to w odniesieniu do naszych maniakalnych wydr. Są one zbyt zaabsorbowane pragnieniem pochłaniania ogromnych ilości pożywienia, aby mieć czas i energię na formowanie osobowości.

Skąd to wiem? Oczywiście nie mam pewności. Przekonanie to nie ma żadnych neurobiologicznych podstaw. Jest czymś głęboko nienaukowym antropomorfizować borsuki, a jednocześnie odmawiać podobnych przymiotów, w tym nawet zdolności do odczuwania bólu, ich bliskim kuzynkom, wydrom.. Nic jednak nie poradzę na to, że właśnie coś takiego podpowiada mi intuicja. I jakoś nie zamierzam za to przeproszać.

Jestem bardzo zaskoczony faktem, że wypisuję takie okropne rzeczy na temat wydr. Darzyłem je kiedyś bezkrytyczną, sentymentalną miłością. Przez wiele lat spałem z pluszową wydrą i zastawiłem komplet klocków lego, żeby kupić sobie wypchaną w sklepie ze starociami w Glastonbury. Tę ostatnią głaskałem po poranionym pyszczku, osuwając się w sen. Wyobrażałem sobie, że blizny są pozostałością po starciu z psami, że przynoszę wydrze pośmiertną ulgę. Nadal lubię wiele rzeczy związanych

z wydrami — rzeczy, które poeci opiewają w wierszach. Cieszę się, że ich ciała, choć równie duże jak u dorodnego lisa, potrafią zadrgać niczym sałata morska poruszona nagłym prądem; że potrafią się zwinąć jak spinacz; że rżą i gwizdzą; i że ich nosy zawsze drgają, jakby próbowały odgonić gza. Podoba mi się, że czasami potrafią się zdobyć na cierpliwość, na uczestnictwo w dużych, radosnych rodzinnych spotkaniach i że za dnia zwijają się w kłębek w tych samych miejscach, gdzie udawałem się zawsze, gdy uciekłem z lekcji fortepianu. Mamy podobny gust w sprawie miejsc nadających się do życia i żyjemy taką samą pogardą do kanalizacji, nawozów i płotów. Wydry sprawiały wrażenie istot obdarzonych osobowością. Tyle że ja przestałem w to wierzyć. W brązowej głowie sunącej pod wodą znajdziemy mniej treści niż w pokrytej czarnymi i białymi pasami głowie drepczącej pod ziemią. Wydry cierpią mniej niż borsuki, lisy czy psy. Pisząc coś takiego, zdradzam swoje dzieciństwo.

Wydry zmusiły mnie do wędrówki. One same zawsze były zwierzętami wędrównymi. Tarka Williamsona przemierza cały obszar między rzekami Taw i Torridge, wiodąc iście beduińskie życie — jeżeli oczywiście to wszystko prawda. A przecież mogłoby tak być. Williamson pisał w latach 20. XX wieku, kiedy rzeki West Country nadal tętniły życiem. Od tego czasu spustoszyliśmy je pyretroidami i polichlorowanymi bifenyłami (PCB) oraz innymi paskudnymi środkami z pierścieniami benzenowymi. Wytrzebiliśmy na przykład węgorze, które są ulubionym pożywieniem wydr. Stanowią one około 85% idealnej diety wydry, tymczasem ich liczebność spadła o 95%.

Wątpię, czy Tarka rzeczywiście krążyła po całym terenie rozciągającym się między dwiema rzekami, a jeżeli już, to nie dlatego, że musiała, ale ponieważ chciała: istnieją bez wątpienia takie wydry, podobnie jak istnieją tacy ludzie.

Byłoby jednak zaskakujące, gdyby żyjąca obecnie Tarka nie zapuszczała się znacznie dalej od swoich XX-wiecznych przodków: liczba ryb, jakie można złowić na kilometrowym odcinku rzeki, drastycznie spadła.

Z powodu niszczycielskich skutków pierścieni benzenowych wydry przekraczają wrzosowiska, działy wodne i, co dla nich groźne, drogi oraz ścieżki innych wydr. Głód rodzi agresję: wspomniane wypatroszenia i kastracje można wywieść z ludzkiej chęci powiększania zysków akcjonariuszy.

Za sprawą akcjonariuszy wydry stały się również bardziej widoczne. Lubią polować w nocy, ale, jak wynika z doświadczeń wielu pokoleń zdesperowanych ludzi, jeżeli nie utrzymamy się z pracy w standardowych godzinach, trzeba brać nocki — a w przypadku wydry: dniówki. Tak więc poza surowymi napomnieniami własnych metabolicznych księgowych — dzięki którym metabolizm funkcjonuje przy tak niewielkich rezerwach — wydra musi dostosować się do skutków żądań rachmistrzów z gabinetów we Frankfurcie, którzy starają się wycisnąć więcej ze swoich przedsiębiorstw i przez których zwierzęta żyjące w ciągłym egzystencjalnym napięciu docierają do granicy obłędu. To przez nich wydry śpią krócej i prowadzą jeszcze bardziej wędrowny tryb życia.

Malutkie głowy wydr mieszczą w sobie wielkie mapy. To zaskakujące. Tak wielkie mapy pasowałyby nam raczej do spokojniejszego, wolnego, filozoficznego tempa.

Są to mapy nie tylko przestrzenne, ale również czasowe, zabarwione emocjami paniki, nasycenia i straty. Moja mapa mówi: „Rzeka przepływa przez stromy parów. Po stronie północnej liściaste drzewa wznoszą się stromo ku płaskowyżowi. Wije się tamtędy strumyk, który wpada do rzeki jakieś pół kilometra od pubu. Południową stronę porasta las mieszany”. Doświadczenie i intuicja pozwoliłyby

mi dodać: „Rachel rozcięła sobie kolano, kiedy spływała tamtym odcinkiem rzeki. Krzyczała tak głośno, że las, wypełniony wcześniej brzęczeniem i świergotami, zamilkł na godzinę. Wspięliśmy się potem do pubu, gdzie od dwunastej można zjeść mięso i cynaderki zapiekane w cieście”. Mapa wydry, jak można się spodziewać, przypomina raczej arkusz kalkulacyjny lub listę rzeczy do załatwienia. Jest skrótowa, przyjemna i uboga w przymiotniki i przysłówki. Wyraźnie dzieli się również na pory roku. Wygląda następująco:

Miesiąc	Opcja 1	Opcja 2	Opcja 3	Opcja 4
Styczeń	Węgorz: głęboko i w ciemności. Zajrzyj na niższe płosa na Rockford.	Kiełb, głowacz białopłetwy, śliz poniżej zamku Rosborough.	Kaczki, pardwy szkockie, łyski: poszukaj śpiących kaczek w Leeford. Opłacałna może się okazać wyprawa do Barle albo do płosa w Radworthy.	Cokolwiek.
Luty	Węgorz: głęboko i w ciemności. Bóg raczy wiedzieć, gdzie będą. Każde miejsce równie beznadziejne jak inne. Okej, dwa lata temu siedziały w rzece powyżej Brendon, ale pamiętaj o zatopionym drucie kolczastym i człowieku z wybuchowym	Kiełb, głowacz białopłetwy, śliz: most w Smallcombe.	Kaczki, pardwy szkockie, łyski: jak w styczniu.	Cokolwiek.

	patykiem.			
Marzec	Węgorz: spróbuj pod mostem w Simonsbath. Będą tam szczury — dobre na przystawkę.	Tradycyjnie: Holcombe Burrows.	To płoso z karpami. Tyle że wredny pies.	Cokolwiek.
Kwiecień	Węgorz: może w Cherrybridge, ale w styczniu zeszłego roku śmierdziało tam olejem napędowym.	Żaby w Shilstone. Przy okazji warto sprawdzić, czy w strumieniu nie leży martwa owca.	Drobnica w Hoccombe Water. Poza tym początek sezonu na drób.	Cokolwiek.
Maj	Węgorze: korzenie pod Flexbarrow.	Zmierzające na tarło minogi morskie. Samce przyczepione do głowy samicy przyssawką, więc dostajemy dwa w cenie jednego. Martwe albo umierające po tarle. Spróbuj niższe odcinki Barle.	Kaczątka. Capnij przy okazji matkę, jeżeli będzie się rzucać.	Cokolwiek.
Czerwiec	Węgorz: tam, gdzie Great Woolcombe wpada do Berle.	Strzępiel: las krasnorostów koło Lynmouth.	Rak sygnałowy: Barle. Po drodze drobnica.	Cokolwiek.
Lipiec	Węgorz: kawałek nad Cornham Ford.	Pstrąg: osaczyć, nie gonić. Może pod Tom's Hill?	Rak sygnałowy: Barle. Po drodze drobnica.	Cokolwiek.
Sierpień	Węgorz: jeżeli pada, w Balewater. Jeżeli nie, kawałek poniżej Bridgeworthy.	Pstrąg: osaczyć, nie gonić. W zeszłym roku było nieźle koło Cloud Farm.	Rak sygnałowy: Barle. Po drodze drobnica.	Cokolwiek.
Wrzesień	Węgorz: może Hoar Oak Water?	Migracja minogów morskich. Zabijaj na płyciznach w Watersmeet.	Rak sygnałowy: Barle. Po drodze drobnica.	Cokolwiek.

Październik	Przy wysokim poziomie rzeki, zwłaszcza w czasie pełni, możliwa migracja srebrnych węgorzy. Czekaj tuż pod Watersmeet. Zabijaj na płycznach.	Migracja minogów morskich. Zabijaj na płycznach w Watersmeet.	Rak sygnałowy: Barle. Po drodze drobnica.	Cokolwiek.
Listopad	Przy wysokim poziomie rzeki, zwłaszcza w czasie pełni, możliwa migracja srebrnych węgorzy. Czekaj tuż pod Watersmeet. Zabijaj na płycznach.	Miesiąc zacznij od minogów morskich: mogą być pod Ash Bridge. Pod koniec miesiąca martwe i umierające łososie po tarle: plosa w Rockford.	Rak sygnałowy: Barle. Po drodze drobnica.	Cokolwiek.
Grudzień	Węgorz: Myrtleberry Cleave? Tyle że jest tam paskudnie, jeżeli padało nad wrzosowiskiem.	Na początku miesiąca martwe i umierające łososie po tarle: plosa w Rockford.	Kraby brzegowe, ptaki, rybi chłam, raki. Ten szczupak pod olchami. Dżdżownice po deszczu. Tak, zniżamy się do tego poziomu.	Cokolwiek.

Należy tylko pamiętać, że prawdziwa wydra posługuje się mniej kwiecistą i literacką składnią.

Jako człowiek potrafiłem zmusić swój umysł, a co za tym idzie język, do czegoś takiego. Udało się. Wymagało to kilku bezsennych dni, szybkiego odbudowania związków z rzeką, które do tej pory sprowadzały się do wzajemnego zadawania sobie ran, trzech dni spędzonych w zimnym deszczu, trzech dni postu, utraconego słupka od namiotu i paskudnie stłuczonego dużego palca u nogi. Proces ten mógłby zostać

przyspieszony przez jakąkolwiek tradycyjną technikę tortur psychicznych: słuchanie białego szumu albo prywatnych stacji radiowych, znoszenie powolnego kapania wody na głowę czy oglądanie telenoweli. Nie zaszkodziłoby również, gdybym wyrządził jakąś nieodwracalną szkodę, a przez to nie miał nic do stracenia i musiał się ukrywać.

Postanowiłem zostać względnie zrelaksowaną, przemieszczając się nocami wydrą sprzed czasów PCB. Trudno jednak zacząć ten eksperyment w nocy. Rzekę trzeba najpierw poznać za dnia. Zasady BHP i tak dalej. Wielka szkoda, ponieważ w ten sposób rzeka nocą — czyli prawdziwa rzeka z perspektywy wydry — zawsze będzie opisywana w kategoriach rzeki za dnia. Dzień staje się punktem odniesienia. Odwołania i porównania zawsze wypaczają obraz. Narzucamy sobie w ten sposób na niego kolejną przesłonę, a przecież już wcześniej mało co widzieliśmy. Ale trudno — inaczej się nie da, zwłaszcza jeżeli zabieramy ze sobą dzieci, jak to czasami czyniłem, a te dzieci mają troskliwą matkę, która potrafiłaby rozpętać piekło nawet w przyjaznym klimacie doliny Lyn.

Najczęściej byłem sam, ponieważ tak właśnie żyją wydry. Wyobraźnia podsuwa nam obraz młodych osobników baraszkujących u boku samicy. Coś takiego faktycznie się zdarza i trwa przez okrągły rok. Z konieczności, ponieważ rzeka jest niepewnym źródłem pożywienia. Płoso, które w lutym wyżywi całą rodzinę, w maju będzie puste. Młode wydry same nie wpadną na to, że w kwietniu na bagnach będą żaby, a w grudniu można łatwo złapać wyczerpane tarłem łososie. Konieczna jest całoroczna, systematyczna i obejmująca ogromny teren edukacja. Nieobecność na zajęciach może się zakończyć śmiercią.

Ale tego rodzaju społeczne zachowania wcale nie są normą. Okazują się bowiem bardzo kosztowne dla samicy, która

chętnie jak najszybciej przestałaby płacić rujnujące ją metaboliczne rachunki za szkołę. Większość wydr spędza przeważającą część czasu w samotności. Zwyczajnie muszą. Nasze wyniszczone rzeki nie są na tyle bogate w pożywienie, aby wydry mogły sobie pozwolić na towarzyski tryb życia. Jedno płoś wyżywi w danym momencie jedną wydrę: dla dwóch nie starczy jedzenia.

Dlatego właśnie moje młode zazwyczaj szalały wokół chaty, demolując meble i odgrywając historię Kaina i Abla, żona krzyczała i rwała sobie włosy z głowy, a ja osuwałem się w ramiona rzeki.



Od lat pływałem w rzekach w parku narodowym Exmoor, zazwyczaj za dnia, zwykle bez stroju piankowego, często z maską i fajką. Określenie „rzeki parku narodowego Exmoor” brzmi okazale, ale tak naprawdę niczego nam nie mówi. Jak zauważył Heraklit, nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki. To prawda: podobnie jak można opisać tylko jedno wrażenie zmysłowe zachodzące w mózgu. Powiązania między tymi wrażeniami są iluzją. Tyle że musimy polegać na tych iluzjach, jeżeli chcemy tworzyć spójną prozę: złudzenia korzystnie wpływają na potoczność tekstu, jego ton i nastrój.

Gdyby jakaś reżyserka kręciła film o dolinie East Lyn, jako ścieżkę dźwiękową pewnie wybrałaby coś między najbardziej kojącym Debussym a histerycznym Wagnerem. Posługiwałaby się uogólnieniami; podzieliłaby utwory na kilka kategorii: ostre, arkadyjskie (aby pokazać swoje wyrafinowanie) i zagadkowe. Ale nigdy nie udało by jej się

odpowiednio dobrać tempa zmian: rzeka potrafi przeistoczyć się ze wzburzonej w sielską w dziesięć minut i zawsze pozostaje zagadkowa. Wydra, która wydaje się mieszkać w rzece (to częściowo prawda, mimo że jest tam ewolucyjnym nowicjuszem), posługuje się zupełnie innym rytmem: przygrywa jej bardziej kapela garażowa; paznokcie przesuwane po muzycznej tablicy. Drastycznie odbiega to od kategorii wybranych przez reżyserkę. Wszystko to dowodzi, że generalizacje nie mają sensu; że każdy, kto próbuje przywołać nastrój jakiegoś naturalnego miejsca, jest oszustem; że wszystko — absolutnie wszystko — sprowadza się do szczegółu, do detalu; do machnięcia zakończonych pazurami łapy, szarpnięcia, zdyszanego głosu konkretnego osobnika, po którym pojawia się charakterystyczne dyszenie innego; drobnych przebłysków świadomości wywabionych przez jakieś wspomnienie z małego mózgu tego goniącego, nastroszonego, uwijającego się bękartika, wepchniętego przez pęd ewolucji między wodę a las.

Kierunek to dość tajemnicza sprawa. Kiedy wydra zanurza głowę pod powierzchnię wody, tak naprawdę z niej wychodzi: niespodziewanie nabiera wysokości. Błyskawicznie wspina się na szczyt i spogląda w dół. Chwilę wcześniej istniał tylko pierwszy plan; rozedrgana wodna kryjówka. Delikatny ruch głowy zmienia nie tylko widok: rośnie w ten sposób liczba wymiarów, w których toczy się życie. Zagłębienie w dnie rzeki staje się wierzchołkiem: kiedy wydra poluje tam na pstrąga, porusza się w ujemnej przestrzeni.

Rzeka, ze swoimi burzami, cieniami i dziurami, tworzy pejzaż. W jednym miejscu na Badgworthy Water, poniżej gniazda srok, w wietrzne dni powstaje korytarz nieruchomego powietrza. Wystarczy się tam przesunąć o kilka centymetrów w bok, a woda nami zakręci i poniesie w dół, szybciej od lecącej sroki, prosto na skały, gdzie przez

lata spoczywało wciśnięte ciało owcy. Między jej żebrami mieszkał węgorz, tłusty i zadowolony niczym myśliwy w drewnianej chatce pośrodku lasu. Kiedyś w lutym podszedłem do tego miejsca od strony brzegu, dźgnąłem widłami w miejscu, gdzie w przeszłości znajdowała się przepona owcy, i wyciągnąłem wijącego się węgorza na brzeg. Poczułem się przez chwilę mocarnym mężczyzną, a tymczasem on użarł mnie w jaja i ześlizgnął się z powrotem do eocenu.

Tuż pod plosem z owcą — w rzece, która przez chwilę jest, choć nigdy nie była i nigdy nie będzie — znajdują się ostre stopnie prowadzące pod spienioną wodą ku grocie, w której woda przypomina wirujący z wolna syrop. W grocie mieści się niewykorzystywany przez nikogo skład jaworowych nosków. I nic więcej. Unoszą się one w górę, po czym opadają z powrotem na dno. Potem znów się unoszą. I tak dalej, dopóki nie zgniją.

Tuż poniżej schodów do rzeki wykrwawia się wrzosowisko. Czerwona chmura ziemi rozlewa się niczym krew na podłodze toalety w pubie po bójce. Kiedy w słoneczny dzień leży się na dnie rzeki, spoglądając w górę spod tej chmury, czerwona ziemia i niebieskie niebo zlewają się w palecie barw siatkówki w biskupią purpurę.

Gdy wykąpana w płynie odkażającym owca wchodzi do wody, aby się napić, zanurzając się na głębokość klatki piersiowej, w rzece poniżej wszystko umiera na odcinku pięćdziesięciu metrów. Jeżeli w upalny dzień owca chce się dodatkowo ochłodzić i zanurzy się jeszcze bardziej, oczyści rzekę z istot żywych na odcinku pół mili.

Nieopodal znajduje się bród. Czasami można tam spotkać ślady i odchody wydr. Dawniej przetaczały się przez niego powozy z damami w krynolinach; było to wymarzone miejsce dla leniwych rozbójników. Spłylenie rzeki musiało

skutkować wieloma napadami, w wyniku których niewątpliwie kilka osób trafiło na szubienice, co z kolei pociągnęło za sobą dalsze zdarzenia, na przykład inkubację larw muchy plujki w ciałach wisielców. Bez wątplenia niektórzy potomkowie tych much zostali nadziani na haczyki wędkarzy łowiących w Exmoor.

Chcę przez to powiedzieć, że rzeka jest strumieniem opowieści, które nie mają początku ani końca. W tym strumieniu polują wydry i właśnie do niego wszedłem w ślad za nimi.



Zawsze jestem za nimi. Wypatruję ledwie widocznych śladów na skrawku błota albo mieliźnie. Wciąż obwąchuję ich gówienka; przyglądam się każdemu szkieletowi ryby, której wątroba została wyssana jak shake przez dziurę za skrzelami. Nigdy nie zdarzyło mi się ich wyprzedzić ani nawet dotrzymać im kroku. Czasami nabierałem na krótką chwilę pożałowania godnego przekonania, że udało mi się je zaskoczyć: że dotarłem na miejsce przed nimi, że to one wkroczyły na zaaranżowaną przeze mnie scenę. Złudzenie: można je zobaczyć tylko wtedy, gdy nam na to pozwolą. Bardzo tego nie lubię. Nie odpuszczają ani na chwilę — nie mogę się nawet łudzić, że jesteśmy towarzyszami. Wydry odwzajemniają zainteresowanie człowieka w szokująco mniejszym stopniu niż koty. Budziło to we mnie jeszcze większy niepokój niż ich dzikość, ich nieukozone, rozedrgane, nienasycone mordercze instynkty.

Podążyłem za nimi do wody.

To ważne, aby spędzić w wodzie dużo czasu.

Doświadczanie czegokolwiek przez dziesięć minut jakościowo różni się od doświadczenia trwającego godzinę. Neurobiologiczny rachunek to dziwna sprawa. Różnica między dwudziestoma a dziesięcioma minutami nie wynosi bynajmniej dziesięciu minut. Jeżeli mi nie wierzycie, wstańcie wcześniej rano, usiądźcie po turecku na poduszce z zamkniętymi oczami i próbujcie nie myśleć o niczym konkretnym: chwytajcie każdą wkradającą wam się do głowy myśl między palec wskazujący a kciuk i wyciągajcie ją z umysłu. Postępujcie tak każdego ranka przez trzy miesiące. I spróbujcie mnie wtedy przekonać, że dziesięć minut plus dziesięć minut rzeczywiście równa się dwadzieścia minut.

Właśnie z tego powodu — mimo pozowania na macho i sporych ilości podskórnego tłuszczu — w większości przypadków miałem na sobie strój piankowy. Można znaleźć też inne argumenty przemawiające za tym paskudztwem. Wydry, w odróżnieniu ode mnie, mają bardzo mało tłuszczu, ich ciała są za to pokryte dwiema warstwami owłosienia: drobną spodnią i grubszą wierzchnią. Sierść bardzo skutecznie zatrzymuje powietrze, które jest koszmarnym przewodnikiem ciepła, a przez to pełni funkcję znakomitego izolatora. Kombinezony piankowe działają w podobny sposób. Właściwości izolacyjne zawdzięczają głównie bąbelkom azotu uwięzionym w neoprenie. Założenie kombinezonu piankowego raczej upodabnia człowieka do wydry, niż od niej oddala.



Plan dnia był prosty. Wskakiwałem do wody i sływałem

rzeką, twarzą do przodu, robiąc przystanki na ocieranie się i obmacywanie otoczenia.

Większość dni, wzorem wydr, spędzałem, leżąc gdzieś nad wodą. Początkowo starałem się wtedy usłyszeć, wywąchać i zobaczyć wszystko, co składa się na dzień wydry. Później, kiedy zacząłem poznawać noc, zalegałem na brzegu, ponieważ byłem zmęczony albo chciałem wyostrzyć sobie zmysły, kiedy słońce zanikało w wodzie i nadchodził czas prawdziwej zabawy.

Każda wydra ma wiele ulubionych miejsc, w których się wyleguje. Jest to konieczne ze względu na rozległość jej żerowiska. Zwierzęta te nie są specjalnie wybredne. Potrzeby mają podobne jak ja. Szukają miejsca, które będzie suche, bezpieczne i, najlepiej, ciche. Nie potrzebują sklepionego pałacu odziedziczonego po przodkach i wydrążonego pod ich prochami. Wystarczy im wylot kanału burzowego albo zacienione posłanie z naniesionej trawy w miejscu niedostępnym dla rozbrykanych psów. Mnie również zdarzyło się spać w rurze, porzuconej w Rochester przez jakąś firmę budowlaną, pełnej kości królików, pieluch i strzykawek. W pewnym momencie zapuścił się do niej jakiś szukający kłopotów bulterier. Warknąłem i o mało co nie odgryzłem mu głowy. Mam nadzieję, że do końca życia będzie potrzebował terapii. Zwykle jednak zwijałem się w odległości rzutu kamieniem od rzeki, nasłuchując jednym uchem, czy nie zbliża się jakieś niebezpieczeństwo, żywiąc nienawistne uczucia do rozgadanych wędrowców i wyczekując nocy.

Z moim wyobrażeniu w rzece występują dwie pory roku: jasność i ciemność; życie i śmierć. Wiosną i jesienią toczą się między nimi manichejskie zmagania. Lato oddycha i pulsuje. Zima przeciwnie: serce świata zamiera. Nie słysząc nawet świszczącego oddechu.

W świetle pluskałem się, uśmiechałem i podskakiwałem na wodzie niczym korek, siniacząc sobie tyłek na bystrzach. Rzeka prezentowała szeroki wachlarz nastrojów, ale zawsze pasowały one do jej wieku.

Kiedy świeciło słońce, dno rzeki wszędzie pokrywała mozaika spłaszczonych twarzy, rechoczących razem w kubistycznym piekle. W młodych i rozgadanych górnych przebiegach twarze te są zwieńczone wodorostami powiewającymi jak włosy szaleńca na wietrze. Rozczesywałem je skostniałymi palcami. Piskorze siedziały w nich niczym wszy na głowie.

W średnim wieku rzeki twarze robią się na jakiś czas bardziej płaskie, linie włosów rzędzą na skroniach, a głos, choć nigdy nie przybiera smętnego odcienia, czasami milknie, aby rzeka mogła wziąć głęboki oddech. Później, na kilka kilometrów przed wpłynięciem do morza, ogarnia ją klimakteryczny, haniebny kryzys; zwisająca zieleń; zamglenie od osadu — wszystkiego jest za dużo, jakby rzeka desperacko starała się możliwie najpełniej wykorzystać tych kilka ostatnich kilometrów podróży przez hrabstwo Devon. Na samym końcu, kiedy słyhać już kaszel i pomruk morskich fal, woda uspokaja się i zamyśla. Nie musi się nigdzie śpieszyć.

Za dnia na całej długości rzeki życie toczy się zazwyczaj przy brzegach, pod jakąś osłoną. Widoczna część rzeki jest pustynią. Od czasu do czasu przemierzają ją karawany śmiałków, podróżujące między jednym a drugim kamieniem. Ławice płotek połyskują; głowacze białopłetwe wydziobują. Pstrąg potokowy, na tyle duży, że nie musi się niczym nie przejmować, unosi się w wodorostach; niczym wielbłąd kołysze się zamyślony nad rozgrzanym piaskiem. Pod okapem kamieni czają się tysiące oczu w kolorze żwiru, wyczekujące ciemności.

Pustynia zakwita sporadycznie. Tylko raz zdarzyło mi się być świadkiem takiej chwili: kiedy pewnego czerwcowego dnia wylęgły się jętki. Chwilę wcześniej zjadłem zakrapiany piwem lunch w Staghunters' Inn.

Z oddali jętki przypominały parę wydobywającą się z ust rzeki. W istocie były przez rzekę wydychane. Powierzchnia wody połyskiwała od łusek. Nawet się nie rozebrałem, zresztą po okolicy i tak kręciło się zbyt wielu spacerowiczów. Od kilku tygodni spałem w ubraniu, któremu przydałaby się przepierka. Ściągnąłem buty, powiesiłem kurtkę na gałęzi i ześlizgnąłem się głową do przodu w chmurę owadów. Nie była to bynajmniej amorficzna chmura istot żywych, ale wysoce zorganizowany system ruchu powietrznego. Jętki przeskakiwały nad zmarszczkami na powierzchni, które były dla nich równie wysokie co monumentalne hawajskie fale dla najodważniejszych surferów. Nad rzeką przebiegały precyzyjnie wytyczone korytarze, a każdym z nich przemykało — niczym w godzinę szczytu na autostradzie — pięć tysięcy owadów na sekundę, trzymających się w zdyscyplinowany sposób prawej strony. Leżałem przez godzinę z głową na pasie rozdzielającym nitki autostrady. Kiedy przesuwałem ją lekko w jeden z korytarzy, owady nadlatujące od przodu oblepiały mi usta i oczy, a od tyłu — kark. W godzinę od wydmuchnięcia jętek, rzeka wciągnęła je z powrotem w siebie. Nie wiedziałem, czy się tym zachwycać, czy zapłakać nad bezsensownością tego procesu.

Zew krwi pstrągów potokowych, które w mojej obecności przyczajają się normalnie w jakimś cieniu, okazał się silniejszy od ich niechęci do brnących przez wodę sztruksowych nóg i kraciastych rąk, więc przemykały koło mnie w drodze ku powierzchni niczym rozpychające się kościstymi łokciami matrony zmierzające w stronę bufetu na stypie po przydługim pogrzebie. Jętki tworzyły mięsne

sklepienie nad światem pstrągów. Wyobraźcie sobie, że sufit nad wami zamienia się nagle w hamburgery. Zakręciłoby wam się w głowie. Podobnie widok jętek powoduje zawroty głowy u ryb, które przebijają się przez hamburgerowy dach, wyskakując nad powierzchnię.

Gdzieś w dzikim czosnku siedział przyczajony wielki samiec wydry z łapkami drżącymi z frustracji. Ryby upojone morderczym szałem byłyby łatwą zdobyczą, kłopot w tym, że rzekę zanieczyszczało tłuste ludzkie ciało. Czułem gorzkniejącą na słońcu urazę tamtego samca. Był to jedyny przypadek, kiedy wyczułem cokolwiek ze strony wydry.

Kiedy wylazłem na błotnisty brzeg i otrzepałem się, stwierdziłem, że ktoś buchnął mi kurtkę. Niech mu służy: jestem zdumiony i zaszczycony, że nie przeszkadzał im mój zapach. Co zrozumiałe, złodziej nie tknął butów. Ociekając wodą, ruszyłem powoli w górę zbocza na kolację. Kiedy ja zaczynałem się posilać musaką, ciała jętek, których nie zdążyły wchłonąć żarłoczne pstrągi, były już rozgniatane na proteinową miazgę przez fale uderzające w kamieniste plaże Lynmouth.

Zwykle czas spędzany za dnia w rzece nie obfitował w tego rodzaju wydarzenia. Poruszałem się na dużej wysokości: badając, gromadząc współrzędne. Dni upływały raczej w rytm trzasków migawek moich oczu, a nie kłapnięć szczęk; składania zapisanych obrazów w uproszczoną mozaikę, a nie rozrywania na strzępy ciał upolowanych zwierząt.

Urządzaliśmy pikniki na brzegach, graliśmy w krykieta kamieniami i kośćmi udowymi jeleni, spaliliśmy w płytkiej wodzie, konsekrowaliśmy miejsca oznaczone naszymi odchodami i ich broniliśmy, porównywaliśmy (i kosztowaliśmy) gatunki robaków spożywane przez ryby, ptaki i ssaki, jedliśmy duże ilości surowych wątróbek rybich,

wprowadziliśmy (na tydzień) zasadę, że nikomu nie wolno się napić cydru, dopóki nie zobaczymy pięciu gatunków zwierząt migrujących w lecie, znaleźliśmy ponadto w dnie rzeki zagłębienie w kształcie kielicha wypełnione nienaruszonymi ciałami białorzytek i kłaskawek.



Tak wyglądała pora światła. Tyle że przez cały czas wisiała nad nią — niczym nauczyciel próbujący przyłapać mnie na jakimś radosnym zajęciu — pora ciemności.

Nie zamierzam dłużej udawać, że zima jest okej. Próbowałem sobie wmawiać, że przyroda nie zamiera, a tylko odpoczywa i się przegrupowuje, skrywając w sobie jakieś niesprecyzowane procesy życiowe; że ze mną dzieje się coś podobnego. Ale przestałem w to wierzyć. Zimą przyroda wydaje mi się martwa, nawet jeśli jest to oczywista bzdura z biologicznego punktu widzenia. Nie czuję z nią żadnej solidarności. Ona jest martwa, a ja nie: nie wpadałbym przecież w taką panikę, gdybym sam był martwy. Czuję odrazę do przyrody, że zamiera. Całe lato w nią wierzyłem, a ona traktuje mnie w taki sposób? Umiera sobie akurat wtedy, kiedy jest mi najbardziej potrzebna? Powróci, ale to będzie zmartwychwstanie, a nie reanimacja. Cóż mi po przyszłym ocaleniu: potrzebuję go teraz. Leżąc z uchem przy ziemi w styczniowym lesie, nie słyszę nawet delikatnego bicia serca. Mgła wypływająca z doliny nie jest powolnym oddechem zziębniętych drzew, ale bezwonnym smrodem zeszywniałego od dawna trupa.

Wiem, wiem, jakieś tam życie w ziemi się mimo wszystko tli. Ptaki brodzące i wodne podchodzą do brzegu;

powszechnie występują drożdżiki i kwiczoły. Ale przypominają one raczej robactwo pożywiające się truchłem minionego roku; przedstawiają dość makabryczny widok. Siedzę przy ognisku z cydrem i książką, tyjąc, marznąc i gorzkniejąc. Trwam, odkreślając kolejne dni na ścianie mojej celi.

Nie jest to dobre podejście u osoby piszącej książkę przyrodniczą. Powiniennem udawać radosne zafascynowanie wszystkimi obliczami natury; opowiadać wesoło o urokach burz, mrozu i wełnianych skarpet. Tyle że jakoś nie potrafię. Jestem wybrakowanym pisarzem i tworzę wybrakowaną książkę. Wydry podążają za słońcem, ale ja rzadko im towarzyszę.

Próbowałem to robić; uwierzcie, proszę, że próbowałem. Było to jednak tylko stwarzanie pozorów. Czasami okazywało się nawet dość wyczerpujące. Spływałem jak kłoda w grudniu rzeką Badgworthy do Watersmeet — jak kłoda, ponieważ proprioreceptory w moich kończynach przestały mnie informować o położeniu owych kończyn w przestrzeni. W styczniu grzebałem między korzeniami nadbrzeżnych drzew, spodziewając się, że znajdę tam drzemiące tłuste, nieruchawe ryby, ale jedyne, co mi z tego przyszło, to palce przypominające niebieskie marchewki. Wiedząc, że zimno i kaloryczny imperatyw zmuszają wydry do przeczesywania coraz większych terenów, włączyłem się bez końca po brzegach rzek i działach wodnych, próbując wczuć się w ich sytuację — w sumie wczuć się w cokolwiek, co nie byłoby mną. Bez skutku. Podobnie jak podczas przesiadywania w bibliotece Bodlejańskiej Uniwersytetu Oksfordzkiego i odbierania ton mejli, mój umysł popadł w stan permanentnego spazmu i jałowości, pokiereszowany codzienną miałkością doznań. Przyczynia się do tego również zimno panujące na wrzosowisku. Ta miałkość musi ustać,

jeżeli mój mózg ma się otrząsnąć ze spazmu i ponownie ogarniać świat. Słońce musi powrócić, zanim pojawi się jakakolwiek szansa na empatię czy nawet na w miarę porządne obserwacje na brzegu. Ale cóż to za uczucie, kiedy już wreszcie powraca! Kiedy powraca, rozbrzmiewa euforyczny okrzyk towarzyszący wydobywaniu się z doliny depresji i wpływaniu na falę manii. Moje życie przestaje się ograniczać do obwąchiwania odchodów i mozolnego, niechętnego gromadzenia przymiotników — rozkwitam w zajebistego, nieznośnego szamana, pretensjonalnego do granic wytrzymałości.

Zima mnie zwyczajnie przerasta. Powinniście poprosić w księgarni o 25% rabatu na tę książkę.

Wynika z tego jednak ciekawa nauka. Pograżony w depresji szaman, myśliwy albo przyrodnik nie jest w stanie pracować. Znękana dusza wyraźnie nie potrafi przekroczyć cienkiej zasłony oddzielającej różne gatunki. Nie rozumiem tej metafizyki. Wygląda jednak na to, że aby stać się kimś innym, trzeba dostatecznie mocno być sobą, a depresja wypłukuje nasze „ja” poniżej pewnego krytycznego poziomu. Być może dla człowieka bycie zwierzęciem jest po prostu skrajną postacią empatii — nieróżniącą się niczym od tej potrzebnej do bycia dobrym kochankiem, ojcem albo kolegą. Człowiek pograżony w depresji być może zbyt obsesyjnie skupia się na pielęgnowaniu tego zranionego „ja”, aby mieć siłę czy uważność potrzebne do okazywania empatii. Nasze strategie opiekuńcze opierają się na całkowicie fałszywych założeniach. Można odnieść wrażenie, że u podłoża każdej z nich leży fatalne w skutkach przekonanie, że kiedy dzielimy się sobą, uszczuplamy samych siebie. W istocie (o czym wiemy wtedy, kiedy świeci słońce) dzieje się rzecz jasna coś dokładnie odwrotnego.

A może bardziej przekona was epicki język szamana.

Podróż między światami to wyczerpujące zajęcie, któremu nie poddają osoby w jakikolwiek sposób ułomne. Pamiętacie zawarty w Księdze Kapłańskiej zakaz wyświęcania niepełnosprawnych księży? Świat szamański opiera się na umiejętności dawania — a jedynym darem, jakiego się oczekuje, jest dar z samego siebie. Duchowe wydry strzegące swoich granic nie zaproszą nas do swojego świata przyjaznymi gestami łapek, jeżeli zobaczą, że utykamy i podążamy zdezorientowani, owinięci w liście liliowe i czerwoną wstęgę — jako zwykła kukła. Chcą zobaczyć prawdziwego człowieka.



Za dnia odbyłem potrzebną praktykę i sporządziłem swoje mapy, ale prawdziwe życie zaczynało się w nocy. Odkładałem tę chwilę i odkładałem. Łazić w świetle księżyca po paprociach to jedno — człowiek czuje się wtedy jak podeksycytowany harcerz na pierwszym obozie — ale leżeć na dnie rzeki o północy, kiedy wokół nas pływają pradawne stworzenia, to drugie. Człowiek czuje się wtedy, jakby był martwy. Ktoś musiałby mnie wepchnąć do rzeki albo zwabić perspektywą zmysłowych doznań. Rzeka okazała się łaskawa i sama mnie do siebie zwabiła.

Wyszedłem z Staghunters' Inn po wieczorze spędzonym przy bilardzie i kilku piwach i zanurzyłem się w ciemności, którą rozjaśniało jedynie światło gwiazd.

Staghunters' Inn to spokojne miejsce rozbrzmiewające kojącymi pomrukami. Wypełnione stukotami, brzęknięciami i chichotami. Założywszy (nową) kurtkę, pożegnałem się i wyszedłem na drogę, gdzie otoczyła mnie pomarszczona

wstęga odgłosów rzeki, moje uszy zaczęły ulegać przemianie. Na początku były niewielkie i umiejscowione (jak to uszy) po obu stronach głowy. Pięćdziesiąt metrów dalej miały już wielkość główek kapusty i zaczęły się wykręcać na wszystkie strony. Po kolejnych pięćdziesięciu metrach opadły mi do kostek; zacząłem wyraźniej słyszeć norniki niż sowy. Po następnych zaczęły się dzielić i wyrastać z przedniej i bocznej części mojego ciała niczym huba. Musiało minąć jeszcze piętnaście minut — wspinałem się wtedy przez las ku grzbietowi góry — zanim moje siatkówki przywykły do ciemności i wyposażyły mnie w borsuczy wzrok. Przyszło mi nagle do głowy, że gdybym wskoczył nago do rzeki, widziałbym jednocześnie oba światy, a rzeka dorzuciłaby mi również garść nowych uszu.

Następnej nocy przeszedłem przez most i ruszyłem ścieżką (wymijając na czuja psie kupy, które widziałem tam wcześniej), rozebrałem się przy jakimś jesionie, stanąłem na skale niczym przekarmiona ofiara składana w ofierze któremuś z zazdrosnych egejskich bogów, po czym wskoczyłem między samce łososa. Kiedy wystawiłem ponownie głowę nad warstwę piany i jętek, cała moja skóra stwardniała, zrobiła się porowata i zaczęła pełnić funkcję jednego wielkiego ucha, upodabniając się tym samym do wieloelementowych oczu muchy plujki — odbierałem dźwięki jej każdym porem. Początkowo docierało do mnie w ten sposób zbyt wiele informacji, abym cokolwiek z nich rozumiał. Mój mózg wiedział, co zrobić z dźwiękami odbijającymi się od boków głowy, ale nie potrafił się uporać z dźwiękami docierającymi do małego palca u nogi czy do ramienia. Zakręciło mi się w głowie od nadmiaru informacji i od nietypowych kątów, pod którymi do mnie docierały; mózg zaczął się burzyć, podobnie jak żołądek i kanały półkoliste burzą się, kiedy wsiądziemy na karuzelę

w wesołym miasteczku, objadłszy się wcześniej wata cukrową. Szybko jednak wziął się w neuronalną garść, zrozumiał, że to do niego należy koordynowanie transmisji ze wszystkich rozsianych po ciele nadajników, i nadał się władczo, obwieszczając, że jego ciało jest ogromne, młode i zdolne do uporania się z tym nowym, dziwnym zadaniem. „Co, nigdy nie odbierałeś dźwięków kolanem?“, zapytał. „Ha! I ty się uważasz za człowieka?”.

Dźwięk rozchodzi się w wodzie ponad czterokrotnie szybciej niż w powietrzu. Kiedy znajdziemy się pod wodą i zaczniemy polegać głównie na słuchu i dotyku, a nie na wzroku, odległości ulegają cudownemu skróceniu. Raki stukoczące na żwirze pięćdziesiąt metrów dalej znajdują się jakby na wyciągnięcie ręki. Woda wypełniająca uszy działa jak megafon. Gdybyśmy dysponowali tylko zmysłem słuchu, wszystko uległoby rozdęciu. Klekoczące szczypce nabierają monstrualnych rozmiarów. Normalnie zetknęlibyśmy się z nimi jedynie w jakichś wybujałych jurajskich snach. Rzeka nocą zapewnia kolosalną dawkę doznań; staje się najwspanialszym placem zabaw.

Każdy, kto zafundował sobie kosztowaną sesję w komorze wypornościowej (tylko dlaczego ktokolwiek miałby to robić, skoro mamy rzeki?), wie, co się dzieje, kiedy wytłumimy jeden zestaw zmysłów. Wszystkie pozostałe się wyostrzają (tylko jogin potrafiłby je rozpędzić do pełnych obrotów).

Tamtej pierwszej nocy w rzece wspomagałem się jeszcze latarką. Później już nigdy jej nie użyłem. Latarki to coś odrażającego. Nie oświetlają — wręcz zaciemniają. Odzierają noc z jej kolorów i zamrażają zwierzęta. Pręciki naszych siatkówek, które zaczynają pracować intensywniej w słabym oświetleniu, tworzą czarno-białe obrazy, ale, czy to za sprawą jakiejś niesamowitej czułości samej siatkówki, czy zmyślnego przetwarzania danych przez mózg, szarości nocy

jawią nam się w takiej różnorodności jak widmo tęczy za dnia. Nie chodzi bynajmniej o to, że interpretujemy określoną kombinację szarości jako odpowiadającą im kombinację kolorów. Neuroalchemia tego zjawiska jest bardziej tajemnicza. Nasz nocny mózg robi coś więcej od żalostnego, choć przekonującego, udawania, że jest dzień. Dochodzi do całościowego przełożenia naszego mózgu na mózg nocnej istoty — jest to jeden z najpełniejszych i najcudowniejszych przejawów zmienności, jakich możemy dostąpić. Podobnie jak w obliczu wszystkiego, co kruche, budzi się w nas od razu chęć, aby zburzyć ten stan. A możemy tego łatwo dokonać. Jedno pstryknięcie przełącznika i wracamy do świata, który nie istnieje — ani za dnia, ani nocą: zamieniamy się w istotę litowo-kadmową. Człowiek nosi w sobie żalostne pragnienie przebywania w nie-miejscach, spożywania nie-jedzenia, wchodzenia w interakcje z nie-ludźmi. Dlatego właśnie kupujemy latarki.

Ludzie, po wskoczeniu do zimnej wody zamieniający się w bioniczne istoty, są w stanie usłyszeć i (zanim zimno pozbawi ich obwodowych doznań) poczuć nocą w rzece absolutnie cudowne rzeczy. Rzeka za dnia jest oziębła. Wodorosty ładnie się kołyszą, ale przypominają sterylne chirurgiczne zasłony, a nie wabiące erotyzmem zwiewne szaty. Równie dobrze mogłyby być tapetą albo perfekcyjnie przygotowaną wystawą w idealnie oświetlonym, równomiernie ogrzewanym muzeum. Nocą chwytają was za nogi i gładzą po udach i kroczu. Światło słoneczne odziera wodorosty z kolorów: lubieżne czernie, czerwienie i brązy powracają chyłkiem dopiero po zachodzie słońca. Noc krzepnie nad pogrążającym się w ciemności lasem; w rzece — jest rozpuszczalnikiem.

Po tamtej pierwszej nocy rzeka przestała mi się podobać w dzień. Ale nawet noc nie mogła zrównoważyć koszmaru

zimy.



Pierwszego lata nad rzeką East Lyn znalazłem miejsce, gdzie woda wpada przez przesmyk do głębokiego plosa. Płynie tamtędy z taką prędkością, że zostaje wepchnięta na jego dno, niosąc ze sobą powietrze pochwycone na kamiennej alei zbiegającej z wrzosowiska — powietrze przepełnione zielenią i śpiewem ptaków. Uderza w kamień na dnie plosa i wzbija się spiralą ku powierzchni, przeplatając się z pędzącymi w dół bąbelkami — powstaje niesamowicie skomplikowana podwójna helisa. Tamtego pierwszego dnia zanurzyłem tam głowę i założyłem sobie powietrzną maskę ze wstęgami spływającymi mi z głowy niczym dredy. Kiedy trzymałem głowę pod wodą, wyrósł na niej milion wieloelementowych bąbelków, jakbym był wielką muchą. Bąbelki rozbiły promienie światła i wysyłały je ku moim soczewkom z gwałtownością, przy której normalny zmysł wzroku wydawał się czymś przestarzałym i wysłużonym. Formowałem bąbelki jak rzeźbiarz glinę na kole — wsuwając głowę w helisę, aby powstało w niej przewężenie, i wyciągając z niej pasemka. O „jasnych” porach roku chodziłem w tamto miejsce dokładnie raz w tygodniu. Stało się moim szabasem.

Wydry robią sobie przerwy w szaleńczej pogodni za pożywieniem. Bawią się wodą — bez wyraźnego celu, jeżeli jedynym możliwym celem byłoby zdobywanie kalorii i maksymalizowanie potencjału reprodukcyjnego. Ale robią to dopiero z nadejściem wiosny, kiedy rachunek wkładu-zużycia przedstawia się korzystniej. Poszedłem w ich ślady.

Kiedy wiosna pozwoliła mi odzyskać poczucie własnego „ja” (jakie to cudowne, móc po raz pierwszy od października użyć słów „wiosna” i „ja”), wypełzłem z ziemi, niczym uszczęśliwiony uciekinier z mrocznego obozu zimy, i wślizgnąłem się ponownie do wody, doznając epifanii.

„Poczujesz zmianę na twarzy”, wychrypiał znajomy szkocki farmer. Miał na myśli pogodę, dojrzewanie płciowe, zatrucie płynem odkażającym dla owiec albo orgazm. Nie jest to wcale taka zła obserwacja na temat świata. Faktycznie czułem zmianę na twarzy. Nie wyszczerzyła się może w uśmiechu, ale przynajmniej otworzyły się przed nią różne możliwości.

Wydry doświadczają świata głównie za pośrednictwem zmian na twarzy. Ich pyszczki są dłutami rozcinającymi warstwy wody w rzece. Jako pierwsza część ciała tych zwierząt przekraczają niespodziewaną granicę między ogrzаныmi na płyciznach wodami Rockford a starą, zimną, zieloną wodą wznoszącą się z pogrążonych w mroku basenów rzeki. Wszystko to jest dość oczywiste; zaskakuje jednak intensywność tych doznań.

Nad moim biurkiem wisi głowa dużej wydry zabitej przez psy gdzieś w hrabstwie Dorset w latach 30. XX wieku. Ma zdecydowanie wojowniczą minę, jako że w ostatniej próbie ucieczki zza palisady łap rozwścieczonych ogarów, bez wątplenia odwróciła się i przynajmniej próbowała wyszarpać jądra ujadającemu prowodyrowi stada.

Uświadomiłem sobie w pewnym momencie, że za żołnierski wyraz twarzy odpowiadają częściowo wąsy. Mają w sobie coś z pruskiej wojowniczości. Są to wąsy traktatów i naruszania granic; dymiących armat i licznych amputacji. Innymi słowy są długie, grube i sztywne.

Zostały osadzone głęboko w skórze pyska. Za życia wydry podstawa każdego wąsa spoczywała w gęstych splotach

gniazda receptorów czuciowych. Z gniazd wychodziły grube przewody nerwowe i biegły do rozgorączkowanego mózgu, który segregował informacje i przekładał je na obraz świata. Czy był to obraz wizualny? Czy efektem było coś w rodzaju komunikatu: „Rybi i jadalny metr na północny północny wschód” dopełnionego wizerunkiem ryby, wytworzonego za sprawą skoku aktywności w wizualnym obszarze kory mózgowej i rozbiegającym się lotem błyskawicy ku łapom, zębom i ośrodkowi apetytu? Tak podejrzewam. Wydry mają niedostatecznie rozbudowane narządy węchowe i słuchowe, aby rzeczywistość mogła się na nich odciskać w inny sposób, choć jakoś przecież musi. W normalnych sytuacjach przekładamy sygnały na komunikaty wizualne: zapach ognia czy kobiety na obraz; melodia przywołuje skojarzenie z krajobrazem albo salą koncertową, na której ją po raz pierwszy usłyszeliśmy. Tylko w skrajnych okolicznościach — w szczególności podczas seksu — ten przekład ustaje i doświadczamy dotyku, zapachu i dźwięku takimi, jakie one są naprawdę, jako głaskanie, piżmo czy westchnięcie. Do polującej wydry upodabniamy się najbardziej, kiedy znajdujemy się w łóżku z ukochaną osobą.

Świadomość śmierci wryła się głęboko w rozedrgane policzki mojej pruskiej wydry. Kiedy leżała w rzece, trzymając nad powierzchnią jedynie nozdrza, usłyszała najpierw rozmowę na temat zapachów, cudzołóstwa popełnianego na łonie przyrody, balu w klubie myśliwskim i niedoskonałości ciast, a po chwili złowrogie szczeknięcie psa węszącego w gaju olchowym, potem innych dołączających do falującego chóru zagrożenia. Mogła wyczuć aromat pasztecików i oliwy do włosów, kwaśnego moczu i trupi oddech podekscytowanych psów. Ale jeszcze się nie przejmowała: ze wszystkim tym miała już do czynienia wcześniej. Sytuacja zrobiła się poważna dopiero wtedy, kiedy

fale wzbudzone przez przebierające nogi ogarów odbiły się od drzewa zimorodków i zburzyły powierzchnię wody, docierając do wąsów. Ale nawet wtedy przyszedł czas na przebiegłość, a nie strach. Dopiero kiedy policzki zadrżały od dużych fal dochodzących bezpośrednio od psich łap, młócących niczym młyńskie koła, przyszedł czas na rzucenie się zakosami do ucieczki (a nie odpłynięcie). Koniec nastąpił dopiero, kiedy woda zalała policzki i wydra musiała polegać na wzroku.

Choć przewody nerwowe i przetwarzanie informacji w mózgu odgrywają ważną rolę, doznania odczuwane bezpośrednio policzkami muszą zachowywać swą intensywność. Głowa wydry przypomina nieustannie nabrzmiałą żołądź członka, wpychającą się desperacko w świat, nieprzerwanie szukającą nowych doznań.

Niewiele mogłem zrobić, żeby rozruszać policzki. Moje wąsy bez wątpienia nie mogły mi w tym pomóc. Zarost czyni twarz mniej, a nie bardziej wrażliwą. Włoski nie wyrastają z rozedrganej masy zakończeń nerwowych, a z racji swej zwiotczałości nie poruszają się zbyt na wietrze ani pod wpływem dotyku, przez co nie przekazują zbyt wielu informacji swoim mizernym zestawom nerwów. Korzystniej byłoby, gdybym przed wskoczeniem do rzeki ogolił się na gładko oraz unikał jak zarazy tych wszystkich znieczulających wód po goleniu na bazie alkoholu, które prawdopodobnie wytrzebiłyby wszystkie istoty żywe mieszkające w rzece tak samo jak płyn odkażający dla owiec.

Mimo to potrafię zrozumieć, co to znaczy być zwierzęciem policzkocentrycznym. Wyciągnięcie ręki i dotknięcie czyjegoś policzka jest znacznie bardziej intymnym gestem niż sięgnięcie ręką w dół i dotknięcie jego genitaliów. Analogicznie pocałunek ma w sobie więcej erotyzmu od stosunku płciowego. Jak wiadomo, prostytutki nie pozwalają się całować: niektórych rzeczy nie wystawia się nigdy na

sprzedaż.

Próbowałem bardziej świadomie wpychać się w świat twarzą. Wchodząc do pokoju, wyciągałem głowę do przodu. Starałem się nie zbliżać do nowo poznanych ludzi z wyciągniętą ręką (od dziecka uczono mnie, że tak właśnie zachowują się dobrze wychowani ludzie) ani nie kroczyć ku nim z dumnie wyrzucanymi do przodu nogami (w prywatnej szkole przekonywano nas, że właśnie w ten sposób człowiek pokazuje innym, że dysponuje nogami zdolnymi przemaszerować przez obce państwa oraz stopami nadającymi się do kopania w tyłek leniwych podwładnych).

Przedłużałem aseksualne powitalne cmoknięcia w policzek charakterystyczne dla przedstawicieli klasy średniej, wyrabiając sobie opinię dewianta. Ryłem nosem w trawnikach, wtykałem go w krzesła, między drzwi, do ciast, serwetek na stołach, przytykałem go do drzew i pociągów. Leżałem godzinami w rzekach twarzą do nurtu, napominając się, że mam zwracać uwagę na kształt wodnych sztormów i łąk wytwarzanych przez czubek mojej głowy i tych powstających wokół nosa. Końska pijawka uczepiła się kiedyś mojej wargi, a ja zauważyłem ją dopiero po godzinie.

Wszystko to było dość głupawe. W zimnej wodzie twarz szybko staje się równie zdrętwiała jak golonka, a choć nauczyłem się wysyłać trochę więcej informacji z twarzy do mózgu, nie potrafiłem jej uczynić równie czułą jak opuszki palców — nawet jak opuszki moich palców, mocno pokiereszowane przez arktyczne odmrożenia i szkockie osuwiska.

Zacząłem sobie jednak powoli uświadamiać, że potrafię zamienić opuszki palców w wąsy. Każda porządna mapa somatosensoryczna powie nam, że był to całkiem sensowny pomysł. Jak się okazało, w ten sposób mogłem całkiem

nieźle odtwarzać w głowie taki świat, jakim go widzi układ nerwowy wydry. Potrafiłem nauczyć palce rozpoznawać — na podobnej zasadzie, jak musiały działać włosy czuciowe (wibrysy) wydry — napięciowe kontury rzeki. Trzeba jednak pamiętać, że te wąsy nie funkcjonują w odosobnieniu, nie są samotnym masztem antenowym na szczycie góry: funkcjonują w intensywnej, krwawej spółce z zębami i przednimi łapami.



Każdy z nas widział ekscytujące podwodne sekwencje filmowe, w których wydry ścigają — z symfoniczną elegancją i majestatycznością — jakąś wielką rybę w ogromnym akwarium. Przypominają wtedy gepardy polujące na antylopy w Serengeti (często przy tej samej ścieżce dźwiękowej), lawirując i zawracając z taką prędkością, że muszą się chyba poruszać w wirtualnej przestrzeni między cząsteczkami wody, a nie w samej wodzie. Pokaz kończy się zwycięstwem wydry na jakiejś płyciźnie, kiedy to z wysiłkiem przewraca martwą ofiarę i odgryza kawałek mięsa z miejsca, gdzie znajdowałoby się ramię ryby, gdyby ryby miały ramiona.

To wszystko bujda. Przynajmniej jeśli chodzi o większość angielskich wydr. Tyko sporadycznie znajdowałem ości dużych ryb w odchodach wydr z hrabstwa Devon. Żyjące na skraju wyczerpania zwierzęta często zmuszone są uciekać się do drugiej i trzeciej opcji z naszej tabelki. Żywią się tym, co popadnie: przednimi łapami odwracają kamienie, w nadziei, że przy wąsach przemknie im spanikowany sumik. Jak zauważył James Williams, wydrolog

z Sommerset, najbardziej przypomina to krykieta: rybka wylatuje w górę uderzona pałką, a „chwytacze” nurkują po zdobycz. Sumikiem trudno się najeść, ale jest ich wiele, występują przez cały rok, a odrobina spokojnej zabawy w chwytanie nie wymaga takich wydatków energetycznych jak te przebiegające w rytm symfonii Czajkowskiego pościgi za grubym zwierzem.

Wydry są zatem bardzo zręcznymi grzebaczami. I do tego dość skutecznymi. Mogę za nimi nadażać w tym rozgrzebywaniu, choć nie w jego skuteczności. Jak każdy próbowałem uganiać się za dużą rybą i jak wszyscy, którzy nie są uzbrojeni w pistolet na harpuny, poniosłem porażkę (choć raz, mając na nogach płetwy, w basenie morskim w Kintyre, dotknąłem ogona morskiego pstrąga i miałem poczucie, jakbym był bogiem).

Rozgrzebywaniu oddawałem się zwłaszcza w Badgworthy. Najlepiej robić to w dość płytkiej wodzie, gdzie można leżeć twarzą do nurtu, oddychając przez rurkę. Często posługiwałem się rurką bez maski, w nadziei, że moja twarz i palce będą dzięki temu bardziej wyczulone. Po zanurzeniu głowy odwracałem kamienie, mniej lub bardziej na ślepo, nosem i dłońmi. Kiedy używałem nosa, otaczałem najpierw kamień rękami. Kiedy używałem dłoni, przysuwałem głowę do kamienia, żeby zablokować jedną płaszczyznę ucieczki, i próbowałem osłonić pozostałe drogi wolną ręką.

Próby te nie zakończyły się jakimś wielkim sukcesem: udało mi się złapać dwie plamiste ślize i zadzierzystego głowacza białopłetwego. Jakiś zdeorientowany ciernik wpłynął mi sam o ust, najwyraźniej biorąc je za grotę. Jego trzepoczące kolce ocierały się o moje podniebienie niczym zagłębnik cierpiącego na Parkinsona dentysty. Powinienem był rozgnieść go między plombami, ale nie potrafiłem się na to zdobyć, podobnie jak nie potrafię rozdeptać myszy. Było

to zupełnie nielogiczne: płacę sporo pieniędzy innym ludziom za podciąganie na łańcuchach ryczących w przedśmiertnej panice krów, żebym mógł podać na niedzielny lunch stek z krzyżowej. W moim braku logiki nie ma oczywiście niczego oryginalnego, co prawdopodobnie stawia mnie w jeszcze gorszym świetle, a na pewno czyni całą sprawę mniej ciekawą. Szkopuł tkwi w dystansie; w mniejszym poczuciu winy, jeżeli się ją przerzuci na kogoś innego; w psychologicznych szczegółach śmierci, które silniej przemawiają do naszych moralnych intuicji niż jakakolwiek liczba argumentów; w fakcie, że fizyczna bliskość kojarzy się z relacją, nawet z bardzo prostym zwierzęciem, i że niemal każdy rodzaj relacji utrudnia zabicie.

Rybę zabiłem zębami tylko raz: jako bardzo małe dziecko i przez przypadek. Stałem w stawie w Yorkshire ze słoikiem pełnym małych, szybkich rybek, między innymi płotek.

– Włóż jedną do ust — powiedział Chris. — Chyba że się cykasz.

Tak też zrobiłem. Więcej, zacząłem udawać, że ją przeżuwasz. W pewnym momencie przegryzłem ją przez przypadek. Był to dla mnie wczesny i dramatyczny przykład zasady, że człowiek staje się tym, kogo udaje. Na język wylały mi się muliste wnętrzości, pełne larw muszek i wodnych robaków. Roztrzepotana energia umierającej rybki przeniosła się na moje dziąsła. Wyplułem ją do stawu. Nadal się wykręcała, kiedy ławica płotek podpłynęła ku powierzchni i zaczęła ją zjadać.

– Fajowo — powiedział przerażony Chris.

– To było niezłe — potwierdziłem, znacznie bardziej przerażony.



Odwracanie kamieni nie sprawiło mi przyjemności. Wynikało to głównie z mojego lęku przed minogami morskimi. Ta fobia jest kolejnym powodem, dla którego nie powinienem się nawet zabierać do pisania tego rozdziału. Z prostego powodu — wydry je uwielbiają.

Moja fobia była głupotą z biologicznego punktu widzenia. W Badgworthy Water żyją głównie minogi potokowe, które nie pasożytują na innych rybach; minogi rzeczne występują tam znacznie rzadziej i mają znacznie ciekawsze rzeczy do roboty, niż męczyć się z grubą skórą jakiegoś wielkiego ssaka. Mimo to nie mogłem wyrzucić z głowy wizji tych zgrzytających szczęk, które wgryzają się w bok ofiary, a potem wżerają coraz głębiej i głębiej, przez narządy wewnętrzne, aż ofiara umiera. Tłuszciki minóg przeciska się wtedy między żebrami i odpływa, żeby złożyć ikrę albo znaleźć kolejną ofiarę.

Wediusz Pollio zamierzał zabić jednego ze swoich niewolników, który stłukł mu puchar, wrzucając go do stawu z minogami. Niewolnik zaczął krzyczeć (doskonale słyszę te krzyki) i błagać, żeby pan zgładził go w jakiś inny sposób. Cesarz August, który przebywał wtedy w willi Wediusza, był zbulwersowany tym wyrokiem i anulował go, a następnie kazał rozbić wszystkie pozostałe puchary należące do Pollio. I słusznie.

Właśnie tego rodzaju myśli towarzyszyły mi na dnie Badgworthy Water.

Istnienie minogów to poważny argument przeciwko dobroci lub wszechmocy Boga.

Można nawet argumentować, że każde zwierzę, które namiętnie na nie poluje, robi coś dobrego. Ta myśl, jak

żadna inna, pozwoliła mi poczuć sympatię do wydr.



Nasze związki z rybami nie są generalnie skomplikowane w wymiarze emocjonalnym. Żadne dziecko tak naprawdę nie kocha swojej złotej rybki. Milioner, który buli ogromną kasę za karpia koi, zachwyca się jego kosztownością, statusem związanym z posiadaniem tej ryby, rozwiązaniami inżynieryjnymi związanymi z budową stawu, samą ideą posiadania karpia koi, ewentualnie, w chwilach uniesienia, jego smętnym kołysaniem się i ruchami — jego powolnością. Ale nigdy samą rybą. Kiedy zdesperowana wydra włamie się do rezydencji milionera i wyciągnie króla stawu karpia koi za jego łuskowatą twarz, dzieci milionera nie będą sentymentalnie głaskać szczątków ryby ani urządzać im uroczystego pogrzebu. Człowiek, który nigdy w życiu nie przejechałby świadomie królika swoim bmw, z radością wyciąga makrele z jeziora (a jest to dla nich równie szokująca podróż co dla człowieka bycie wystrzelonym na Jowisza) i szczyrzy zęby do obiektywu, kiedy one wierzgają na pokładzie, dusząc się na śmierć. Ten sam człowiek bez mrugnięcia okiem wbija haczyk w ciało żywej rybki i pozwala jej trzepotać się spazmatycznie, aby w ten sposób złapać większą rybę. Jako gatunek odznaczamy się wrodzonym, osobliwym i niemal całkowitym brakiem wyobraźni i empatii w odniesieniu do ryb.

Ze skorupiakami sprawa jest już bardziej skomplikowana. Owszem, gotujemy je żywcem i wtykamy im szpikulce w głowy, ale często mamrocemy przy tym pod nosem jakieś przeproszające słowa.

To bardzo dziwne: różnią się one od nas (a to ułatwia ich beztrudne zabijanie) co najmniej tak samo jak ryby. Od naszej empatii dzieli je eony ewolucji. Można by pomyśleć, że chitynowe opancerzenie zapewni większą odrębność.

Moim zdaniem tajemnica tkwi w oczach. Oczy skorupiaków nie mrugają, nie mają rzęs, brwi ani zmienności wyrazu, ale są wyraźne: sterczą; wysuwają się w naszą stronę; łypią na nas. A może chodzi o te odnóża, uniesione i rozpostarte w agresywnej postawie, która mimo wszystko przypomina życzliwe zaproszenie. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że wykonują wobec nas jakieś gesty. Nie potrafimy się całkowicie oprzeć sugestii, że łączy nas jakaś relacja. Kto wie, być może porusza nas tylko to, co do nas podobne. Rybie oczy są płaskie. Nasze nie. Uważamy, że płaskie rzeczy nie mogą mieć duszy, a ponieważ ryby nie mają ramion, a przez to nie mogą się przytulać; zakładamy, że nie chcą, aby ktokolwiek je przytulał.

Tak czy inaczej wydry mają to gdzieś. Potrzebują kalorii. My jesteśmy inni: często okazujemy empatię nawet jeśli jest to dla nas kosztowne, choć potrafimy też przygnębiająco skutecznie ją w sobie tłumić.

W rzece przepływającej obok naszego domu w Oksfordzie i w strumieniu w lesie, gdzie nasze dzieci lubią baraszkować, żyje wiele raków. Dzieci przyniosły kiedyś do domu raka w plastikowej torebce, a ponieważ leżałem akurat na podłodze w kuchni, położyły mi go na głowie.

Sądziłem, że duży rak skłoni wydrę do zachowania ostrożności — że te szczytce wzbudzą pewien respekt. Tyle że przyniesiony przez dzieci przedstawiciel tego gatunku okazał się nieśmiałym, niemal delikatnym stworzeniem. Owszem, dźgnął mnie w zamknięte oczy, kiedy go szturchnąłem, chwycił mnie za nos i zawisł na nim, kiedy się poruszyłem, a następnie wyciągnął się w górę

w wojowniczym patriarchalnym powitaniu. Poza tym jednak okazał się dość żałosny. Całe to skomplikowane opancerzenie i wszystkie wojownicze pozy odniosłyby równie imponujący skutek co szept wiaterku na pysku wydry, która wyskoczyłaby z ciemności i przygniotła raka do kamieni swoją mocarną łapą.

Zabiliśmy go, wkładając go do zamrażalnika, a potem chłopcy upiekli go na oliwie z chili.



Podobnie jak odkładałem spotkanie z nocną rzeką, tak samo zwlekałem z morzem. Oba miejsca kojarzyły mi się ze śmiercią. Nie jestem ani dostatecznie stary, ani dostatecznie młody, aby mieć coś do opowiedzenia o morzu. Jest ono jednocześnie za duże, aby dało się je ogarnąć, i zbyt oczywiste, aby wymagało opisu.

Ziemia przypominała mnie: była pochodną, czymś wtórnym, ukształtowanym przez łatwe do zrozumienia siły. Morze było inne. Mimo to zastanawiałem się, czy uda mi się tam zbliżyć do wydr, ponieważ morze jest miejscem obcym nawet dla większości z nich. Podążanie za wydrami w rzece East Lyn było trudne głównie z tego powodu, że ze swej istoty są to nieuchwytnie zwierzęta. Gdybyśmy jednak spotkali się w miejscu obcym i dla nich, i dla mnie, rozmyślałem, być może potrafilibyśmy się lepiej zrozumieć, jako że znękanani uchodźcy z różnych stref wojennych odczuwają ze sobą pewne pokrewieństwo. Tak czy inaczej, nie mogłem w nieskończoność odkładać wizyty w morzu.

Dopłynąłem i dogramoliłem się do morza z Watersmeet, gdzie rzeka kotłowała się od tłustych pstrągów. W nocy

mógłbym podglądać je za pomocą latarki, którą tak fundamentalistycznie potępiałem. Za dnia nie mogłem się powstrzymać, żeby nie powarkiwać na pstrągi jak szczeniak. Wydra nie zawracałaby sobie tym głowy. Gdyby spłynęła tak daleko w dół rzeki, tylko by przyspieszyła, wiedząc, że ławice łuskowatej soczystości czekają na nią za kotłowaniną fali przybojowej.

W Kanale Bristolskim występują bardzo duże pływy, ale wybrzeże jest tak strome, że się ich nie odczuwa. Ich oddziaływanie ogranicza się do obszaru morza. Z jednej strony wznosi się ląd, z drugiej rozciąga morze, ale między nimi nie znajdziemy za wiele ziemi niczyjej. Każdego dnia przez kilka godzin na odcinku dwustu metrów w miejscowości Lynmouth zapanowuje mydlana, słonawa niejednoznaczność, ale zagarnięty przez morze ląd nie przestaje być lądem, podobnie jak gronostaje wodne, które nazywamy wydrami, nie przestają być gronostajami.

Niemniej mamy tam do czynienia z przeczesywaniem, szuraniem kamieni i krzykami ptaków przewalających się wraz z wodą. W środku nocy wydry mijają sklepy z pasztecikami i wpływają w las krasnorostów i sałaty morskiej. Pewnego jasnego marcowego poranka poszedłem w ich ślady, spływając rzeką jak dętka. Żyjące tam ryby zupełnie inaczej mienią się w świetle księżyca. Kraby rozłupywane przez wydrę w ujściu portu (brzmi to jak trzaski radioodbiornika na starej łodzi podwodnej) są potomkami krabów, które pożarły dzieci wypchnięte przez wiatr daleko w morze na materacach; rybaków, którzy zostali na morzu za długo, próbując wypełnić rybami jeszcze jedną skrzynkę; i martwych wydr, które woda zniosła z wrzosowisk. Mogę do nich dołączyć — wtedy wszyscy pozjadamy się nawzajem.

Morze jest inne. Nie przypomina lądu rozkruszonego przez wodę i kamienie. Ląd i morze mają osobnych władców

i rządzą się całkowicie odmiennymi regułami. Księżyc nieustająco przyciąga wszystko, co znajduje się w morzu. Ląd nie podlega jego wpływowi. W bezchmurną noc Księżyc może się wdrzeć co najwyżej metr, dwa pod powierzchnię rzeki czy jeziora. W ciele każdej ziemskiej kobiety występują pływy, ale to dlatego, że wszystkie kobiety są syrenami („Tak, jasne”, stwierdza Burt). Możecie czasem zobaczyć słodkowodną rybę pławiącą się w blasku księżyca, ale tylko dlatego, że jest to dla niej rozkoszna nowość. Coś w rodzaju jacuzzi. W morzu nie da się uciec przed Księżycem. Bezksiężycowe morze jest równie niemożliwe co bezsłone morze.

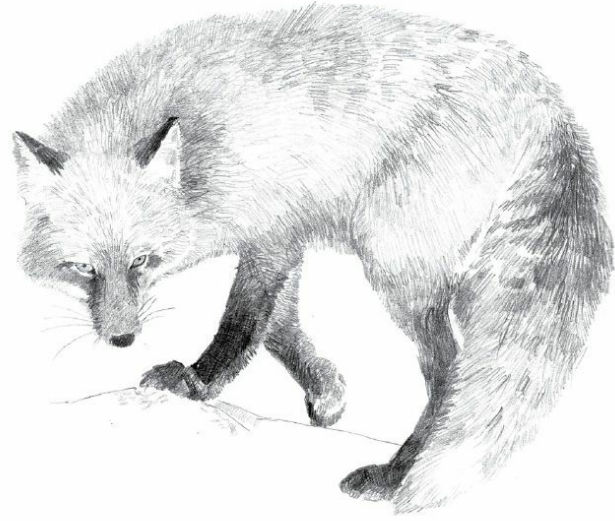
Kiedy wydry lądowe spływają do morza, trafiają do takiego właśnie swoistego świata. Poruszają się po nim równie niepewnie i z równie dużym zakłopotaniem co ja. Niczym małe dzieci galopują długą, ponurą plażą w Dunster na skraju wpływu; zupełnie, jakby bały się zamoczyć łapy, ale czerpały wakacyjną rozkosz z tego strachu.

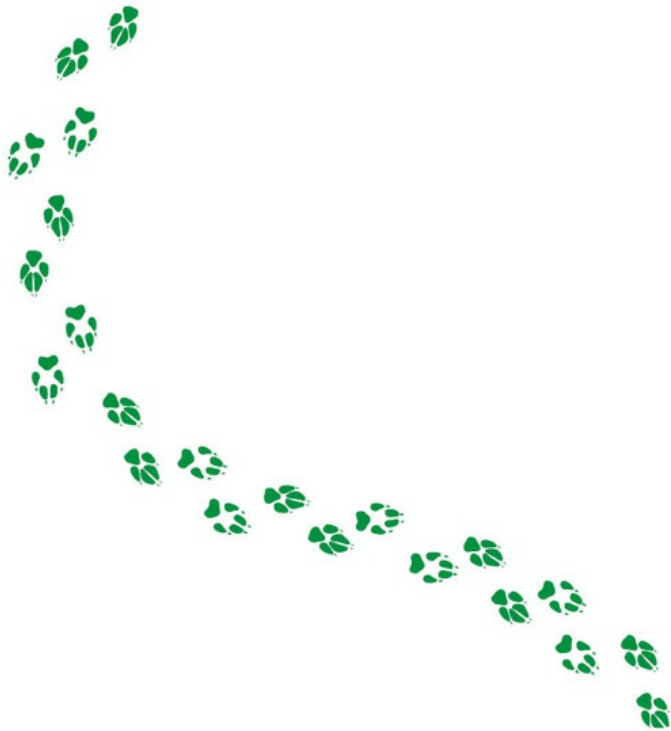


„Ale ubaw”, powiedziało dziecko-wydra, które porwał nurt rzeki East Lyn i zaniósł wraz ze mną do morza. „Przynajmniej chwilowo”. Nie byłem tego taki pewien, ponieważ zdążyłem już wówczas przemienić się w dorosłą wydrę bardziej od niego.

4. OGIEN

Lis





Metro to strzykawka wpychająca roztwór z ciał i naelektryzowanego powietrza do członków miasta.

Kiedy wylewamy się ze stacji Bethnal Green, widzimy przy drodze brudny budynek z cegieł opatrzony napisem: „Zbliż się, a dam ci odpocząć”.

Za rogiem znajduje się kawiarnia. Kiedyś prowadzili ją spokojni, jękający się, skromni buddyści, a ja zachodziłem tam, żeby dojsć do siebie przy kanapce z serem i cebulą po nieudanych miłosnych podbojach. Dziś wypełnia ją tłum wyrazistych, starannie nieogolonych metroseksualnych mężczyzn zajadających się orzeszkami piniowymi. W lokalu rozbrzmiewają metaliczne dźwięki, których nie można nazwać ani muzyką, ani odgłosami niedrożnych rur. Wszyscy są szczupli, ale nikt nie czerpie żadnej radości z tego faktu.

Pod wspomnianą kawiarnią, tuż pod kaligraficznymi zawijasami na murze, natknąłem się na moje pierwsze w Londynie lisie odchody, skrzące się od fioletowych żuków.

Kiedy po raz pierwszy trafiłem w tamte strony, miejsce to było mniej krzykliwe i emanowało większą pewnością siebie. Ludzie mieszkali tam raczej dlatego, że akurat tak się złożyło, a nie dlatego, że tak wypadało. Nie zapanował jeszcze destrukcyjny apartheid segregujący ludzi na amatorów ristretto oraz miłośników ciasta i tłuczonych ziemniaków.

W tamtych czasach w większość wieczorów siadałem z książką przy penne all'arrabbiata gdzieś przy Globe Road,

opróżniałem karafkę cierpkiego chianti, a do domu wracałem przez park. Pewnego ciepłego październikowego wieczoru, kiedy sunąłem akurat slalomem między dilerami narkotykowymi a kopulującymi parami, na trawie obok parkowej estrady zobaczyłem dwa lisy. Kołysały łagodnie głowami tuż nad ziemią, jakby odkurzały nimi trawnik; każdy wymach żłobił srebrzystą bruzdę w rosie. Podkradłem się. Nie zwracały na mnie uwagi. Podszedłem bardzo blisko: uniosły głowy, zobaczyły, że nie jestem psem ani samochodem, po czym wróciły do kołysania. Zbierały komarnice, które kłębiły się w ogromnych ilościach na ziemi. Owady składały właśnie jajeczka. Czynność ta zajmuje trochę czasu, zresztą wilgoć przykleiła komarnicom skrzydełka do źdźbeł trawy jak znaczki do stron klasera. Lisy nie musiały się nawet wysilać, tylko zgarniały je językami i połykały.

Uklęknąłem obok i zacząłem się pożywiać. Nie widziałem niczego barbarzyńskiego w rozgniataniu organizmów, które były tak drobne, tak suche i tak znieruchomiałe. Ofiara musi mieć przewód pokarmowy, żeby jej skonsumowanie wzbudziło w nas odruch wymiotny. Komarnice były przygwożdżone do źdźbeł trawy przez napięcie powierzchniowe, więc zbytnio się nie poruszały. Wyobraźcie sobie łaskoczącą posypkę z papieru ryżowego, który zamienia się w waniliowy szlam.

Pół godziny później lisy nadal się pożywiały, przeczesując systematycznie trawnik w żółtym świetle latarni, a ja podniosłem się sztywno z kolan i wróciłem do domu w zniszczonym garniturze.

Nie był to pierwszy raz, kiedy próbowałem być lisem. Kiedy miałem dziewięć lat, mój tata wrócił któregoś dnia do domu i zawołał podekscytowany:

– Zobacz, co mam na tylnym fotelu w samochodzie! Tylko

musisz bardzo uważać.

W czarnych workach na śmieci leżały dwa martwe listy: samiec i samica. Wargi miały cofnięte, jakby warczały. Śmierć najwyraźniej je rozwścieczyła. Lisica miała nabrzmiałe sutki. Nie ulegało wątpliwości, że karmiła młode.

– Tylko nie dotykaj zębów — powiedział mój ojciec. — Zostały zabite za pomocą strychniny.

Nie była to miła śmierć. Jakiś farmer opowiedział mi kiedyś z zadowoleniem, że pozbył się w ten sposób kretów, dlatego rozumiałem gorycz przebijającą spod uśmiechu zmarłego na pyskach lisów. Niedługo po spożyciu trucizny, umieszczonej zapewne w jakiejś martwej owieczce, zaczęły dygotać i dostały nasilających się mdłości. Dygot rozprzestrzenił się, potęgował, aż w końcu przeszedł w konwulsje. Na jakimś ciemnym polu w hrabstwie Derbyshire ich grzbiety wyginały się raz po raz w łuk, coraz mocniej i mocniej, aż prawie trzasnęły, a kiedy przepony w końcu nie wytrzymały, lisy zsiniały i zmarły, dusząc się, tocząc z pysków zakrwawioną pianę. Były przeurocze. Od tamtego czasu wszystkie listy podpisywałem rysunkiem główki lisa.

Próbowaliśmy znaleźć ich młode. Przez trzy noce leżeliśmy pod plandeką po zawietrznej stronie ich nory wykopanej w zboczu pagórka. Za pieniądze, które zbierałem na swoje urodziny, kupiłem kurczaka. Wypatroszyłem go, pociąłem na kawałki i rozłożyłem wokół wejścia.

W tamtym czasie sądziłem, że spełnić może się wszystko, czego sobie zażyczę. Chciałem, żeby liski wyszły z nory. Prosiłem (nie wiedząc, kogo, ani tak naprawdę, o co), żeby dorosłe lisy wniknęły w mój umysł i podpowiedziały mi, gdzie znajdują się ich młode, albo przekonały je, że mogą bez obaw wyleźć na powierzchnię.

Dygotaliśmy i wyczekiwaliśmy. Nie pojawiły się. Było to

moje pierwsze prawdziwe rozczarowanie.

Gdybym uprzednio odwiedził Japonię, duchy lisów odpowiedziałyby natychmiast na moje wezwania. Tam nie trzeba ich nawet prosić, a jeżeli już ktoś chce to zrobić, wystarczy zwrócić się do nich. Wielu Japończyków pozostaje w związkach małżeńskich, często nieświadomych i równie często szczęśliwych, z chodzącymi w szpilkach i trzepoczącymi rzęsami duchami lisów. Nie zawsze jest to korzystne, a egzorcyzmowanie lisich duchów to dochodowy biznes. Człowiek powinien się mieć nieustannie na baczności, aby nie dać się omamić jakiemuś lisowi. Największe niebezpieczeństwo grozi nam w czasie rozmowy telefonicznej, kiedy nie widzimy rozmówcy (jak można się domyślić, Skype utrudnia życie lisim duchom), dlatego stworzono specjalne konwenanse, które pozwalają się przed tym zabezpieczyć. Lisy nie potrafią wymówić niektórych dźwięków, na przykład *moshi moshi*. Słowa te stały się standardowym powitaniem, od którego zaczyna się rozmowę telefoniczną. Jeżeli rozmówca nie wypowie tych słów, należy się rozłączyć.

Tyle że listy z Derbyshire, podobnie jak tamtejsze króliki, wyraźnie czerpały swoją metafizykę z lokalnej ziemi, a High Peak wchodzi w skład Zachodu, gdzie lisy są istotami całkowicie odrębnymi: nie przekraczają międzygatunkowych granic (chyba że jako narzędzia w rękach demonów drążą tunele w ludzkiej duszy, zapaskudzając ją swoim smrodem, i mieszają swoje odchody z zakrwawionymi piórami pochodzącymi od innych ograbionych dusz).

Lisy wtajemniczyły mnie w pojęcie rozczarowania światem. Wtajemniczyły mnie również w śmierć. Dom, moja sypialnia i szopa, do której zostałem ostatecznie zesłany wraz z moimi skórą i słoikami z formaliną, od dawna były pełne trupów. Tyle że ja nie kojarzyłem ich ze śmiercią. Były po prostu

wysepkami dzikości, które sięgały dumnie za obłożone kamieniami mury naszego domu; były pomocą w pełniejszym życiu, odmiennym od tego, jakie wiedli nasi sąsiedzi na przedmieściach; nie miały nic wspólnego z wymarciem. Pozostawały milczące i nieruchome, ale oznaczało to tylko tyle, że było je łatwiej badać, niż gdyby wymykały się gdzieś chyłkiem albo trzepotały skrzydłami. Nie oznaczało to, że przestały istnieć albo że stanowiły zagrożenie dla mnie czy kogokolwiek bliskiego.

Wszystko to uległo zmianie, kiedy miałem jedenaście lat. Oto wpis z mojego dziennika przyrodniczego:

2 lutego

Znaleźliśmy martwego lisa (*Vulpes vulpes crucigera*) na dużej łące w dolinie Mayfield. Znajdował się w stanie zaawansowanego rozkładu a stężenie pośmiertne wydawało się obejmować całkowicie wszystkie kończyny^[5]. Co ciekawe, zwierzę zostało starannie obdarte ze skóry. Czaszka i pozostała część zwłok były w stanie nienaruszonym. Na zwłokach znajdowało się wiele robaków, wszystkie martwe, prawdopodobnie z powodu zimnej nocy. Zabraliśmy czaszkę (w tym dolną szczękę i zęby) oraz kości ogona. Zanieśliśmy je do domu i wygotowaliśmy, oczyszczając z niepożądanych tkanek. Następnie wybieliliśmy je w domowym wybielaczu (na bazie chloru).

Pod wpisem umieściłem mapkę okolicy.

Znamienna jest oschłość języka notki. Wyraźnie czegoś w nim brakuje, a tym czymś był egzystencjalny szok, jakiego wtedy doznałem. Ten lis był martwy w taki sposób, w jaki nie były martwe lisy otrute strychniną, a bycie martwym to dla lisa niebagatelna sprawa. Pomijając jerzyki, lisy przejawiały żywotność w sposób najbardziej oczywisty ze wszystkich znanych mi istot. Obserwowałem je, kiedy biegły obok smukłych, rozgorączkowanych, spiętych psów. Nawet kiedy psy leciały, ile sił w nogach, lisy wydawały się zaledwie przechadzać. Nawet najznakomitsze psy łążą przygarbione; lisy zawsze suną. Jeżeli nawet lis mógł zostać zabity w tak

niepozostawiający wątpliwości sposób, nikt inny nie mógł czuć się bezpiecznie: ani moi rodzice, ani moja siostra, ani ja. Przed moimi oczami otworzył się grób.

Kiedy stałem wtedy na zimnym polu, naszła mnie jeszcze inna myśl: ten bardzo, bardzo martwy lis ma w sobie więcej życia od podobnie martwego psa. W ten sposób narodził się we mnie ontologiczny snobizm: wiara w hierarchię istot żywych. Niektóre z nich były tak potężne, że mogły przetrwać nawet ustanie pracy serca. Stałem się z tego powodu nieznośnym gnojkiem. Objawy ustąpiły nieco z upływem lat, ale nigdy w pełni nie doszedłem do siebie ani ja, ani liczne osoby, które musiały znosić moje towarzystwo.

Jak się to przekłada na tę książkę? Miałem poczucie, że jeśli chcę zostać lisem, mogę tego dokonać w dwojaki sposób: będąc bardzo żywym (co przyniosło mi ulgę) albo będąc efektownie martwym (co przyniosło mi dość osobliwą ulgę).



Lisy przybyły wraz z łądolodami plejstocenu, a następnie przedostały się wzdłuż linii kolejowych i nadbrzeży kanałów do centrów miast. Są konserwatystami. Ich populacja jest idealnie skorelowana z liczbą zwolenników torysów. Lubią ogrody odznaczające się obfitością. Niektóre dojeżdżają do pracy — w obu kierunkach. Wiele (choć akurat nie lisy z East Endu) mieszka w ładnych, liściastych domach na wsi i przyjeżdża do miasta, podobnie jak ludzie w garniturach i garsonkach, po łatwe do zdobycia ochłapy ze stołów jego mieszkańców. Inne decydują się osiąść i wychowywać swoje młode pod szopą w ogrodzie jakiegoś prawnika nieopodal

stacji metra, a wypadły na wieś robią, aby zażyć relaksu i nawdychać się świeżego powietrza.

Londyński East End nie głosuje na Partię Konserwatywną, mimo korporacyjnych laptopów i koktajli z awokado, więc tamtejsze lisy mają ciężkie życie. Istnieją oczywiście prawnicy posiadający szopy w ogrodzie, których dzieci lubią dokarmiać lisy, ale żyją oni w niewielkich gettach z wypucowanymi podłogami, w strzelistych betonowych gabinetach, gdzie przygotowuje się wnioski w imieniu rozmaitych desperatów.

Tutejsi ludzie mają małe rozumki. Mniejsze od mózgów dzikich ludzi, od których się wywodzą. Przez ostatnich dziesięć tysięcy lat skurczyły się one mniej więcej o 10%. Ponieważ psy wiernie naśladują swoich panów, ich mózgi również się skurczyły. Psi mózg jest mniej więcej o 25% mniejszy od mózgu wilka — ich bezpośredniego przodka. Wszystko, co udomowione, usycha.

Nie wiemy, jaki wpływ na lisy będzie miało mieszkanie w centrach miast, niemniej miejskie lisy nie straciły jak dotąd ani na długości, ani na wadze. Nie powinno nas to zaskakiwać. Wolą polować nawet na żyznych przedmieściach, gdzie mogłyby się wyżywić zawartością karmników dla ptaków, jedzeniem dla jeży i ciekawską hojnością klasy średniej. Podobnie jak my, są z natury wszystkożerne. Właśnie dlatego i one, i my pokonaliśmy upały, lód, susze i zwolenników monokulturowości. Choć jest to dla nich wyczerpujące — wymaga znacznie większej pomysłowości i kosztuje więcej energii niż dorwanie kawałka pizzy i wychłptanie sosu słodko-kwaśnego — wolą nasłuchiwać, poruszać się susami, przeczesywać i kombinować. My przeciwnie. W ciągu kilku pokoleń zamieniliśmy się w cierpiących na miażdżycę superspecjalistów funkcjonujących w tak wąskich niszach,

że nie zdołalibyśmy tam rozprostować ramion ani zawrócić umysłów z raz obranej ścieżki. Idę o zakład, że konieczność nieustannego podejmowania wyborów sprawi, że mózgi lisów pozostaną mocno ukrwione, duże i skore do wysiłku, a ich łapy zachowają stalowość, podczas gdy nam będzie trudno podnieść się z sofy.



Maszerowanie w rytmie miejskiego lisa nie nastręcza większych trudności. Żyją, z wyboru i jak przystało istotom o tak genialnej fizjologicznej wszechstronności, na błotnistej granicy przypływu, gdzie noc zagarnia skraj dnia. Tyle że tu, na East Endzie, nie występuje coś takiego jak prawdziwa noc: a jedynie brudne dni i noce latarnianego zmierzchu. Dla lisów zmierzch nie oznacza tu spadku jasności, a zmniejszenie się ruchu na drogach. Dźwięki i drżenie przejmują pałeczkę od fotonów. Kiedy taksówki rozwiozą do domów większość pracowników banków, z ukrycia wychodzą lisy. Żerują na dużym obszarze (prawdopodobnie około 1,3 kilometra kwadratowego) i, podobnie jak zwykłe lisy, tworzą kryjówki ze zdobytym jedzeniem. Przeszukują teren albo polują, chowają pożywienie (zazwyczaj zakopują, często niechlujnie i niedokładnie), po czym dalej na zmianę poszukują jedzenia lub polują i ukrywają zdobycz, aby na końcu powrócić do zakopanych skarbów. Trudno się wygrzebuje dziurę w asfalcie: moje lisy wpychają jedzenie pod palety i wielkie kartonowe opakowania po telewizorach panoramicznych. Kiedy już przetrząsną swój rewir, wybierają sobie ze zgromadzonych zapasów to, czego potrzebują (zaczynają od najbardziej apetycznych kąsków) i wracają do

domu.

Wzrost natężenia ruchu i wschód słońca następują mniej więcej o tej samej porze. Po Old Ford Road zaczynają się telepać ciężarówki; porszaki wyskakują z warkotem ku Canary Wharf; autobusy dudnią na zachód, aby wypluć z siebie ludzi do przestronnych, klimatyzowanych oaz komfortu z dystrybutorami schłodzonej wody. Lisy oblizują z warg resztki *aloo gobi* i zwijają się pod szopkami.



Im bardziej elegancko człowiek się ubiera, tym trudniej będzie mu zostać lisem. Nikt nie zarzucił mi nigdy, że ubieram się w sposób stosowny do okoliczności, ale nawet ja szybko zdałem sobie sprawę, że powinienem odziać się jeszcze nędzniej niż zwykle. Człowiek w niepoplamionych spodniach i nieporozdzieranym swetrze, który przetrząsa pękaty worek ze śmieciami, wygląda na złodzieja, ale kiedy będzie przy tym brudny, zmęczony i przygarbiony, nikt się nim nie zainteresuje. Stajemy się przezroczyści. Ludzie traktują nas jak powietrze. Im obskurniej wyglądamy, tym bardziej stajemy się przezroczyści. Jeżeli obwąchujemy jakiś worek na czworakach, jesteśmy wręcz niewidzialni. Pomijając czujne spojrzenia stróżów prawa. Ale nawet w ich oczach sen jest większym przestępstwem od aktywności.

Obudziło mnie szarpanie. Leżałem pod rododendronem.

- Dzień dobry panu.
- Dzień dobry.
- Czy mogę panu jakoś pomóc?
- Nie, dziękuję. Nic mi nie jest.
- Czy mogę zapytać, co pan robi?

– Uciałem sobie krótką drzemkę, panie władzo, to wszystko.

– Przykro mi, proszę pana, ale w tym miejscu nie wolno spać. Na pewno nic panu nie dolega?

– Absolutnie nic, dziękuję. Dlaczego nie wolno spać?

– Z pewnością ma pan świadomość, że jest to zakazane. Narusza pan cudzą własność. Właściciele nie zgadzają się, żeby ludzie tak po prostu sobie tu spali.

(Tak po prostu sobie tu spali?).

– Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób miałbym fizycznie naruszać możliwość korzystania z tytułu własności tej agencji mienia zarejestrowanej w Panamie.

– Próbujemy się wymądrzać, co?

Nie potrafiłem znaleźć zręcznej odpowiedzi na to pytanie. Policjant nie drążył tematu, tylko przeszedł do kolejnego wątku.

– Czy mogę zapytać, dlaczego musi pan spać akurat w tym miejscu?

– Oczywiście, że może pan zapytać, choć wątpię, czy spodoba się panu moja odpowiedź. Próbuję być lisem i — zacząłem mówić szybciej, starając się uchylić przed tryskającym naturalną życzliwością wzrokiem policjanta — chcę sprawdzić, jak to jest przysłuchiwać się przez cały dzień samochodom i przyglądać kostkom czy łydkom ludzi, a nie całym sylwetkom.

Ostatnia uwaga okazała się poważnym błędem. Zdałem sobie z tego sprawę, jak tylko ją wypowiedziałem. Łydki, kostki i ukrywanie się w zaroślach kojarzyły się policjantowi z perwersją tak straszliwą, że powinno się ją mierzyć latami w kiciu. Widziałem jednak, że bezskutecznie próbuje znaleźć jakiś paragraf opisujący moje zboczenie i zaczyna sobie wyobrażać bezmiar związanej z tym papierkowej roboty. Niepewność i przeciążenie pracą wzięły górę nad jego

instynktami.

– Proszę zmiatać do domu, proszę pana — akcent na ostatnie dwa słowa odbił się wyraźnie na jego ustach — i znaleźć sobie jakieś normalne zajęcie.

– To właśnie próbuję robić — odparłem.

Przyglądał mi się z ojcowskim pobłażaniem, kiedy otrzepywałem sweter z liści i ruszyłem w stronę domu. Tam tchórzliwie położyłem się spać w ogródku pod płachtą brezentu.



Lisy śpią czasami na pasie rozdzielczym na autostradzie. Trzy tysiące pojazdów na godzinę śmiga obok z piskiem, pozostawiając po sobie oleiste wiry pyłu, gumy, dezodorantu, wymiocin, elektrycznych pomruków i tego, co w absurdalny sposób nazwaliśmy mocą. Ja również położyłem się kiedyś na skraju ruchliwej szosy, ukryty pod baldachimem trybuli leśnej i szczawiu; chciałem dać się sponiewierać hałasowi i palpacji, a mimo to byłem zszokowany nieludzką nieludzkością odgłosów wydawanych przez pracujące tłoki. Nawet najbardziej rozdzierające dźwięki w przyrodzie — na przykład szczeki dzikich psów obskakujących małą gazelę — wydają się łagodne i w pewien sposób stosowne w zestawieniu z gwałtownością przejeżdżającego autobusu albo pociągu.

Lis potrafi usłyszeć pisk nornika z odległości stu metrów i gawrony szybujące nad zaoranym polem z odległości pół kilometra. Leżenie dziesięć metrów od pędzącej furgonetki musi oznaczać dla niego apokaliptyczne doznania: coś w rodzaju znalezienia się wewnątrz trąby powietrznej. Nawet

rozkichana, rozchrapana, rozburzana, roznucona, rozjęczana, bezsenna cisza późnych godzin nocnych w centrum miasta musi brzmieć pewnie dla niego jak kakofonia wesołego miasteczka.

Przytłacza mnie właśnie ta lisia plastyczność. Wyostrzoną wrażliwość innego zwierzęcia mogę pojąć na poziomie intelektualnym, a przynajmniej poetyckim, ale jak zrozumieć wyostrzoną wrażliwość i głęboką tolerancję? To trudne zadanie. A nie chodzi tu przecież o proste przystawanie na coś, aby zwiększyć swoje szanse na przetrwanie, jak to się dzieje w przypadku borsuków, które z powodu rzadkości odpowiednich siedlisk potrafią zadowolić się mało zachęcającym nasypem kolejowym. Lisy, jak się wydaje, lubią takie skandaliczne warunki. Obnoszą się z tym, jak bardzo służy im obiektywnie koszmarna okolica. Nie interesują ich moje przydługie, głośne kazania na temat miłości do przyrody; czuję się tym równie dotknięty co zdumiony. Lisy są prawdziwymi obywatelami świata. Ja wręcz przeciwnie i, prawdę mówiąc, czuję do nich urazę, że mnie w ten sposób przewyższają. Nie potrafię zrozumieć, jak to robią — ani na poziomie fizjologicznym, ani emocjonalnym.

Można by się spodziewać, że prawdziwy kosmopolita będzie uciekał się do kosztownych kompromisów: przystanie na gorszy słuch w zamian za lepsze oczy albo odda część węchu za wzrok. Wszechstronne zwierzę nie może przecież być specjalistą, prawda? A jednak im się to udaje. Co budzi mój podziw.



Nie cierpiałem East Endu. „Cóż za rażące miejsce”, napisałem z goryczą w notatniku.

Zostało zbudowane na łęgach jako obóz dla uchodźców, a teraz jest przytułkiem, z którego mało komu — z powodu biedy lub bogactwa — udaje się uciec. Nieliczni nazwaliby go dziś domem, a jeszcze mniej uczyniłoby to z radością. Mało kto tak naprawdę tu mieszka. Tubylcy ściągają swoje myśli z przestrzeni kosmicznej, jedzenie sprowadzają samolotami z Tajlandii, a bibeloty — z Chin. Meble przyplływają do nich w stalowych kontenerach ze Szwecji. Ale to pewnie nic nadzwyczajnego. Ostatecznie wszyscy jesteśmy zbudowani z gwiazdowego pyłu.

Choć lisy również są zbudowane z gwiazdowego pyłu oraz zajadają się tajskim kurczakiem curry, można je nazwać prawdziwymi mieszkańcami tego miejsca. Znają smak każdego centymetra kwadratowego betonu; przyjrzały się z wysokości niecałych dziecięciu centymetrów każdej plamie porostów do wysokości pół metra; wiedzą, że pod gankiem pod numerem 17A gniazdo uwiły sobie myszy, a trzmielce zbudowały swoje przy cedrowym tarasie pod numerem 29B. Były świadkami nużących pozamałżeńskich igraszek pani S., widziały, jak pogotowie wywoziło martwego pana K., śledziły też rozwój psychozy bliźniaków M., która z małostkowego ogrodowego okrucieństwa rozwinęła się w coś znacznie gorszego. Znają trasy przelotów jumbo jetów i gęgaw. W norze wykopanej pod ogrodową szopką moszczą się między skorupami ostryg, od których okoliczni mieszkańcy zarażali się w epoce wiktoriańskiej tyfusem. W nocy pokonują po okolicy trasę dochodzącą do ośmiu kilometrów i przez cały czas mają maksymalnie wyostrzone zmysły.

Ale nie zagrzewają tam długo miejsca. Bycie lisem w mieście to poważne, niebezpieczne zadanie. Każdego roku umiera 60% londyńskich lisów. Aż 80% oksfordzkich lisów

ginie przed ukończeniem drugiego roku życia. Dobrze wiedzą, co to znaczy stracić kogoś bliskiego. Prawdopodobieństwo, że z pary lisów, która doczekała się potomstwa tuż po osiągnięciu zdolności reprodukcyjnych, oba osobniki dotrważą do drugiego okresu rozrodczego, wynosi zaledwie 16%. Lisy nie tylko wiedzą, czym jest żałoba, ale ją nieustannie przeżywają — chyba nawet w podobny sposób jak ja; wydają przynajmniej zbliżone dźwięki.

David Macdonald, który ze swojej bazy w Oksfordzie przeprowadził najważniejsze z dotychczasowych badań nad zachowaniami lisów, trzymał kilka oswojonych osobników w domu (wspomina, że właścicielka wynajmowanego mieszkania miała, o dziwo, kłopot ze znalezieniem po jego wyprowadzce nowych lokatorów. Nie wszyscy równie bardzo jak ja czy on gustują w zapachu lisiego moczu). Jedna z jego lisiczek zaplątała się kiedyś w wirujące ostrza kosiarki do trawy. Łapa zawisała jej na skrawku tkanki. Zrozpaczona żona Macdonalda wzięła ją na ręce. Partner lisicy próbował odciągnąć samicę, kiedy ta była niesiona do samochodu, a potem wpatrywał się w odjeżdżający pojazd.

Następnego dnia siostra lisicy zabrała ze swojego składu jedzenie i uciekła z nim, skomląc jak lisy karmiące młode. Wcześniej nie wydała takiego odgłosu przez ponad rok. Zniosła jedzenie do zagłębienia w trawie, gdzie poprzedniego wieczora jej siostra uległa wypadkowi i zakopała je pod zakrwawionymi źdźbłami trawy.

Jest w tym jakiś patos podobny do tego z mojej wcześniejszej opowieści. To właśnie ten fakt sprawił, że antropomorfizowałem lisy w większym stopniu niż którekolwiek z moich zwierząt. Czułem się pewniej, zgłębiając lisy niż pozostałe stworzenia.



Lisy i psy to całkowicie różne stworzenia. Ich linie rozdzieliły się jakieś dwanaście milionów lat temu, co znajduje odzwierciedlenie w liczbie chromosomów: udomowiony pies (ewolucyjny potomek wilka) ma 78 par; lis rudy między 34 a 38 parami. Nie musielibyście podawać waszej pudliczce pigułki antykoncepcyjnej, gdyby w okolicy kręcił się jakiś napalony lis. Mimo to, obserwując psy, możemy dowiedzieć się czegoś na temat lisów.

Psy wyspecjalizowały się w zgodnym życiu u boku człowieka: były starannie dobierane pod kątem tej umiejętności przez ostatnich pięćdziesiąt tysięcy lat. Z lisami jest inaczej: ewolucja popchnęła je w innym, mniej potulnym kierunku. Niemniej można zasadnie twierdzić, że dysponują co najmniej równie rozwiniętymi zdolnościami umysłowymi co psy. Jeżeli tak faktycznie jest, to analizując umiejętności psów, możemy nabrać pewnego wyobrażenia o zasobach, jakimi dysponują lisy.

Psy są znakomitymi naśladowcami i potrafią świetnie budować relacje. Naśladują ludzkie zachowania równie dobrze co szesnastomiesięczne dziecko; przyglądają się uważnie temu, na co patrzy albo na co wskazuje palcem człowiek; odczytują wiele społecznych sygnałów wysyłanych przez ludzi i chcą z nami współpracować.

Niektóre psy dysponują znakomitą pamięcią. Należy zachowywać ostrożność w wyciąganiu wniosków na temat tego, co jest normą, na podstawie spektakularnych sztuczek wybitnych osobników, ale skrajne wartości krzywej dzwonowej wskazują tak czy inaczej na to, gdzie znajduje się środek. Przypomnijmy sobie zatem border collie o imieniu

Rico, który wystąpił w niemieckiej telewizji w 2001 roku. Znał nazwy dwustu zabawek, przynosił je na żądanie, a nowych słów uczył się równie szybko co małe dziecko. Kiedy wśród znanych mu zabawek kładzono nową, rozpoznawał ją poprzez proces eliminacji, który musiał przybierać mniej więcej taką postać: „Znam wszystkie inne, a tej nigdy wcześniej nie widziałem, a zatem to musi być ta nowa”. Kiedy przez miesiąc nie pokazywano mu nowej zabawki, wybierał ją prawidłowo w połowie przypadków. Nazwy tworzyły w jego umyśle jakby coś w rodzaju leksykonu: wydawał się przypasowywać nowe słowa do jakiejś chomsky’owskiej matrycy językowej. Inny pies, Betsy, przebadany w węgierskim laboratorium, dysponował zasobem ponad trzystu słów.

Tego rodzaju zdolności i skłonności mają oczywiste emocjonalne (proszę bardzo, użyłem zakazanego słowa) następstwa.

Kiedy psy znajdują się z dala od właściciela, do którego się przywiązały, cierpią na lęk separacyjny. Kiedy właściciel powraca, wybiegają, aby go powitać, podskakują i tańczą; zupełnie jak małe dziecko, które widzi po dłuższej przerwie mamę. Na wrzosowiskach Howden i na wyżynie Peak District w hrabstwie Derbyshire, po których hasałem jako dziecko, pies pasterski o imieniu Tip nie opuszczał ciała swojego zmarłego pana przez piętnaście pograżonych w smutku, niebezpiecznych tygodni.

Jakoś nie chce mi się uwierzyć, żeby lisy wykorzystywały swoją pamięć operacyjną w sposób aż tak odmienny od psów, aby wymienione cechy nie przejawiały się w jakiś sposób również u nich. Wiemy, że lisy mają dobrą pamięć: potrafią przez wiele tygodni przechowywać w niej nie tylko lokalizację kryjówek z jedzeniem, ale również rodzaj pozostawionego tam pokarmu. „Na lewo od poskręcane

dębu leży nornica ruda; a pod pokrzywami nornik bury”, mówią sobie. Wiemy, że dysponują rozbudowanym słownictwem, wytwarzanym za pomocą wyrafinowanego zestawu metod (co najmniej 28 grup dźwięków opartych na 40 podstawowych formach wydawania głosu) i że zew lisa X jest odczytywany jako zew lisa X, a nie jako lisi zew w ogóle: monogamiczne samce żyjące w niewoli reagują na nagrania głosu jedynie swojej partnerki.

Wymienione charakterystyki lisów, podobnie jak analogicznie umiejętności psów, przekładają się nieuchronnie na umiejętność budowania relacji. Tyle tylko, że owe relacje nawiązują one z innymi lisami (co oczywiście jest normą u zwierząt; relacja pies-człowiek jest wysoce nietypowa). Któż mógłby w to wątpić, usłyszawszy opowieść o rannej lisicy Macdonalda?

A oto kolejna historia. Oswojonemu samcowi lisa wbił się w łapę cierń. Wdała się posocznica. Dominująca lisica z jego grupy przynosiła mu jedzenie przez cały okres choroby. To bardzo nietypowe zachowanie: dorosłe lisy zazwyczaj agresywnie bronią swojego pokarmu.

Nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z altruizmem opartym na zasadzie wzajemności. Lisica oczekiwała swoistego rewanżu w sytuacji, gdyby to ona zaniemogła. Ale takie ujęcie sprawy nie oznacza, że opisanemu zachowaniu nie towarzyszył realny składnik emocjonalny. Moja miłość do dzieci i poświęcenia, jakich dokonuję na ich rzecz, mają z pewnością (przynajmniej częściowo) wyjaśnienie w teorii Darwina: chcę, żeby triumfalnie przekazały moje geny przyszłym pokoleniom. Nie oznacza to jednak, że nie byłbym autentycznie przejęty, gdyby doznały jakiegoś urazu niewpływającego na ich potencjał reprodukcyjny, i że moja rozpacz na skutek ich śmierci wykraczałaby dalece poza rozczarowanie związane z upadkiem moich genetycznych

aspiracji.

Wolę proste, oczywiste odczytanie opowieści Macdonalda i nauki płynącej z obserwacji psów. Lisy są empatycznymi istotami, które nawiązują ze sobą relacje. Proszę bardzo, możecie mnie wyzywać od Beatrix Potter, mam to gdzieś.

Umiejętność nawiązywania relacji i empatia lisa X jest, o ile nam wiadomo, nakierowana głównie na inne lisy, z którymi owego X łączy wspólny interes. Tak nam to opíše neodarwinista i bez wątpienia będzie miał rację. Kiedy jednak nabywamy zdolności do nawiązywania relacji i okazywania empatii, niezwykle trudno jest utrzymać je pod kloszem. Rozlewają się na inne osobniki i gatunki niewiele znaczące z ewolucyjnego punktu widzenia. Ludzie wpłacają pieniądze na zabiedzone osły i głodujące dzieci, które nigdy w żaden sposób im się nie odwdzięczą. Niekiedy pomagają nawet skrycie, pozbawiając się możliwości poklasku i zyskania w oczach innych opinii „porządneho chłopca”. Naziście będącym ojcem z większym trudem przyjdzie przebijać bagnetem cudze dzieci, z którymi nigdy nie poczuł nawet żadnego związku.

To właśnie mówiłem sobie, klęcząc obok pożywiających się komarnicami lisów. Dysponowały one wyraźnie zdolnością do poczucia jakiejś wspólnoty ze mną, a ja z nimi. Nie istnieje ponadto żaden powód, dla którego miałyby tego nie pragnąć. Zdarzały się takie chwile (trwające długie sekundy), kiedy spoglądałem na lisy, a one spoglądały na mnie (w lesie w Yorkshire; na klifie w Kornwalii; w gaju pomarańczowym w Hajfie; na plaży na Półwyspie Peloponeskim), a ja myślałem: Tak! Istnieje jakiś pierwotny język, w którym możemy przedstawić siebie innym i opisać innych sobie. Nie musimy tu na Ziemi pozostawać sobie równie dalecy jak galaktyki.

Nawet po zakończeniu tych trwających długie sekundy

wymian spojrzeń mogłem powiedzieć do lisa: „Słuchaj, obaj mamy ciała, a te ciała mokną, kiedy nadlatujące znad szarego morza chmury obrywają nam się nad głową. I obaj jesteśmy tutaj! Ja jestem tutaj! I ty jesteś tutaj!”

Ja i ty!

Potem zazwyczaj przychodził czas na wizytę w pubie.



Kiedy mieszkałem na East Endzie, często rezygnowałem z penne all'arrabiata i obchodziłem w nocy okoliczne kubły na śmieci, przetrząsając worki. Lisi nos bez problemu potrafi rozpoznać przez grubą warstwę plastiku, czy w środku znajduje się coś godnego uwagi. Dla mnie nieprzenikniona była nawet najcieńsza, musiałem więc otwierać worki.

Jedynie instynktowny wstręt przed śliną innych przedstawicieli mojego gatunku czynił jedzenie resztek nieprzyjemnym doznaniem. Posypywałem wszystko mieszankami ziołowymi. Paradoksalnie sterylizowało to w moich oczach owe resztki, a przynajmniej czyniło je moimi i eliminowało zagrożenie ze strony śliniącego się obcego człowieka.

Początkowo próbowałem ukrywać jedzenie tak jak to czynią lisy. Zarzuciłem ten pomysł z powodu obrzydzenia, jakie odczuwałem, kiedy po powrocie do foliowej paczuski z ryżem zastawałem trzy brązowe szczury z pyszczkami wetkniętymi do środka, jakby to były prosiaki przy korycie. Prawdziwy lis schrupałby je na przystawkę.

Znajdywałem porządne, choć monotonne łupy. Jeżeli East End przypomina resztę Zachodu, wyrzuca mniej więcej jedną trzecią tego, co kupuje. W śmietnikach nie brakowało pizzy,

kurczaka tikka masala, ryżu smażonego po kantońsku, tostów, smażonych ziemniaków i kiełbasek. Problem w tym, że nie znajdowałem zbyt wielu innych rzeczy. W tej najbardziej zróżnicowanej ze wszystkich angielskich społeczności wszyscy jedzą wciąż to samo. Nawet lisy mają tu bardziej zróżnicowaną dietę od ludzi. Jedzą pizzę, kurczaka tikka masala, ryż smażony po kantońsku, tosty, smażone ziemniaki, kiełbaski, norniki bure, nornice rude, myszy domowe, wszelkie ofiary wypadków drogowych, dzikie owoce w sezonie i importowane z Ameryki Południowej i Afryki przez cały rok, chrabąszcze majowe, larwy motyli z rodziny sówkowatych, żuki, robaki o szczurzych ogonach z wylotów kanałów, dżdżownice, króliki (dzikie i te z nieodpowiednio zabezpieczonych klatek), powolne, nazbyt pewne siebie ptaki, gumki recepturki, odłamki szkła, opakowania z KFC, trawę, aby pozbyć się robaków pasożytujących w przewodzie pokarmowym przez wywołanie wymiotów — w sumie wszystko, co popadnie. Niestety nie są szczególnie skutecznymi zabójcami kotów.

Wałęsając się od kubła do kubła, nasłuchiwałem i obserwowałem. Domy i mieszkania odznaczały się tym samym co worki na śmieci: jednorodnością. Wszyscy funkcjonowali na mniej więcej identycznej diecie kulturowej. Pewnego dżdżystego wrześnieowego wieczoru stałem na chodniku, zajadając się pozostawionym przez kogoś ciastkiem i gapiąc się w okna. Z charakterystycznego migotania wynikało, że w 73 mieszkaniach oglądana jest telewizja. Zsynchronizowane migotanie w 64 (64!) z nich wskazywało, że ludzie oglądają ten sam program.

Żaden lis nie wpatruje się nigdy w to samo miejsce co inny lis. Nawet kiedy rodzina leży skulona obok siebie, wszystkie lisy mają zamknięte oczy i śnią o domach pełnych kurczaków, powodzi nornic czy cebulowym bhaji albo też

spoglądają na świat pod trochę innym kątem niż wszystkie pozostałe osobniki. Ich rozumienie tego, co widzą, jest uwarunkowane nieco odmienną preferencją węchu albo słuchu, a ona z kolei wynika z ilości cementowego pyłu zalegającego w nosie od obwążiwania placu budowy, kąta ustawienia uszu albo rodzicielskich wskazówek kierowanych do młodych.

My również zapchaliśmy sobie nosy i usztywniliśmy ułożenie swojego ciała w przestrzeni, ale jesteśmy tak asensorycznymi, niebaczącymi na otoczenie istotami, że nie ma to dla nas większego znaczenia: nie zwracamy na to nawet uwagi. Mamy niezwykle wrażliwe dłonie, ale w kontakcie ze światem zakładamy grube rękawice, a potem narzekamy, że jest on bezkształtny.



Mało brakowało, a postawiłbym krzyżyk na Londynie, ale wiara lisów w to miasto i głębia ich zaangażowania w życie w jego granicach poruszyła mnie i skłoniła do zmiany zdania. Zacząłem podejrzewać, że gdyby udało mi się zbliżyć do miasta tak bardzo, jak to się udaje im, zobaczyłbym je w odpowiednim świetle, a dzięki temu bym je pokochał. Każda nienawiść jest wyczerpująca. Miałem nadzieję, że lisy pomogą mi znaleźć ukojenie.

Kiedy mieszkałem w Londynie, funkcjonowałem tak, jakbym znajdował się pod wpływem środków znieczulających. Niczym biblijni poganie: miałem oczy, ale nie widziałem, miałem nozdrza, ale nie czułem zapachu, miałem ręce, ale nie mogłem dotykać, miałem uszy, ale nie słyszałem^[6]. Na każdym kroku dowadywałem się, że oto

znajduję się w miejscu, gdzie dzieją się wszystkie ciekawe rzeczy; gdzie naprawdę można żyć pełnią życia. Czasami jak przez mgłę faktycznie dostrzegałem tę pełnię, ale wydawała się ona zawsze odległa, niewyraźna i przytłumiona, jakbym spoglądał na nią z wysoka przez mętną wodę.

Aż wreszcie — wciąż ślepy, głuchy i pozbawiony węchu — zacząłem łązić za lisami. W końcu chwyciły mnie za obrozę i popłynęły ze mną na cztery wyspy. I na tych wyspach doszło do przebudzenia moich zmysłów. Tam odczuwałem różne rzeczy i potrafiłem je opisywać. Reszta eastendowej Atlantydy skrywała się pod powierzchnią. Gdybym pozostał tam dłużej i wytrwał w rodzinie lisów, być może pokazałyby mi więcej wysp, zanurkowały ze mną w głębiny czy wyniosły nad powierzchnię resztę Atlantydy, żebym mógł kupować i smakować na niej piwo, biegać po jej wzgórzach i czuć ją pod stopami.

Nie poznałem niczego poza tymi wyspami, nigdy też tak naprawdę nie pojąłem, w czym tkwi sekret East Endu. Być może jego *genius loci* leży głęboko w dolinach między wspomnianymi wyspami, wymykając się trwale mojemu poznaniu. Niemniej sporządzając dla siebie opis wysp, uzyskałem mapę archipelagu, a ten archipelag odznaczał się własnym powabem — tworzył kraj, który można było polubić.

Niczego bardziej nie pragnąłem, jak właśnie odczuwania sympatii. Miałem dość żywienia uraz. Gdybym sądził, że sympatia do miejsca wyklucza się ze zrozumieniem zamieszkujących je lisów, wybrałbym ją. Niemniej z każdym pociągnięciem nosa, z każdym przebiegnięciem na czworakach odcinkiem, z każdym wypadem na śmietniki narastało we mnie przekonanie, że obie te rzeczy są ze sobą ściśle powiązane.

Nie chodzi o to, że na tych wyspach doświadczyłem czegoś

ciekawszego od dominującej w innych obszarach nieprzeniknioności świata lisów, ale nie dorównywało to normalnemu, ludzkiemu doświadczeniu. Bynajmniej. Z czasem nabrałem przekonania, że lisy widziały, wyczuwały i słyszały prawdziwy świat i że na wyspach, na które mnie zabrały, ja również potrafiłem doświadczać prawdziwego świata. Lisy dały mi swoje oczy, uszy, nosy i łapy. Ale tylko na wyspach.

Lisy były prawdziwym East Endem. Zamieszkiwały to miejsce w sposób, w jaki ja sam bez ich pomocy nie potrafiłbym go zamieszkiwać, w sposób odzwierciedlający prawdziwą naturę tego miejsca. Ja mieszkałem tam w sposób, który odzwierciedlał mnie, moje postrzeganie tego miejsca. Nosilem przed sobą lustro, opisując siebie w notatniku i nazywając to literaturą przyrodniczą.

Gdybyście spojrzeli lisowi w oczy, nie zobaczylibyście w nich swojego odbicia. Lisy mają pionowe źrenice, w których nie znajdzie ukojenia żaden narcystyczny przedstawiciel gatunku ludzkiego. Postawcie się teraz po przeciwnej stronie lisiego oka i spójrzcie przez nie na kałużę wymiotowanego curry, jeża albo sznur samochodów z napędem na cztery koła w czasie ferii. Analogicznie nie dostrzeżecie w tych zjawiskach odbicia samego siebie. Zobaczycie te rzeczy takimi, jakie naprawdę są, albo przynajmniej ich lepsze przybliżenie, niż można uzyskać za pomocą naszych ludzkich oczu, w których do znudzenia odbijamy się my sami. Oczy powinny być receptorami sensorycznymi i te znajdujące się w głowie lisa pełnią taką właśnie funkcję. My zamieniamy je w narząd kognytywny, w ten sposób je niszcząc. Nie wynika to z faktu, że lis ma mniejszą samoświadomość, a przez to na drodze między siatkówką a mentalnym obrazem jeża występują mniejsze zakłócenia, ale z tego, że jego świadomość jest w mniejszym

stopniu zanieczyszczona toksycznym „ja” i różnymi zgubnymi założeniami.

Żadnej z lisich wysp nie byłem w stanie dostrzec z wysokości przekraczającej pół metra nad ziemią. Jedną można było zobaczyć wyłącznie za pomocą nosa.

Oto wspomniane wyspy:

Wyspa 1

Istnieje wiele barów otwartych do późnej nocy. Pachną klarowanym masłem, mydłem, kardamonem, kolendrą i benzyną do zapalniczek. Ich właściciele nigdy nie umierają ani się niczym nie emocjonują. W zaułku obok jednego z takich barów leżała sterta skrzynek ostemplowanych przez urzędy celne w Barbadosie, Bangladeszu i na jakichś skalistych wysepkach na Pacyfiku. Pod skrzynkami panowały miękkie, słodkie, wilgotne i alkoholowe warunki. Wdrapałem się na tratwę pełną fermentujących owoców. Osy były zbyt wkurzone, żeby mnie użądlić, kiedy się na nie zważyłem.

Leżałem na brzuchu, ponieważ w takiej pozycji spoczywają zazwyczaj lisy. Jakiś metr przede mną znajdowała się ściana, która podeszła wilgocią na wysokość jednej stopy. Pozostała część muru, który wznosił się ku wydymającym się firankom siedziby korporacji taksówkowej, była sucha jak wiór i odpowiednio nieinteresująca. Tuż przy ziemi uwijały się za to nieprzebrane cudowności: siateczki srebrnych ślimaków, stonogi murowe, które pływały w powietrzu tak, jak niegdyś małe trylobity wiosłowały po kambryjskiej zupie pierwotnej; stonogi w zbrojach z brązu, które wiły się niczym kolumny legionistów z tarczami uniesionymi nad głowy zmierzających w stronę wieży pełnej owłosionych Gotów; secesyjne zawijasy rozkwitających porostów; mech przypominający włosy pod pachami.

Szpara w skrzynce z Lesotho tworzyła częściowe obramowanie okna. Kobieta w łazience była urocza, mężczyzna nie. Dlaczego została? Lis by się nad tym nie zastanawiał. Kiedy pochylałem głowę, widziałem kalafiora, zielonego od pleśni i urokliwego niczym kasztanowiec w maju.

Na tratwie znajdowały się dżdżownice; tłuste, marynowane robale z grubymi siodłami przypominającymi masywne obrączki ludzi lubiących podkreślać swoją wierność. Lis wessałby je między zębami jak spaghetti: każda dżdżownica dałaby mu 2,5 kalorii — czyli 1/240 dziennego zapotrzebowania wynoszącego u dorosłego lisa 600 kalorii. Mimo że większości lisów zdarza się jeść dżdżownice, odnoszę wrażenie, że niektóre szczególnie się w nich lubują, sądząc po ilości ziemi i chitynowych szczecinek w ich odchodach. Jest to bezpieczny, niewymagający wysiłku sposób utrzymywania się przy życiu: jak życie adwokata od spraw spadkowych.

Wyspa 2

W parku znajduje się miejsce, gdzie beton graniczy z asfaltem. Beton jest spękany tam, gdzie zimą woda zamarza w kliny. Powstało w ten sposób rozłożyste drzewo szczelin. Powodzie powstające podczas deszczu, niewidoczne dla nas, ale dla mszycy przybierające postać wzburzonej ściany wody, wypełniły szczeliny ziemią pełną jajeczek nicieni rodzaju *ascaris* pochodzących z psiej kupy, która leżała koło placu zabaw. Wiatr, zagarnięty przez boczne lusterka ciężarówek z cementem oraz białych furgonetek obsiał tę ziemię trawą i odważnie bujnym starcem jakubkiem, którego przodkowie otruli pewnie niejednego konia w Kencie.

Gdybyście podeszli do tej granicy boso, przekonalibyście

się, że beton jest twardy i chropowaty jak tarka do sera. Nikt za nim nie przepada. Słońce opuszcza go, jak tylko może najszybciej. Z kolei asfalt jest ciepły i gąbkowaty, nawet kiedy się wychłodzi. W upale wypuszcza wąsy, które chwytają nas za nogi. Pozostawiają na stopach tatuaże przypominające czarne żyłki.

Lisy mają nieprawdopodobnie wrażliwe łapy. Tym miejskim, przyzwyczajonym do tuptania po drogach przez osiem godzin w nocy, na spodach kończyn robią się poduszeczki, które w dotyku przypominają aksamit polany mlekiem i wstawiony na noc do piekarnika, aby powstała na nim delikatna skorupka. Ich łapy, podobnie jak pyski, wystają poza granicę futra. Na napiętkach znajdują się sztywne włoski osadzone w rozbuczonym ulu zakończeń nerwowych. Kiedy biolog Huw Lloyd dotknął włosków na łapie młodego lisa, który spał przed jego kominkiem, zwierzak, nie obudziwszy się nawet, cofnął łapę. Włoski te są lubieżnie głaskane przez trawę wszędzie tam, gdzie rośnie ona swobodniej niż na dobrze utrzymanym boisku piłkarskim. Wyobraźcie sobie, że podczas spaceru wasze nozdrza są nieustannie smagane przez sięgające waszej twarzy osty. Takie doznania towarzyszą wędrownice lisa przez las.

Czy to nie przesada? Nie musiałyby być aż tak czułe. Stąpające ciężko na zdeformowanych stopach zwierzęta kopytne, u których zakończenia nerwowe zostały zamknięte w rogowej osłonie, poruszają się z wielką lekkością po nierównym terenie i skalnych występach. Można by się spodziewać, że dobór naturalny z mniejszą rozrzutnością będzie okazywać lisom względy.

Wyspa 3

Kiedy wyobrażamy sobie małe drzewo, wydaje nam się, że

wyrasta ono z ziemi, a następnie rozszerza się niczym grzyb albo zwęża jak marchewka. Ale to nieprawda. Nawet najwątlejsze drzewo prowadzi rozbudowane, szerokie życie podziemne. Części wystawione do światła to tylko kuchnie, w których przygotowuje się jedzenie.

Leżąc na ziemi, prędzej czy później odkryjemy ten fakt. Kiedyś zajęło mi to aż trzy godziny. Drzewo miało pochylone ramiona, co sugerowało, że reszta ciała ukryta pod chodnikiem prezentuje się mizernie.

Drzewo przebiło się przez sztywną skórę trawnika, a następnie, zmęczone, oparło się o płot, przyciągane ku ziemi ciężarem swojej głowy w taki sam sposób, w jaki pijacki łeb opada na stół przyciągany ciężarem zawartego w nim piwa. Mrówki, żuki i skorki rozlały się po ramionach drzewa — każdy gatunek po ściśle wytyczonych trasach — niczym strumienie wody po nogach. Zamierzały zjeść jego obumarłe... albo żywe części: zawsze chodzi albo o jedno, albo o drugie. Zresztą granica między tymi stanami nie jest zbyt wyraźna.

Na East Endzie nie mogłem przebiegać od drzewa do drzewa na czworakach. Nie rośnie tam dostatecznie wiele drzew. Staralem się jednak nadrobić te zaległości w innych miejscach. Prawdziwie lisią perspektywę można osiągnąć, ześlizgując się szybko po porośniętym lasem zboczku. Jak większość drapieżników, lisy mają oczy umiejscowione z przodu głowy. Chrząszcze byłyby dla nich mniej więcej równie widoczne co dla mnie, za to ja potrafiłem szybciej rozpoznawać w biegu gatunki drzew. Lisów drzewa przypominałyby ciemne kolumny, które zbliżałyby się do nich z tą samą rozkołysaną, trochę nieprzewidywalną gwałtownością, której możemy doświadczyć, wsiadając na jeden z tych pojazdów w salonie gier. Symulowana przez komputer przejażdżka samochodem czy motorem nie wydaje

się równie realistyczna co prawdziwa przejażdżka samochodem czy motorem, ale pomaga zrozumieć, co to znaczy być lisem.

Próbowałem po lisiemu wpaść na drzewo w moim ogródku. Zdarłem sobie skórę z kolan, a kobieta w sąsiednim domu wyjrzała zza zasłony i zapytała nerwowo, czy dobrze się czuję.

Wyspa 4

Odwróciłem nosem stary kawałek pizzy. Leżałem w ogródku. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że szczury, ptaki i lisy go przegapiły. Leżał tam na tyle długo, że przesiąkł już pogodą z minionych dwóch tygodni. Od tygodnia nie padało, mimo to był wilgotny. Paprykę opatulało szykowne zielone futro. Z jednej strony widniały ślady ludzkich zębów i futro było tam cieńsze: przypuszczalnie paciorkowce, wymieniane w dużym stężeniu podczas pocałunków, toczyły zażartą walkę z pleśnią. Spodnia część przypominała siatkę metra: tunele pękały w szwach, jak w godzinach szczytu, od rozpychających się chrząszczy ryjkowców. Ruchem kierowały czarne żuki (które zawsze wydawały mi się zbyt mechaniczne w swej naturze, aby potrzebowały pożywienia będącego pokarmem dla ciała).

Zniechęcił mnie tak naprawdę dopiero zapach. Kawałek pizzy otaczały warstwy aromatyczne: na górze utrzymywał się metaliczny pomidor i tłuszcz nieszczęsnych świń, doprawiony zarodnikami (które bynajmniej nie cuchną śmiercią, choć powinny). Na dole zaległo ziemiste, drożdżowe rozpełźnięcie. Pomidor od tuneli metra oddzielał mniej więcej cal ciasta (była to pizza z foremki) i upływ dwóch tygodni. Mimo to — i właśnie w tym rzecz — wyczułem je oba nosem w ciągu jednej sekundy.

Zapach kondensuje i przechowuje historię. Kawałek pizzy

był tylko błałym przykładem tego zjawiska. Powąchajcie jakiś prekambryjski łupek, a być może wyczujecie dwa miliardy lat doznań dostarczone za jednym zamachem pod wasze neurologiczne drzwi. W tym przypadku doznanie będzie ledwo wyczuwalne: większość cząsteczek zapachowych została dużo wcześniej zużyta przez inne ciała i struktury, a te, które pozostały, są mocno owinięte swego rodzaju archaiczną folią samoprzylegającą.

Lis przebiegający truchtem przez Bethnal Green Road pobiera z każdym oddechem odczytywany w czasie rzeczywistym przekrój poprzeczny poprzednich pięciu, pięćdziesięciu albo pięciuset lat. Bardziej zamieszkuje w tej przeszłości niż na asfalcie czy między kubłami. Czas, ściśnięty mocno w doznaniach węchowych, tworzy prawdziwą geografę lisiego świata.

Kawałek pizzy nie był na tyle znaczący, aby samodzielnie utworzyć wyspę. Był raczej boją sygnalizacyjną — unoszącym się na wodzie kawałkiem świeżego drewna, które informowało, że wyspa znajduje się gdzieś nieopodal. Był nią pniak, rozkruszający się i gąbczasty, stojący obok wyrzuczonego worka ze śmieciami. Niczym lakmus nasiąkł płynem wyciekającym z worka ze śmieciami, niczym lakmus zaświadczał o prawdziwej naturze worka oraz o jego przodkach. Zaświadczał zapachem, a natura ta była historyczna, antropologiczna, handlowa, zdemoralizowana, niechlujna (zresztą do jej opisu można by wykorzystać wszystkie istniejące przymiotniki). A ja ogarnąłem to wszystko w jednej chwili.

Wydaje mi się, że była to kiedyś lipa, ale jej prawdziwa nazwa została obgryziona przez deszcz, osy i wypłukana przez wyciekającą z worka posokę o zapachu curry. Z powodu swej porowatości pniak stał się bezpiecznym i pojemnym magazynem wspomnień różnych rzeczy. Być

może drzewo to zostało zasadzone sto lat temu z powodów, których żaden planista miejski nie potrafiłby wyjaśnić: nie istniał wtedy język opisujący motywy typu: „dostarczanie pokarmu duchowego dzikiemu sercu bijącemu pod czarną marynarką”. Drzewo umarło mniej więcej pół wieku później, kiedy odrąbano jego żyłkowate korzenie, ponieważ zanadto urozmaicały wygląd ogródka sąsiadów.

Po śmierci zaczęło gromadzić zapachy. Za życia pachniało głównie sobą.

Przesunąłem śpiwór i przez dwie noce spałem obok pniaka z nosem wtulonym pod jedną z jego pach.

Nos przeszedł przez trzy fazy. Najpierw wyczuwał zapach starego drzewa i uformował ten zapach w swego rodzaju zwłoki. Następnie wygłuszył ten zapach i zaczął (a jest to duży spiczasty nochal) wyodrębniać poszczególne składniki. Odkroił plaster diesla, być może z połowy lat 70., i odłożył go do miski, aby przyjrzeć mu się później dokładniej. Powrócił do pniaka i wychwycił długość burzy, przywianej znad Rosji w czasie kryzysu sueskiego, i ją również odsunął na bok. Pozbywszy się tej dwójki, zaczął pracować szybciej: krew menstruacyjna z zeszłego miesiąca, nazbyt ambitna i niezbyt udana próba ugotowania jednej z klasycznych wietnamskich potraw, kilka wyraźnie skutecznych prób uprawiania bezpiecznego seksu. Oraz fasola. Ogromne ilości fasoli. Wszystko to odkładał do miski.

Nos wędrował wokół miski, od zapachu do zapachu, dumny ze swych osiągnięć.

Wreszcie, bardzo powoli, zaczął sobie uświadamiać, że rozkładanie na czynniki pierwsze to koszmar. Połączył więc na powrót składniki w całość i uzyskał to, co przy pierwszym, nieanalitycznym wachnięciu: całą miskę naraz; cały wiek w jednej chwili.

Myślę, że właśnie tak to robi lis, tyle że on zamieszkuje

w takiej chwili znacznie dłużej niż potrafiłbym to zrobić ja, do tego zamieszkuje ją znacznie pełniej. Owszem, skupia się na aspektach dla niego szczególnie interesujących, podobnie jak mój wzrok zatrzymuje się na jedynym urzekającym obrazie w nowej galerii. Ale lisi nos wchłania za jednym zamachem całe tysiąclecia, podobnie jak mój wzrok potrafi w jednej chwili omieść całą galerię. Z tych tysiącleci lis wychwytuje zeszlotygodniowe kotlety albo znajdującego się wciąż gdzieś w pobliżu nornika, niemniej ogarnięte zostaje wszystko.

Tylko nosy potrafią w taki sposób wędrować w czasie. Nasze oczy i uszy również to robią, ale tego nie zauważamy, ponieważ światło i dźwięk przemieszczają się szybko. Widzimy światło gwiazd, które zostało wyemitowane kilkaset lat temu; miesza się ono na palecie naszej siatkówki ze światłem, które zaledwie ułamek nanosekundy wcześniej powstało w pobliskiej frytkarni. Za pomocą tej mieszaniny odmalowujemy sobie obraz świata, który nazywamy rzeczywistością. Tak naprawdę rzeczywistość jest koktajlem złożonym z niekiedy całkowicie odmiennych czasów, wstrząśniętym i porządnie zmieszanym przez nasze „ja”.

Tak zatem przedstawiały się moje wyspy: tratwa z owocami, skraj betonu, drzewo i pniak. Na każdą z nich zabrały mnie lisy.

Z estetycznego punktu widzenia wolałem lisią perspektywę od swojej — oglądanej z okna autobusu albo gabinetu. Była ładniejsza i znacznie ciekawsza. Nabrałem przekonania, że z kartograficznego punktu widzenia lisia wizja East Endu jest dokładniejsza: uwzględnia większe ilości informacji. Z ich perspektywy widziałem wszystko bardziej szczegółowo i w szerszej perspektywie. Zauważałem włoski na nogach mrówek oraz — w serii trwających ułamki sekund orgii węchowego holizmu — wszystko, co zostało rozlane,

wyejakulowane, ugotowane i wyhodowane od czasu stworzenia świata. Więc tak to wyglądało.

Lisy pokazały mi Londyn na tyle stary i głęboki, że można było w nim zamieszkać i go polubić. Wynegocjowały niełatwy traktat pokojowy między mną a East Endem, a w istocie również między mną a innymi zaniedbanymi, żalosnymi, moralnie podupadłymi siedliskami ludzkimi. Był to wspianiały dar.

Tyle że poznałem tylko wymienione wyspy, a nie całe krajobrazy. Miasto wiło się w nieprzeniknionej głębinie gdzieś pomiędzy nimi. Dla moich metaforycznych wodnych lisów głębinę te były całkowicie przejrzyste.



Podróż w czasie to nie tylko poezja. Lisy używają jej do polowania. Pisk nornika dociera do błony bębenkowej w każdym uchu lisa w nieco innym czasie i natężeniu w zależności od tego, po której stronie ów nornik się znajduje. Odrobina prostej trygonometrii, spora doza doświadczenia i mnóstwo uprzednich chybionych susów sprawia, że mózg wyznaczy z grubsza położenie ofiary. Choć jest to trudniejsze (na co zwraca nam uwagę ewolucja, wypowiadając się w imieniu całotonowych gatunków narażonych na ataki drapieżników), zlokalizować można nawet długotrwałe, całotonowe zawodzenie: poszczególne części takiej fali docierają do każdego ucha w innym czasie — grzbiet może uderzyć w prawy bębenek, a dolina w lewy. Tego rodzaju różnice pozwalają zlokalizować piszczącą lub zawodzącą ofiarę. Ale tylko do pewnego stopnia. Jeżeli lis trzyma głowę nieruchomo, źródło dźwięku zostanie umiejscowione nie w określonym punkcie, ale na elegancko

zakrzywionej płaszczyźnie rozciągającej się od źródła zawodzenia, a kończącej się nad głową lisa. Wykonując swój morderczy skok, lis nie jest w stanie pochwycić zębami wszystkich punktów na tej płaszczyźnie. Musi sobie zatem jakoś pomóc — i czyni to na dwa sposoby.

Po pierwsze porusza głową albo uszami. Płaszczyzna łącząca źródło zawodzenia z pozycją lisa wówczas się przesuwają, ale ono samo pozostaje nieruchome. Porównując poprzednią płaszczyznę z nową, lis może zawęzić obszar poszukiwań. Po wykonaniu kilku ruchów uszami lub głową nabierze niemal wystarczającej pewności, aby zdecydować się na kosztowny energetycznie skok. Może jednak skorzystać z jeszcze innego, zdumiewającego udoskonalenia.

Aby uświadomić sobie niezwykłość tego rozwiązania, przejdźcie się do najbardziej obskurnego parku w okolicy i przyjrzyjcie się wypróżniającym się psom. W typowy dzień najczęściej będą się ustawiały na linii północ-południe. W takim ułożeniu ziemskie pole magnetyczne sprawia wrażenie spokojnego. Choć nie zawsze: występują w nim burze i nawałnice, ponieważ roztopiona skała, na której wszyscy surfujemy, nieustannie się w środku kotłuje. Jeżeli jednak natrafimy na spokojny dzień w Hadesie, jelita naszych psów będą uwiązane do środka ziemi.

Nie wiemy, czy lisy zachowują się podobnie, ale jest to możliwe. Nie ulega wątpliwości, że są dostrojone do ziemskiego pola magnetycznego. Wykazują znaczną skłonność do skakania w kierunku północno-wschodnim z zamiarem schwywania któregoś z małych ssaków i mają wtedy znacznie większe szanse, żeby je upolować. Skoki w kierunku północno-wschodnim kończą się w 73% śmiercią ofiary; wskaźnik ten wynosi 60% w przypadku skoków na południowy zachód (czyli w przeciwnym do ulubionego) i tylko 18% w pozostałych kierunkach.

Lisy posługują się polem magnetycznym (i jest to jak na razie jedyny taki znany przypadek wśród zwierząt) do obliczania odległości, a nie położenia czy kierunku. To dość istotny aspekt. W naturalnym środowisku lisów istnieje wiele czynników zaburzających ocenę odległości. Prędkość dźwięku zmienia się wraz z wahaniami temperatury i wilgotności powietrza, wypaczając wspomniane obliczenia trygonometryczne. Dźwięk przemieszcza się slalomem między łodygami traw, odbija się od źdźbeł, wnika w grunt i wykonuje hołubce na wietrze. Na trasie uczęszczanej przez norniki rzadko kiedy znajdzie się pomocna kępa trawy, która zakołysze się w charakterystyczny sposób, a nawet jeśli, wiatr często zakryje taki ślad. Zbyt długi albo zbyt krótki skok będzie marnotrawstwem, a lis może nie mieć okazji do jego powtórzenia.

Lis skacze zatem w kierunku odchylonym o stały kąt od linii pola magnetycznego (optymalnie 20 stopni na wschód od północy). Ponieważ zna kierunek, z jakiego dźwięk dociera do jego uszu, mięso musi się znajdować na przecięciu tej linii z linią pola magnetycznego. Pamiętacie pilotów RAF-u, którzy wiedzieli dokładnie, kiedy zrzucić bomby, aby zniszczyć zapory w Zagłębiu Ruhry? Kiedy na powierzchni wody spotykały się snopy rzucane przez dwa reflektory, piloci wiedzieli, że znajdują się w odpowiedniej odległości od zapory i zwalniali ładunek. To samo robią lisy, tyle że funkcję jednego reflektora pełni dźwięk, drugiego pole magnetyczne, a spustem jest gwałtowne rozwinięcie ściągien stawu skokowego oraz setka mięśni wypełnionych krwią, limfą i głodem.

Jak wygląda określanie położenia w tak bezpośredni sposób na podstawie właściwości ziemi? Podobnie jak lisy potrafię określić umiejscowienie źródła dźwięku, poruszając głową. Ale żeby wyczuwać północno-wschodniość wodą

wchodzącą w skład mojego organizmu? Taka umiejętność wyposażałaby każdy krok o nowy kontekst — o powiązanie ze wszystkim innym. Stałbym się wtedy prawdziwym obywatelem całego świata, a nie tego skrawka, który akurat zanieczyszczam w danym momencie.

Siedziałem kiedyś w pubie, przysłuchując się kilku starszkom rozmawiającym o tym, jak to świat schodzi na psy. Młodzież, rzecz jasna, nie była już ich zdaniem taka jak kiedyś, choć dochodziły do tego wniosku z interesującego powodu. Nie chodziło im o to, że młodzi ludzie są leniwi, brudni, rozwiązli, nieuprzejmi czy napruci — choć o tym też wspomniały. Starszki miały na myśli ich nadwrażliwość na pola magnetyczne.

– Bo wiecie, oni uważają, że kościoły i tym podobne są ustawione zgodnie z liniami pola magnetycznego. Powiązane z dawnymi wzgórzami i takie tam.

– Nie może być!

– No mówię wam. Twierdzą, że przez cały kraj przebiegają linie energetyczne i że ludzie w dawnych czasach o nich wiedzieli i budowali na nich różne rzeczy.

– Nie może być!

– No mówię wam. Ciekawe, czy nie siedzę na jednej z nich. Czuję mrowienie w tyłku.

I tak się to ciągnęło. Tyłki i piersi ogarniało mrowienie; bezkształtne spodnie były szyderczo naelektryzowane; wypowiedziane zostały opinie na temat *feng shui* starego kominka z Benidorm. Baby gadały tak do późnej nocy, a ja kupiłem narkotyczne piwo, na które wcześniej nie miałem w ogóle ochoty, i bezskutecznie próbowałem zabrać się na poważnie do lektury *Greenmantle* Johna Buchana.

Wyszzydzane wnuki miały rację: zapytajcie jakiegokolwiek lisa, buszmena, wypróżniającego się psa czy kogokolwiek urodzonego przed mrocznymi narodzinami nowoczesności.

Magnetyzm, wraz z chowaniem zmarłych i sadzeniem roślin, wiąże człowieka z jego planetą. Jesteśmy niczym magnetyczne literki na lodówce: naszą jedyną nadzieją na ułożenie się w jakiś sensowny napis jest trzymanie się na drzwiach. Niewyczulony na magnetyzm człowiek z górnego paleolitu byłby ślepy i pozbawiony stóp. Nie dysponowałby potrzebną ani dokładną wiedzą na temat swojego położenia. A przez to nie miałby pojęcia, dlaczego jest i kim jest.

A przynajmniej tak napisałem z przekonaniem i dziecięcą naiwnością w moim ochlapanym piwem notatniku. Nie byłem ani trochę bardziej magnetyczny od kobiet, którym się przysłuchiwałem. Moi przodkowie, podobnie jak przodkowie staruszek, w ostatnim tysiącleciu odrabiali sobie stopy i wyłupali oczy. Uważałem tylko, że i ja, i staruszki kiepsko na tym wyszliśmy.

Być może przesadzam. Kiedy lis pomaga sobie w polowaniu, wykorzystując dwudziestostopniowe odchylenie od kierunku, w którym znajduje się magnetyczny biegun północny, nie ma to bardziej transcendentalnego charakteru od przekrzywienia nadgarstka przez pingpongistę pragnącego zagrać piłkę z możliwie największym topspinem. Nie jest to jednak mniej transcendentalne. Co pozwala mi stwierdzić, że mimo wszystko nie przesadzam. Sprzężenie między światowej klasy pingpongistą a stołem jest z pewnością czymś absolutnie niezwykłym. Dla mnie ten sam stół jest prostym kawałkiem drewna, a dla zawodnika — sceną, na której mogą się wydarzyć niezwykle rzeczy; ramą, na której można wyhaftować wzór odznaczający się unikalnym pięknem. Jest to możliwe tylko za sprawą sprzężenia między stołem a zawodnikiem.

Tak więc niemagnetycznemu mnie cały świat jawi się w znacznym uproszczeniu, podobnie jak konstrukcja desek będzie uproszczoną wizją stołu używanego na

międzynarodowym turnieju tenisa stołowego. Lisy grają w pingponga całymi dniami i nocami.



Przykościelne cmentarze i brzegi kanałów w tej części East Endu okazały się zbyt zadbane. Żyły tam jakieś norniki, ale trawa była za krótka, żebym potrafił je upolować. Musiałbym popływać żabką w wysokiej trawie, żeby znaleźć ich ścieżki, te chlorofilowe kruźganki. Mógłbym wtedy nad nimi zawisnąć na podobieństwo czyhającej na ofiarę pustułki.

Lis potrafi skoczyć z miejsca nawet na odległość trzech metrów w poziomie, aby przygwoździć do ziemi nornika (to tak jakbym ja potrafił dać ośmiometrowego susa). Ich skoki są ponadto wysokie, prawdopodobnie po to, aby dać im lepsze pojęcie o okolicy — na podobnej zasadzie człowiek polujący na jelenie wychodzi w jakieś wyżej położone miejsce — z tym że lis ma już zlokalizowany konkretny cel na swoim dźwiękowo-magnetycznym ekranie i na ostatnim etapie wprowadza tylko drobne poprawki.

Podczas polowania na norniki nie musiałem wykonywać wysokich skoków. Moje oczy w naturalny sposób znajdowały się znacznie powyżej szczytowego punktu, jaki mógłby osiągnąć nawet najbardziej wysportowany lis. Moje uszy okazały się bezużyteczne. Myszy (a zapewne również norniki) wydają piski w szerokim zakresie częstotliwości, od słyszalnych dla mnie do mieszczących się w paśmie ultradźwięków. Lisy znacznie lepiej radzą sobie z wyższymi częstotliwościami. Najlepiej z częstotliwością 3,5 tys. herców, również dobrze słyszalną dla mnie (ludzkie ucho jest najbardziej wrażliwe na dźwięki z przedziału 1-3,5 tys.

herców, ale lisy są niesamowicie wszechstronne: potrafią precyzyjnie zlokalizować dźwięki z przedziału 0,9-14 tys. herców, a przy 34 tys. herców — częstotliwości dalece wykraczającej poza nasze możliwości, nawet najmniejszych dzieci — trafiają w dwóch trzecich przypadków).

Posługują się następującą techniką: rozpoznanie (żeby wiedzieć, któredy przebiegają krużganki norników); nasłuchiwanie pisknięć; poruszenie głową i/lub uszami, aby dokonać podwójnego pomiaru położenia; w razie konieczności uzupełnienie wyniku nasłuchem niskich częstotliwości, a tym samym łatwiejszych do wychwycenia dźwięków, na przykład szelestu suchych liści; wyznaczenie odległości w polu magnetycznym; skok; wprowadzenie drobnych poprawek na podstawie informacji wizualnych; zabicie.

Moja technika wyglądała tak: rozpoznanie; stanięcie okrakiem nad krużgankiem; wypatrywanie ruchu źdźbeł trawy albo nasłuchiwanie szelestu; gwałtowne rzucenie się na ziemię zakończone lądowaniem twarzą w odchodach nornika; spudłowanie; otrzepanie się; bezskuteczna próba wyjaśnienia swojego zachowania grupce zaniepokojonych obywateli przyglądających mi się z pewnego oddalenia; oddalenie się przed przybyciem policji.

Poświęciłem na to wiele godzin. Stało się to dla mnie prawdziwą obsesją. Nigdy nawet nie zbliżyłem się do osiągnięcia celu, nigdy nawet nie nabrałem większej wprawy. Tylko w pięciu przypadkach na kilkaset prób udało mi się w ogóle zobaczyć ofiarę — wymykającą się arogancko z szyderczą miną. Jedna wręcz się odwróciła. Nie przypuszczałem, że nornik potrafi się szyderczo uśmiechnąć, że jest to w ogóle anatomicznie możliwe. Ten potrafił. Uwierzcie mi.

Życie małych ssaków jest zapisane w alfabecie Morse'a:

kropkami i kreskami. Przemykają po liniach między punktami. Zatrzymują się, drżąc między tymi susami — są to więc raczej średniki, a nie kropki — aby dokonać szczegółowej oceny sytuacji.

Wróciłem właśnie z obserwacji ryjówek na brzegu rzeki. Ryjówki biegną przez dwie sekundy, zamierają na trzy, pędzą przez dwie, przeczekują trzy, i tak dalej. W czasie tych przystanków zastanawiają się, jak pokonać kolejne pół metra zeschniętych liści, a być może też (nie byłby to znów tak duży przeskok), czy im się to w ogóle uda.

Większość drapieżników upodabnia się do swoich ofiar, a przynajmniej przyjmuje ich rytm. Tyle że lisy tego nie robią. Zachowanie lisa nie przybiera formy *staccato*. Potrafi on pozostać sobą w większym stopniu niż jakiegokolwiek inne ze znanych mi zwierząt. Nie czyni ustępstw na rzecz swoich ofiar ani miejsca, w którym się znajduje. Lis z burczących trzewi miasta żyje mniej więcej równie długo co osobnik z bukowego lasu lub gór. Będzie uparcie wyruszał na niepotrzebne polowania i nie umrze na chorobę wieńcową. Będzie wiódł lisi tryb życia, podczas gdy prawdziwym mieszkańcom z gatunku ludzkiego grozi to, że nie będą w pełni ludźmi.

Zachowanie pierwotnego charakteru przez miejskiego lisa zdumiewa tym bardziej, że sporą część życia spędza on z poważnymi obrażeniami — oczywiście potrącany przez samochody. Jest to wynik niezmałconego przekonania, z jaką realizuje on swą lisią naturę: dlaczego miałby uciekać przed tak dziwnymi drapieżnikami? Ulica jest jego domem: dlaczego miałby z niej schodzić? Łoskot i światło nie wzbudzają w nim lęku ani nie skłaniają do ucieczki.

Pewien heroiczny eksperyment wykazał, jak wiele bólu towarzyszy najeżonemu niepokoju i znieruchomiałemu opanowaniu, które składają się na krótkie, choć pełne

blasku życie miejskiego lisa. Bohater tej opowieści zdrapał ponad trzysta martwych lisów z londyńskich ulic i przełożył je w spokojne miejsce, gdzie mogły się nimi zająć muchy i robaki. Po kilku miesiącach (i zapewne wielu zerwanych znajomościach) stwierdził, że 27,5% lisich szkieletów nosiło ślady zaleczonych złamań, powstałych bez wątplenia w większości od pędzących brył żelaza zasilanych rozłożonymi roślinami z lasów karbońskich.

Nie dowiemy się, w jaki sposób psychika lisów radzi sobie z tego rodzaju naruszeniami integralności ich ciał, ale widziałem wiele psów, które w zdumieniu wpatrywały się w roztrzaskane końcówki kości wystające z ich łap. Szybko zaczynają je lizać, jakby czyściły nowonarodzone szczenię. Z tajemnicą zakrwawionego kawałka wystającego z ich ciała radzą sobie w taki sam sposób, jak ze wszystkim, co wraz z krwią wychodzi z ich ciał. Witają go na świecie.

Sam również miałem okazję przyglądać się roztrzaskanym kawałkom moich kości. I nie naszała mnie bynajmniej ochota, aby powitać je na świecie. Rurki tryskały mi w oczy krwią dopóki, nieproszone, same się nie zasklepiły. Przy życiu utrzymują nas nieustannie i wyłącznie rzeczy nieproszone. Jeżeli położymy komórkę pobraną z serca na szkiełku, będzie się kurczyła i rozszerzała zgodnie z ruchami batuty nieżywego dyrygenta, który nie miał nawet pojęcia, że kimkolwiek dyryguje.

Lisów nie rozjeżdżają wyłącznie pojazdy — rozjeżdża je również czas. Trzydzieści pięć procent londyńskich lisów dotykają zmiany zwyrodnieniowe stawów, najczęściej w obrębie kręgosłupa. Sześćdziesiąt pięć procent lisów zaczyna w trzecim roku życia cierpieć na zapalenie stawów kręgosłupa; przypadłość ta występuje u wszystkich osobników z garstki, która dożywa sędziwego wieku sześciu lat. Kiedy przechodzą po płocie niczym nastoletnie

rumuńskie olimpijki na równoważni, zeskakują z żywopłotu na jakiegoś grzywacza, podtaczają się niczym kulka rtęci do królika, ich grzbiety wyginają się w tak nienaturalny sposób, że gdyby były pracownikami biurowymi, orzeciono by im po jakimś czasie trwałą niezdolność do pracy. Muszą tęsknić do godzin dziennych, kiedy położą się znów pod szopką, muszą wyczekiwać zbliżania się nocy z podszytym rezygnacją lękiem — tym samym, który na dźwięk porannego budzika czuje człowiek przedkładający swoją pracę nad dręczącą go rwę kulszową.



Dzień za długim, długim dniem zapadałem pod dachem mojego legowiska w drzemkę, rozpalony, rozdygotany, niespokojny. Nigdy nie czułem się dobrze. Przed oczami miałem taki sam widok, jaki miałby lis, gdyby mieszkał pod tą szopką: rynnę, przez którą świat odpływał szybko w nicość. Wpatrywanie się w pionowy wycinek świata wzbudza w człowieku niepokój. Kiedy unosimy wzrok znad ziemi, przed oczami mamy samą ścianę. Siedzimy w studni: światło skapuje od góry przez niewidzialny prześwit w chmurach i spalinach.

Nie wiemy zbyt wiele o postrzeganiu kolorów przez lisy, ale prawdopodobnie nie widzą czerwonego i zielonego. Tu nie ma to jednak większego znaczenia. Okoliczni ludzie uznali kwiaty za niegustowną przesadę i postawili na szarości — a przynajmniej do takiej palety barw sprowadzają je pod koniec lata wiejące z zachodu wiatry i kroplówka ze słońca.

Kiedy lis, pobawiwszy się przez chwilę z upolowanym nornikiem — na podobnej zasadzie co moje dzieci

przetaczające fasolki po talerzu — odgryza mu głowę, krew wydaje się po prostu ciemniejszym od monochromatycznej trawy odcieniem szarości.

Wyleguję się pod płachtą brezentu, załatwiając pod nią czynności fizjologiczne; spierzchnięty i śmierdzący; obserwując i nasłuchując.

Prowadzona przeze mnie obserwacja nie różniła się zbyt od lisiej. Za dnia lis widzi bliskie obiekty mniej więcej równie dobrze co ja, choć jego oczy potrzebują odrobinę większej zachęty, żeby się czymś zainteresować.

W centralnej części jego siatkówki przeważają nie pręciki, a czopki, które znacznie lepiej radzą sobie z wykrywaniem ruchu niż rozpoznawaniem kształtów. Mały królik, który znajdzie się w południe w polu widzenia lisa może czuć się bezpiecznie, dopóki pozostanie nieruchomy. Uzbrojony w karabin człowiek, podnoszący się powolutku na rękach, będzie miał duże szanse zastrzelić lisa, nawet jeśli jego sylwetka zacznie się malować ma tle jasnego nieba. Zarys myśliwego zostanie przez umysł lisa potraktowany jako część szumu informacyjnego (nie pojawi się tam niepostrzeżenie, ale nie zostanie też dostrzeżony). Zostanie odfiltrowany, a uwagę lisa będą przyciągały tylko nowe erupcje dźwięku.

Za dnia moje oczy lepiej radzą sobie z rozpoznawaniem kształtów, zresztą mój umysł będzie nimi bardziej zainteresowany. Choć dni upływały pod znakiem koszmarnej nudy, mogłem liczyć na więcej rozrywek niż lis. Nie potrzebowałem żuka albo przemieszczającego się szybko cienia, żeby zająć umysł — wystarczała mi szyszka sosnowa, porostowa falbanka albo żłobkowanie w stylu korynckim na żelaznym kuble na śmieci.

Moje okrągłe źrenice zostały stworzone do zachwycania się; do bycia zalewanymi światem; do umożliwiania wszystkim

chętnym zawładnięcia moją uwagą. Tylko za sprawą mojego umysłu, w ciągu ostatnich kilku tysiącleci przyuczonego do płochliwości i konserwatyzmu, który sprawdza dokumenty wszystkim przyjezdnym, do środka wpuszczane są wyłącznie rzeczy znajome i niestwarzające zagrożenia.

Lis przypuszczalnie nie odgradza się od świata tyłoma przeszkodami. Jego wizją rządzi raczej optyka źrenic. W nocy są okrągłe, czyli takie jak moje przez całą dobę: zależy mu wtedy na pozyskaniu wszystkich informacji, jakie może uzyskać z obserwacji lasu albo ulicy. Za dnia lisie oczy są bardziej sceptyczne i wybredne dzięki pionowym szczelinom, które niczym wyprostowani wartownicy skuteczniej odfiltrowują światło. Współpracują z powiekami, aby odmierzyć optymalną ilość widzialnego świata.

Słyszeliśmy z lisem te same rzeczy: wymierzane ciosy (lis zastanawiałby się, czy zyska dzięki nim na kolację jakieś zwłoki); nienaturalnie entuzjastycznie głosy spikerów radiowych; bezcielesne odgłosy siekania, tłuczenia, mielenia, dudnienie, warkoty i brzęki. Wszystkie budziły moje zainteresowanie; żaden z nich nie zaciekawiałby lisicy. Na jej uwagę nie zasługiwało nic znajdującego się znacząco wyżej od jej głowy. Dzięki ewolucji nie musi się lękać drapieżników nadlatujących z góry (najpotężniejszy orzeł nie stanowi dla niej zagrożenia), a padający sporadycznie strzał z okna farmy nie odgrywa aż tak wielkiej roli, aby popchnąć dobór naturalny w stronę wyrobienia lęku przed gromowładnym bogiem mieszkającym w niebie. A zatem zauważyłaby i natychmiast zlekceważyła (z tego rodzaju uważnością, nad którą bezskutecznie pracuję od lat, siedząc po turecku w jakiejś niewygodnej pozycji) delikatne trzaski topoli (my zaczynamy je słyszeć dopiero po jakichś dwóch godzinach), głuchy łoskot rury doprowadzającej wodę do prysznic, zadziorne krzyki i trele szpaków w zlokalizowanej pod

okapem krtani budynku.

Z kolei poruszenie w stercie suchych liści obok kompostownika, które ja potraktowałbym jako delikatny odgłos skubania, dla niej zabrzmiałoby jak paznokcie przesuwające się po bębenu przyłożonym do ucha. Jej uwaga przeniosłaby się ze śledzenia całego otoczenia (a raczej całego otoczenia poniżej poziomu półtora metra) na stertę liści, podobnie jak uwaga mistrza medytacji przeskakuje i zatrzymuje się na oddechu.



Większość czasu poświęconego na bycie lisem spędziłem, zanim jeszcze sam doczekałem się młodych. Sprawiało mi to wtedy frajdę. Teraz byłaby ona jeszcze większa, poza tym zobaczyłbym znacznie więcej. Dzieci zdarłyby mi łuski z oczu, odsłaniając pionowe źrenice. Ludzkie dzieci przypominają młode liski najbardziej ze wszystkich stworzeń. Moje robią sobie nawet składziki jedzenia (za książkami i pod dywanami można znaleźć porcje żelek haribo), czynią to zresztą z tych samych powodów (małe żołądki i apokaliptyczna wyobraźnia, która podprogowo podsuwa im, sprzeczne z jakimkolwiek doświadczeniem, wizje głodu).

Ich pamięć związana z tymi składzikami wydaje się równie dobra, albo równie zła, co u lisów:

„Gdzie zostawiłeś te cukierki?”

Odpowiedzi w pierwszym i drugim tygodniu: „Za wiaderkiem z klockami lego”.

W trzecim: „Za wiaderkiem z klockami lego? Tak myślę. A może za plemiennymi tykwami na penisy?”

W czwartym: „Jakie cukierki? Błagam, powiedz: jakie cukierki?”.

Kiedy jednak były zmuszone do odkopania skarbu, pamięć o jego lokalizacji okazywała się bezpiecznie schowana w ich głowach. W Exmoor zakopaliśmy puszki z fasolą w sosie pomidorowym, a choć były znacznie mniej interesujące od cukierków, dzieci znakomicie pamiętały ich położenie trzy miesiące później, nawet jeśli ich zdolność do przypomnienia sobie, jaka puszka znajdowała się w danym miejscu, spadała do lisiego/cukierkowego poziomu już po drugim tygodniu.

Nie chcę, żeby się zmieniały. Niczego nie mają w nadmiarze, niczego im też do prawidłowego życia nie brakuje. Również pod tym względem przypominają lisy. Lękam się, że przejdą przemianę — a zwłaszcza, że przystosują się do mniej intymnego świata, do świata, w którym nie ma miejsca na wrażliwość.

Obawiam się również, że to samo przydarzy się lisom mieszkającym w mieście. Na szczęście niewiele na to wskazuje. Gdyby miało się to wydarzyć, prawdopodobnie już teraz obserwowalibyśmy oznaki zmiany. Genetyka i ewolucja tworzą razem sprawną i potężną maszynę. Mimo to lisom nadal grozi niebezpieczeństwo. Kiedy w warunkach hodowlanych zaczęto u nich faworyzować przyjazny stosunek do ludzi, po zaledwie czterdziestu pokoleniach te oziębłe, powarkujące kłębki wrogości zaczęły przyjaźnie szczekać, machać ogonami i tchórzliwie skomleć na widok zbliżających się ludzi, po czym zabierały się do lizania im dłoni.

Niech Bóg albo Darwin strzegą moje dzieci od podobnego chowu.



Nienawidzę kotów. Naprawdę ich nienawidzę. Nie jest to obojętna niechęć, jaką powinien odczuwać każdy, kto lubi ptaki, małe ssaki i ceni sobie więzi emocjonalne. Żywię do nich nienawiść zaciekle, całkowicie nieproporcjonalną do wyrządzanych przez nie szkód, do tego pogłębiającą się z każdym rokiem.

Nikt tak naprawdę nie lubi kotów jako takich. Są to zwierzęta ze swej istoty antypatyczne: próżne, chłodne i okrutne. Aby polubić kota, trzeba z niego uczynić istotę, którą zwyczajnie nie jest. Trzeba przebrać go w szaty ukochanej osoby, kierowniczkę poczty albo kumpla z czasów szkolnych. Najlepsze, co może się przydarzyć kotu, to trafić w ręce koszmarnie złego wypychacza zwierząt.

Nie życzę im źle: po prostu wolałbym, żeby ich nie było. Jestem zadeklarowanym zwolennikiem usuwania ich narządów rozrodczych. Wielkie rozczarowanie budzi we mnie fakt, że tylko 0,4% odchodów oksfordzkich lisów zawiera drobinki kociego futra — do tego w większości zapewne pochodzącego z martwych osobników zabitych na drogach.

Smród kociego moczu doprowadza mnie do szału. Nie mam pojęcia, co było pierwsze: nienawiść do kotów czy nienawiść do ich uryny, a teraz nie potrafię rozdzielić tych uczuć. Kiedy zatem jakiś kocur obsikał plandekę tworzącą zadaszanie mojej lisiej nory, w mojej głowie zaczęły się dziać straszne rzeczy.

Położyłem na płachcie udko kurczaka, wszedłem pod spód i zacząłem się wiercić. Nie minęło wiele czasu, a poczułem, jak kot wspina mi się na plecy. Kurczak spoczywał akurat na wysokości mojego ramienia. Chciałem stłamsić to bezczelne opanowanie. Odczekałem do momentu, kiedy kot

zatopił zęby w udku, po czym wystrzeliłem w górę z wezuwiuszowym rykiem. Rozległ się miły dla ucha pisk. Kot podskoczył i czmychnął z neurozą, której nie powinna podołać nawet najlepsza kocia psychoterapia poznawczo-behawioralna.

Pognałem za nim przez trawnik ku skrajowi tego, co nazwano szumnie ogródkiem. Przeskoczył nad stertą desek. Ja za nim. Pokonał kolejną przeszkodę — wielką donicę. Ja również. Wskoczył na płot i zaczął po nim biec. Zrobiłem to samo. Poruszał się z gracją baletmistrza. Ja niekoniecznie.

Zsunąłem się między mur i szopę i pochyłony zacząłem przeklinać, ciężko dysząc. Stałem tam dobrą minutę. Wreszcie podniosłem wzrok i spojrzałem w pionowe źrenice na spiczastej rudej głowie oddalonej o półtora metra. Udko kurczaka wysunęło się z kącika jej pyska; wyglądało zupełnie jak krótkie cygaro. Wytrzymała moje spojrzenie: nie ulegało wątpliwości, że to ona wytrzymała moje spojrzenie, a nie ja jej. Chwilę potem uwolniła mnie spod swojego czaru i odeszła powolnym krokiem ku narożnikowi ogródka i zniknęła za furtką, której tam nie było.



Lisy na jakiś czas oddały mi klucze do Londynu. Gdybym poprosił, dostałbym od nich więcej. Zachowałbym się jednak chyba nie w porządku, gdybym naciągał je na coś jeszcze. Lisy mają ciekawsze rzeczy do roboty podczas tych kilku lat, które wydziela im statystyka. Cóż takiego mogłem im zaoferować? Nie potrzebowały ani mnie, ani produkowanych przeze mnie odpadów, ani mojego współczucia, ani moich fantazji na temat zbliżenia z dzikimi zwierzętami. Poczucie

zbędności oraz wspomnienie uśmiechniętych oczu nad kurczakowym cygarem przepełniły mnie nadzieją — jedyną, jaką mam — że wszystko będzie dobrze.

[\[5\]](#) Oczywiście myliłem się w sprawie stężenia pośmiertnego. Martwe robaki wskazywały, że musiało ono ustąpić na długo wcześniej.

[\[6\]](#) Ps 115 (przyp. tłum.).

5. ZIEMIA

Jeleń szlachetny





Jeleń szlachetny został zaprojektowany po to, żeby stać się obiektem polowań wilków.

Być wilkiem to nic trudnego. Oto, jak tego dokonałem.

Przede wszystkim przyszedłem na świat w społeczeństwie, które bęczy: „Nabywanie jest dobre, wyzbywanie się złe”. Następnie poszedłem do szkoły, która miała dość tupetu, aby zorganizować obowiązkowe zajęcia poświęcone liberalizmowi gospodarczemu zatytułowane „Bogactwo wspólnoty”. Tam też we wtorkowe popołudnia spoglądaliśmy przez celowniki karabinów Lee-Enfield z czasów drugiej wojny światowej na nacierających na nas komunistów i otrzymywaliśmy efektowne odznaki za trafienie ich prosto między oczy.

Potem trafiłem na uniwersytet o wielowiekowej tradycji, o czym informowały nas kamienne mury, a czasami również jakiś pijany wykładowca, ponieważ za sprawą naturalnego prawa antygravitacji w każdym pokoleniu wybitne jednostki wybijają się ponad ogół i, zadając się eugenicznie ze sobą, produkują kolejne wybitne jednostki, których zadaniem jest powielanie tego schematu. I tak już zostanie, póki świat nie zapełni się chwałą Adama Smitha jak woda pokrywa głębiny morza^[7]. Po sześciu miłątkich latach zostałem zaproszony na wytrawną sherry w obitym dębiną pokoju z widokiem na Cambridge. Odziany w czarną togę członek Towarzystwa Królewskiego poprosił nas o zajęcie miejsc.

„Panowie, wkrótce opuścicie Cambridge. Być może prawdą jest, że łagodni odziedziczą ziemię^[8], ale ja mam dla was

jedną radę: póki nie dokonają czegoś, co uczyniłoby ich realnymi pretendentami do tego tytułu, wdepczcie ich w ziemię”.

Wyposażeni w ten okrucz mądrości wyruszyliśmy w świat. Albo, w moim przypadku, wymknęliśmy się chyłkiem — ukonstytuowani jako wilki, ale nieprzekonani do tej roli.

Trzeba rewolucji, żeby zmienić konstytucję, a ja długo nie miałem na to zupełnie czasu.

Wyposażyłem się w narzędzia, które pozwalały mi nadal kroczyć pod sztandarem wilka: skalpy zdobyte na polu zawodowym, dokumenty, dziewczyny i broń. Ale nade wszystko oznaczało to podróżowanie we wrześniu wagonem sypialnym z londyńskiej stacji kolejowej Euston do Inverness albo do Fort William w Szkocji.

Uwielbiałem to. Nadal to uwielbiam. Jest coś satysfakcjonującego w apartheidzie obowiązującym w wagonie restauracyjnym. Ponieważ ze względów bezpieczeństwa nie powinno się zostawiać karabinu w przedziale sypialnym, trzeba go mieć przy sobie, kiedy, zjadając się odgrzanym w mikrofalówce haggisem, spoglądamy z wyższością na nieuzbrojonych turystów dziubiących sałatki. Między nami, myśliwymi, wytwarza się głębokie falliczne poczucie wspólnoty: nasza pogarda dla innych przewyższa nienawiść i nieufność, jaką odczuwamy do siebie nawzajem. Unosimy brwi, kiedy jakiś ambitny, choć wyraźnie nieobyty, prostak prosi o Glenfiddich (ponieważ przeczytał o tej whisky w magazynie rozdawanym pasażerom samolotów), a nie o island malt. Milcząco szydzimy między sobą z ich praktycznych nieprzemakalnych płaszczy, lekkich oddychających spodni, łatwych do zawiązania butów, a zwłaszcza ich żarliwości. Wszyscy oni mają wyciągnięte mapy. Wklepują współrzędne do GPS-ów i obliczają odległości między szafasami w górach. A my? My

nie potrzebujemy nawigacji. Chodzimy tam, gdzie nam się, do cholery, podoba, i zabijamy te jelenie, które, do cholery, mamy ochotę zabić. Nie przyznajemy się przed sobą, że nie zabieramy map, ponieważ zostaniemy zaprowadzeni na konkretną górę przez zawodowego myśliwego, który gardzi nami znacznie bardziej, niż my potrafilibyśmy gardzić tymi życzliwymi, odważnymi, samowystarczalnymi turystami, którzy zapewne potrafią ukończyć triathlon w czasie, który nam zajęłoby wypicie szklanki koszmarnie drogiego piwa w pubie White Horse w londyńskiej dzielnicy Parsons Green. Ale to przecież my jesteśmy wilkami, a oni jeleniami. To my zjadamy ich. Całe szczęście, że przystali na swoją rolę i wcinają szpinak.

Kiedy wczesnym wieczorem pociąg wjechał w północną część Anglii, turyści potruchtali korytarzami do swoich przedziałów, żeby udać się na spoczynek. Bardzo mądrze: nigdy nie wiadomo, kiedy będą musieli uciekać przed którymś z nas.

Zanim położyli się do łóżek, sytuacja w pociągu wyglądała prosto: my byliśmy wilkami, a oni zwierzyną łowną. Teraz jednak wymieniamy spojrzenia z innymi drapieżnikami; przywódcami stada, kandydatami na przywódców stada i tymi, którzy się zawsze podporządkowują. O, ten ma nowiutki futerał na broń; na pewno nie uczestniczył w wielu polowaniach. Nie będzie w stanie wycelować w serce jeleniego byka przez te sowe okulary, gdy nad lasem zapadnie mgła. No a spójrzcie tylko na te ramiona: nie ma mowy, aby utrzymały nieruchomo karabin po trzech godzinach oczekiwania na mrozie, aż jelen podniesie się z ziemi. Tamta dziewczyna wygląda nawet dość ładnie, ale wydaje się zbyt wykwintnie uczesana, żeby zasłużyć na powtórne zaproszenie do stolika w naszym domku myśliwskim. Idę też o zakład, że nie potrafi śpiewać, grać,

deklamować ani w inny sposób zasłużyć na miejsce w salonie w czasie poobiedniego relaksu.

Ale nie sposób się tak bez końca oszukiwać. Zazwyczaj w kącie siedzi jakiś małomówny człowiek o ironicznym spojrzeniu, popijający wodę i herbatę, z mocno poobijanym karabinem u boku, ubrany w spłowiałe rzeczy, z butami pustynnymi postawionymi bezczelnie na siedzeniu obok, czytający Sofoklesa w oryginale. Który wyraźnie nie miałby nic przeciwko temu, żeby mnie zabić i zjeść.

Po dojechaniu do szkockiego Fort William różnice między wilkami uległy już całkowitemu zatarciu pod obracającymi się kołami pociągu. Wyróżnia się jeszcze tylko naturalna arystokratyczność uśmiechniętego miłośnika Sofoklesa, równie niewzruszona co majestat gór. Zostajemy wypłuci z pociągu i wepchnięci — sparaliżowani i wystraszeni — do starych land roverów.

Ponieważ wilk wilkowi nierówny, rozjeżdżamy się do różnej klasy domków myśliwskich. Niektóre (warto skojarzyć je sobie z Niemcami, Amerykanami i skomplikowanymi, zredagowanymi przez pośredników umowami najmu) mają dywany w szkocką kratę, tapety, podjazdy wysypane eleganckim żwirkiem, płaskie telewizory i sos pieczeniowy. W innych można znaleźć szafkę na sery, beczkę piwa w kuchni, ogrzewaną drewnem suszarnię i łój. Na polowania (dzięki ci, bogini Diano!) wyruszałem tylko z domów myśliwskich drugiego rodzaju.

Śniadania są bezpretensjonalnie i stosownie do okoliczności mięsne. Potem uczestników może czekać rejs łodzią po jeziorze na jakąś odległą plażę, aby rozpocząć pobyt od upolowania jakiegoś amfibiotycznego zwierzęcia (które oczywiście określaliśmy między sobą właśnie tym mianem), wycieczka podskakującym na wybojach samochodem na drugą stronę góry, gdzie wiatr wieje

z bardziej sprzyjającego kierunku, albo przyczajenie się w okolicznym zagajniku i czołganie się w chaszczach leżących w zasięgu wzroku od kuchennego okna chaty.

Jako wilk zabiłem moimi eksplodującymi zębami wiele jeleni. Nie mam pojęcia, ile. Nie prowadziłem zapisków. Czasami nabierałem przekonania, że jeśli zacznę prowadzić kronikę tych dni, jeśli utrwale je sobie w pamięci, będę mógł do nich nieustannie powracać, co uniemożliwi mi pełne przeżywanie kolejnych, bieżących dni. Kiedy indziej dochodziłem do wniosku, że relacja będzie z założenia tak zasadniczo odbiegać od istoty opisanych wydarzeń, że nie warto w ogóle poświęcać temu czasu.

Tyle że nie do końca rozumiałem, na czym tak naprawdę polega ta istota. Nadal tego nie rozumiem. A jednak nawet wtedy odczuwałem pewien wstyd. Nie dlatego, że grałem nie fair — dzięki celownikowi teleskopowemu powalałem zwierzę z odległości trzystu metrów, choć nigdy nie zdołałbym upolować go włócznią. Nie chodziło o sam fakt zabijania, jako że przepisy dotyczące danego obszaru myśliwskiego i tak nakazywały odstrzelać określonej liczby jeleni. U podłoża wstydu leżała relacja, a przez to poczucie bliskości, oraz wspomniane trzysta teleskopowych metrów. Dopuszczałem się czegoś okropnego, intymnego i niewykonalnego: kształtowałem ekosystem. Kładłem kres jednemu i zapoczątkowywałem drugie. A przecież nie brałem nawet w swoje ręce odpowiedzialności za moje poczynania: palec na spuście nie jest ręką. Nie przyjeżdżałem tam, aby zobaczyć, co się dzieje, kiedy kula przelatuje zygzakiem przez klatkę piersiową, odbijając się od żeber i rozdzierając żyły. Nie przyjeżdżałem tam, aby przeproszać; aby wyjaśniać; aby brać na swoje barki brzemień żalu, które jest również brzemieniem euforii. Jeleń powstał, aby budzić lęk i zachwyty. A ja go beztrąsko, lekką ręką, powalałem.

Niszczenie jest aktem bezbożnictwa (a przynajmniej tak chyba rozumowałem). Zaczynam rozumieć, dlaczego zasady koszerności przechowują w swym krwawym horrorze stare, ahistoryczne przekonanie, że kiedyś wszyscy byliśmy wegetarianami i żyliśmy w relacji z innymi zwierzętami, których potrzebowaliśmy do własnego rozwoju. Stojąc na wzgórzu przy powalonym jeleniu, znajdowałem się w stanie równie wielkiego teologicznego dygotu co chasyd, który zjadł właśnie miskę kaszanki. Czułem się podle i nie chciałem napakować sobie szuflad nieprzyzwoitymi, upozowanymi zdjęciami, z których miałbym się w przyszłości podśmiewać.

Ponieważ nie pisałem pamiętnika, dysponuję jedynie mglistymi wspomnieniami z podchodzenia zwierząt; chimera splecioną z wielu nici, z wielu gór. Wiem tylko, że nici tworzące opowieść o jeleniu szlachetnym pochodzą wyłącznie z doświadczeń związanych z tym właśnie zwierzęciem: nie znajdziecie wplecionych między nie saren, zebra, antylopy gnu, sasebi zuluskiego ani bawolca krowiego. Stwierdzenie odwrotne nie byłoby prawdziwe. Na skórze zebry znajdziemy kilka szorstkich brązowych włosów ze szkockiego jelenia górskiego. Jelenie szlachetne to wyjątkowe zwierzęta. Są w większym stopniu sobą niż inne zwierzęta kopytne, które zabijałem. Bardziej zazdrośnie strzegą wyjątkowości swojej śmierci.

Oto jak wygląda podkradanie się do jelenia szlachetnego (pominawszy kluczowe szczegóły związane z żądzami, lunchami i oczywiście niecelnymi strzałami).

Stajecie przed tarczą, za którą leży stos worków z piaskiem. Chudy gość w tweedowym ubraniu przygląda wam się sceptycznie, dopóki nie pokażecie mu, że potraficie wpakować trzy kulki w okrąg o średnicy pięciu centymetrów znajdujący się w odległości dwustu metrów. Jeżeli wam się nie uda, zostajecie odesłani prosto do pociągu. Wasza dalsza

egzystencja nie ma sensu, a wasze życie, jeżeli w ogóle miałyoby dalej trwać, nigdy nie będzie takie samo. Nie jesteście drapieżnikami.

Jeżeli potraficie celnie strzelać, chudy gość kiwa głową, wkłada karabin z powrotem do pokrowca, po czym ruszacie razem w kierunku góry. Ulga związana z zaliczeniem testu sprawia, że macie ochotę na towarzyską pogawędkę. Nie będzie to mile widziane. Może i okazaliście się drapieżnikami, ale na razie zajmujecie miejsce na najniższym szczeblu hierarchii stada.

Zresztą chudy myśliwy nie próżnuje. W czasie marszu rozgląda się po zboczach góry. Wy również, ale to nie to samo. Wyteżacie wzrok i staracie się omiatać nim jak największy teren. Czasami przystajecie, pochylacie się do przodu, żeby spojrzeć na pofałdowaną ziemię przy cyrku lodowcowym, ale niczego nie dostrzegacie.

Zatrzymujecie się. Myśliwy wyjmuje lornetkę. Robicie to samo. Spoglądacie przez nią na zbocze góry. Myśliwy mówi: „Dwa ładne byki, ale przed nimi stoi stadko łani. Nie udałoby nam się do nich podejść”. Kiwacie głową, udając, że również je widzicie. Myśliwy zrywa garść trawy i rzuca ją w powietrze, żeby sprawdzić, skąd wieje wiatr. Ponownie przygląda się zboczom góry przez lornetkę i cmoka. Siada na kępie trawy, wyciąga mosiężną lunetę, przystawia ją sobie do oka i opiera na kolanie.

– U podnóża rumowiska stoi samiec — stwierdza. — Mogłoby nam się udać go podejść.

Tak oto rodzi się — choć nie zostaje na razie wypowiedziany na głos — skomplikowany plan. Wchodzicie do żlebu prowadzącego na grań. Wiatr wieje od strony jelenia, pozostajecie niewidoczni, więc ten etap powinien przebiec sprawnie. Pogoda może się w każdej chwili popsuć; jelenia może spłoszyć cokolwiek.

Musicie opuścić żleb przed osiągnięciem grani. Stara łania, która stoi na czatach, śledzi nieustannie w swojej głowie kształt linii horyzontu, na podobnej zasadzie jak wy przysłuchiwalibyście się jakiejś melodii. Zwrócilibyście uwagę na pojedynczą fałszywą nutę czy nawet odrobinę zniekształcony akord. Podobnie ona. Wychodzicie zatem z okopu i wkraczacie na ziemię niczyją. Nie zachodzi jeszcze potrzeba, aby pełzać. „Ale trzymaj się nisko”, nakazuje myśliwy, więc stąpacie powoli zgięci w pół. Myśliwy przystaje; wpadacie na niego, ponieważ szliście tuż za nim, za wszelką cenę pragnąc się przypodobać. Wyciąga rękę za siebie i chwyta was za kurtkę, przytrzymując za sobą. Łania podnosi głowę i spogląda w jego stronę. Nie wygląda na zadowoloną. Wpatruje się w myśliwego przez pełną napięcia minutę. W końcu opuszcza głowę i wraca do skubania trawy. Myśliwy tkwi w bezruchu. I słusznie: kilka sekund później łania ponownie podrywa głowę i spogląda prosto na was. To stara sztuczka. Pierwsze spojrzenie jej nie usatysfakcjonowało. Łania ma nadzieję, że jeżeli faktycznie czai się tam jakaś podejrzana istota, zacznie się znów poruszać i zostanie przyłapana podczas ponownego uniesienia głowy. Z podobną sytuacją mamy do czynienia kilkakrotnie w drodze ku rumowisku. Musicie w porę dostrzec ruch szyi i znieruchomieć, zanim łania skieruje na was oczy.

Jeleń skubie spokojnie trawę u podnóża zbocza. W kwestii bezpieczeństwa polega na samicy. Mniej więcej w odległości trzystu metrów od niego znajduje się obszar porośnięty wysoką trawą. To szczęście w nieszczęściu: może zapewnić wam osłonę na ostatnim etapie podkradania się, ale istnieje ryzyko, że odchyli tor lotu kuli. Na trzystu metrach dzielących was od trawy nie ma praktycznie niczego, co zapewniałoby osłonę.

Kładziecie się płasko na brzuchu, szorując genitaliami o ziemię. Wiele jeleni zostało uratowanych przez dumne, nieposłuszne tyłki myśliwych. Celem jest poruszanie się w tempie dryfu kontynentalnego, ponieważ jeśli sam jeleni podróżuje w tym samym tempie na swojej płycie tektonicznej, nie zostaną aktywowane jego detektory ruchu.

Poszukujący padliny kruk dostrzega was i zaciekawiony obniża lot. Zauważa powolny ruch waszej dłoni i skręca. Łania dostrzega zmianę toru lotu kruka. Nie podoba jej się ta zmarszczka na spokojnej powierzchni świata. Unosi głowę i nieruchomieje, podrywając w ten sposób głowy pozostałych łani niczym lalkarz. Zapośredniczona obawa nie dorównuje intensywnością własnemu lękowi. W przyjaznym wietrze pozostałe głowy opadają dwie minuty później, ale ta stara suka nie daje za wygraną. Gapi się prosto na was. Błagam, czy ktoś mógłby jej przemówić do rozumu, powiedzieć, że ziemia też oddycha? Spuszczacie wzrok, podejrzewając, że zauważy ruchy waszych powiek; po chwili ponownie na nią spoglądacie. Unosi głowę jeszcze wyżej, jej nozdrza się rozszerzają. Być może wasz zapach odbił się od jakiejś skały i spłynął w dół zbocza. Mija cała wieczność, zanim nozdrza opadają, a głowa zostaje opuszczona. Łania wraca do skubania trawy, ale zmieniła ułożenie swojego ciała w taki sposób, że stoi przodem do was.

Dajecie jej kolejnych pięć minut, a potem zaczynacie sunąć do przodu w tempie mniej więcej jednego cala na stulecie. W takiej sytuacji trzeba wykonać prosty rachunek, porównując ryzyko związane z poruszaniem się w szybszym tempie z ryzykiem, że zmieni się wiatr. Wystarczy, że jego kierunek odchyli się o dziesięć stopni albo skręci nad potokiem, a łania was namierzy i nigdy nie podejdziecie upragnionego samca. Wiatr, niczym bila odbijająca się od bandy, zachowuje się w nieprzewidywalny sposób. Gra toczy

się teraz o wasz zapach, który opada kaskadami, odbijając się od krawędzi łuz górskiego zbocza. Wiem, wiem, poprzednie zdanie nie miało sensu, ale mam to gdzieś: tutaj chodzi o życie i śmierć, a jeżeli nie pomieszymy metafor, nigdy nie opiszemy tego w odpowiedni sposób. W tej grze istnieje tyle niewiadomych, że zabijecie tego jeleniego byka tylko wtedy, gdy pozwoli wam na to Bóg. Tylko nie potraktujecie tego przypadkiem jako świadectwa jakiejś szczególnej łaski.

Łania unosi głowę; łania opuszcza głowę; podnosi, opuszcza. Nie ma znaczenia to, co robicie albo czego nie robicie. Jeżeli jelen ma zginąć, to zginie. Za późno na modlitwy; nie pomogą ani wam, ani jemu, zresztą w tym świecie i tak nie działają. Choć nie, wasze działania nie są całkowicie pozbawione znaczenia: możecie zrobić coś, co zabol. To jedyna waluta, za którą można tu coś kupić. Przyciskacie zatem policzek do kamienia, aż czujecie, że nie została na nim ani odrobina skóry, co pozwala wam do pewnego stopnia oczyścić umysł, a co najważniejsze, ta suka przestaje podnosić głowę. Sto metrów do poletka trawy, gdzie wszystko się wreszcie wydarzy. Jakże miło będzie się tam znaleźć. A jednak, o dziwo. macie nadzieję, że łania was zwietrzy. Lepiej nie musieć strzelać, niż spudłować, a przecież na pewno spudłujecie: macie skostniałe palce, nie jesteście dostatecznie dobrzy. Mówiąc „dobrzy”, nie macie na myśli tego, że nie jesteście dobrzy w strzelaniu, ale że nie jesteście „dobrzy” w sensie moralnym. Spójrzcie tylko na tego bysiora: na grubość jego szyi. Wszystko zawsze rozbija się o szyję. Potem spoglądacie na swoje białe nogi, odsłonięte w miejscu, gdzie skały ściągnęły wam skarpetki. Jesteście żałośni, a przez tę żalosność zarazem niegodni. Białe nogi nie zasługują na to, żeby powalić taką szyję. Są cienkie i białe, ponieważ nie dokonały żadnego

bohaterskiego czynu, a nie dokonały żadnego bohaterskiego czynu, ponieważ są cienkie i białe, tymczasem tu, mój drogi chłopcze, obowiązuje następująca etyka: albo dokonałeś homeryckich czynów, albo jesteś nikim.

Dotarliście do trawy. Nie wiązało się to z wystarczającymi cierpieniami, żeby dać wam prawo za zabijania. Po drodze przeżyliście chwilę radosnego uniesienia, które teraz zniosą kulę na bok. Podpieracie się na łokciu. Zamek karabinu wydaje ogłuszający trzask. Wszystko między wami a Inverness podskoczyło z przerażenia. W komorze spoczywa lśniący pocisk. Lepiej nie odbezpieczać karabinu, pobliska gałązka wrzosu mogłaby uruchomić spust. Broń wędruje na ramię. Jeleń zmienia pozycję. Stoi za bardzo tyłem. Z tego miejsca moglibyście co najwyżej odstrzelić mu nogę albo zmasakrować bebechy. Karabin wraca w dół. Lepiej nie myśleć, co będzie, jeśli jeleń się położy, a jest to całkiem prawdopodobne. Ale wiatr i gwiazdy zmieniają się i suka staje się nagle waszym sprzymierzeńcem. Robi się nerwowa, a to jest zaraźliwe. Wygląda na to, że zamierza się stamtąd zbierać. Opuszcza zad, żeby wyskoczyć w górę i dać nogę. Nawet ten wyluzowany, zblazowany bysior to zauważył. Odwraca się.

Ponieważ wasze skóra i krew pozostały z tyłu na jakimś kamieniu, a była to wystarczająca ofiara, i ponieważ na szczęście nie macie czasu do namysłu, wszystko staje się proste. Karabin na ramię; zwalnicie bezpiecznik; przesuwacie celownik po prawej nodze w górę; a kiedy tylko widzicie klatkę piersiową, wciskacie, mocno, mocno i nie przestajecie wciskać. Wciskacie tak długo, aż wpakuje się w lewą komorę. Nie pokona całej drogi w powietrzu, jeśli przestaniecie wciskać. To zupełnie tak, jakbyście chcieli pochwycić serce jelenia. Nagiąć je do swojej woli. Wabicie je, powoli i stanowczo.

Rozlega się głuchy odgłos, jeleni lekko się zachwiał. Nie widać, żeby wydarzyło się coś szczególnego, ale z komory została sieczka, a kula, znudzona sercem, poleciała sobie dalej. Jeleń kaszle. Wydaje się to nieadekwatną reakcją. Ostatecznie w jego życiu nie zdarzyło się nic bardziej znaczącego. Powinien zdobyć się na coś więcej niż prozaiczne, zwyczajne kasznięcie.

Jeleń zaczyna biec. I ta reakcja wydaje się niegodna: ucieczka naprawdę nie ma sensu. Trzeba się zmierzyć z nową rzeczywistością, a jakież miejsce lepiej się do tego nadaje niż to: z chmurami burzowymi gromadzącymi się w dole nad morzem, z krukiem skręcającym w nadziei na porcję jelit, z wiadomościami o piątej rozbrzmiewającymi właśnie w radiu w pozostawionym gdzieś na dole w land roverze? Wystające z wrzosów poroże przypomina bardziej drzewa niż miecze. Kiedy podchodzi, na jego oku siedzi już mucha. „Nieźła robota”, mówi myśliwy, a jeśli zachowaliście choć resztki przyzwoitości, nie macie pojęcia, co ma na myśli.

Nie pozujecie do zdjęcia — ja i martwe zwierzę, które niby jest lepsze ode mnie, tyle że tu akurat leży martwe, a ja, o dziwo, nie. Nóż, którego wcześniej nie zauważyliście, zagłębia się w ciele jelenia i wnętrzności wysuwają się niczym tłusty, parujący wąż. Będą się nadal wiły, kiedy zaczniecie schodzić, by wziąć kąpiel, zapominając już, na czym naprawdę polegało to doświadczenie i przekładając wydarzenia dnia na opowieść, którą podzielicie się z innymi przy obiedzie.

Kiedy rozlega się gong na obiad, jeleni jest martwy. Nigdy tak naprawdę nie żył, a ty, przyjacielu, stałeś się prawdziwym drapieżnikiem, cudownie osamotnionym na swoim końcu łańcucha pokarmowego; usadowionym w jasnych promieniach słońca na chwiejącym się szczycie

ekologicznej piramidy. Amator Sofoklesa siedzi obok, uśmiechając się i bijąc ci z wolna brawo.



W parku narodowym Exmoor żyje prastare stado liczące około trzech tysięcy jeleni szlachetnych. Znajdziemy tam również specjalne psy służące do ich zagania.

Dojechałem pociągiem do Taunton w piątek, spędziłem niespokojną noc, zastanawiając się, jak sobie poradzę z obolałą szyją, wstałem o świcie, dosiadłem ogromnego konia w wypłukanej przez deszczę zatoce przy drodze i ruszyłem przez wrzosowisko za dźwiękami rogu, zbyt zaaferowany, żeby się czegokolwiek bać.

Mniej więcej raz dziennie ogary osaczają jakiegoś jelenia nad rzeką, gdzie zostaje on następnie zastrzelony. Każdy centymetr dwudziestokilometrowej przejażdżki przypominał mi, co to znaczy być dzieckiem. Różnica między moim wzrostem jako sześciolatka a obecnie wynosiła tyle samo co między moim obecnym wzrostem a wysokością, na jakiej znajdowałem się na grzbiecie konia. Kolcolisty i wrzosy wydawały się obrzmiałe i psychodeliczne za sprawą krążącej w moich żyłach serotoniny. Wszystko rodziło się na nowo z każdym chwiejnym krokiem tej szaleńczej wordsworthowskiej rzeźni. Drżący dźwięk rogu dobiegający z dna doliny porośniętej niczym łono trójkątną połącią lasu obwieszczał: „Huuuuuuuu. Nie żyje. Nie żyje. Nie żyje”. „Żebyśmy my mogli żyć”, nadeszło echo odbite od mokrych skał. Wszystko to było niesamowicie skomplikowane: ta śmierć i seks, i dzieciństwo. Staralem się nad tym za długo nie zastanawiać.

Gdzieś między tamtymi wydarzeniami a dniem dzisiejszym zacząłem sobie powoli zdawać sprawę z istoty czasu; z ilości czasu potrzebnej człowiekowi, żeby się zmienić, żeby wyrobić sobie nowe nawyki; ze stosunku intensywności doznania do jego pozornej długości. W pociągu telepiącym się do Oksfordu zacząłem prowadzić — na odwrocie artykułu poświęconego moralnemu statusowi ludzkiego embrionu — jakieś dziwaczne moralne obliczenia. Mimo że niewielka część jeleni dożywa dwudziestego roku życia, piętnaście lat należy w ich przypadku uznać za przyzwoity, podeszły wiek. Powiedzmy zatem, że te piętnaście jelenich lat jest odpowiednikiem osiemdziesięciu ludzkich. Rok ich życia odpowiada zatem 5,33 ludzkim latom. Uznajmy więc, że jeleni wiedzie, lekko licząc, pięciokrotnie intensywniejsze życie od człowieka na jednostkę czasu: oznacza to pięciokrotnie większą uważność na otaczający go świat, w czym uwzględniamy względnie krótką długość snu u jeleni. To oznacza, że... Nie miało to sensu. Zmiałem kartkę i ją wyrzuciłem. Pozostałem z nieokreślonym, pozbawionym jakichkolwiek podstaw przekonaniem, że jelenie szlachetne biją mnie na głowę i że, aby żyć dłużej, powinienem brać z nich przykład: wstawać wcześniej, przechadzać się nocą po lesie i wrzosowisku. Wniosek może niezbyt składny, ale dość praktyczny.

Ponieważ doszedłem do wniosku, że jeleni szlachetny wiedzie ode mnie intensywniejsze życie, powinienem zapewne odczuwać silniejszy konflikt wewnętrzny jako drapieżnik. Powinienem być dojść do wniosku, że zabijanie jeleni jest moralnie bardziej naganne, niż mi się to wydawało. Nie doszedłem do takich wniosków, ponieważ nikt, ze mną na czele, nie jest konsekwentny w sprawach moralnych i ponieważ za dobrze się bawiłem.



Nie nawróciłem się na swojej drodze do Damaszku, kiedy wpatrywałem się w postrzeloną przeze mnie łanię, której krew tryskała z nosa na śnieg i która próbowała dołączyć do swoich bliskich ukrytych w lesie; ani kiedy zobaczyłem, jak uciekająca łania próbowała podsadzić pyskiem swoje dziecko na kępę paproci, żeby nie znalazły go tam psy gończe; ani kiedy oczekiwano ode mnie zachwytów nad fotografią rozpromienionego prostaka klęczącego obok jelenia królewskiego z gór Szkocji, którego dwukrotnie zranił i którego musiał dobić zniesmaczony myśliwy; ani kiedy przeczytałem o mieszkańcach Porlock, którzy w dniu polowania stawali na łodziach, aby z nich chwytać na łąso i podcinać gardła pływającym jeleniom; ani kiedy piłem stary rocznik burgundzkiego wina do obiadu w chacie myśliwskiej, próbując, nieskutecznie zresztą, poczuć się bohaterem po szczęśliwie celnym strzale; ani kiedy leżałem opatulony gęsim puchem, czując na sobie spojrzenia oprawionych w złote ramki patriarchów w pumpach do kolan, wsłuchując się w deszcz bębniący zapewne również w zad tego jelenia na zboczu góry, którego wyruszyłem upolować, posiliwszy się na śniadanie potrawką z ryżu, ryby i jaj.

Wszystkie te chwile pomogły mi w nawróceniu, ale nie w takim stopniu, w jakim powinny. Tak naprawdę decydująca okazała się polityka. Musiałem zobaczyć, że ludzie również bywają ofiarami, żeby zrozumieć, że w zabijaniu zwierząt może być coś złego. Dopiero kiedy zobaczyłem dzieci tratowane przez akcjonariuszy albo ranione i pozostawiane na pewną śmierć przez prezesów firm, śmierć podkradającą się wąwozem do mojej rodziny na

odległość strzału, byłem gotów, żeby powiązać te fakty. Dopóki nie zostałem lewicowcem o miękkim sercu, nie miałem nic znaczącego do napisania o krwawiących sercach.

Nadal jednak sądziłem, że bycie skutecznym drapieżnikiem pomogło mi zrozumieć pewne rzeczy na temat gatunków, na które wcześniej polowałem. Całkowicie się myliłem.



Matt, tynkarz z Dunster, spotkał się ze mną przed karczmą White Horse w miejscowości Stogumber. Jego rodzina od pokoleń zajmowała się zaganianiem lisów i zajęcy na terenie parku narodowego Exmoor i masywu Quantocks. W furgonetce przywiózł jedne z najlepszych psów gończych w kraju. Jeden z nich, Monty, miał na mnie zapolować.

— Dajmy mu powąchać twój but — powiedział Matt. — Założę się, że nie zdążysz się spocić, zanim cię dopadnie.

Zacząłem biec wzdłuż pola porośniętego młodą kukurydzą. Od jakiegoś czasu padało i z odcisków moich butów unosiła się ciepła mgiełka. Kiepska pogoda, żeby być jeleniem, na którego ktoś poluje.

Wiedziałem, że nie zostanę zabity, mimo to bardzo przeżyłem ten pościg. W człowieku odzywa się wtedy jego neurotyczna natura. Ziarenko piasku w bucie, na które normalnie nie zwróciłbym uwagi, wydawało się wielkie i złośliwe — spiskowało z resztą wszechświata, żeby doprowadzić do mojej zagłady. Niskie, suche płoty okazywały się wysokie i śliskie. Serce podeszło mi do gardła i się tam skuliło, uniemożliwiając przesiąkniętemu morską mgłą powietrzu przeniknięcie do mojego krwiobiegu. Pędziłem, a wszystko inne, jak na ironię, wydawało się

pozostawać w bezruchu. Na łące panował brutalny, bezduszny spokój. Po łodydze kukurydzy kroczył powoli żuk. Zapalałem do niego nienawiścią za ten brak pośpiechu i obojętność.

Tak wyglądało pierwszych kilkaset metrów, kiedy kukurydza pętała mi nogi, a jedyną miarową rzeczą, jakiej doświadczałem, było gryzące pulsowanie gardła. W pewnej chwili wypadłem z pola i mogłem zwolnić kroku. Serce cofnęło się między żebra, a klatka piersiowa ponownie zaczęła się unosić. Również w lesie panował irytujący spokój, ale tam przynajmniej nikt nie próbował mnie dopaść. Wszystko wydawało się przemawiać swoim głosem, a głosy te były w przeważającej mierze życzliwe. Pokrzywy przeproszały za to, że parzą mnie w nogi, i zapewniały, iż znacznie większe szkody wyrządzą obwisłym, kołyszącym się wargom pędzącego Monty'ego.

Po jakimś czasie zacząłem wątpić w życzliwość lasu. Czarnowron, który powinien przecież zerwać się na mój widok, przyglądał mi się spokojnie z gałęzi pięć metrów nad moją głową. Zobaczyłem w jego oczach siebie: pochylonego i zdyszanego. Sądziłem, że oko czarnowrona będzie w całości czarne, ale okazało się jaskrawoczerwone. Przyszła mi do głowy absurdalna myśl, że ptak tylko czeka, aż zostanę zabity, żeby pożywić się resztkami, jakie ze mnie pozostaną. Były to bardzo niejeleniowate myśli.

Pod innymi względami — głównie podświadomymi — zachowywałem się w dużej mierze jak uciekający przed myśliwymi jeleni. Moje nadnercza pompowały do krwi kortyzol i adrenalinę. Kortyzol utrzymywał mnie w stanie napięcia (następnego dnia jego immunosupresyjne działanie opuściło most zwodzony w moim gardle, wpuszczając do środka nacierającą armię wirusów). Krew została przekierowana z żołądka do nóg. Ledwie się na nich

trzymałem i od czasu do czasu musiałem przystawać; unosiłem wtedy wysoko głowę i odruchowo próbowałem coś wywąchać. Gdybym miał ruchome uszy, nadstawiałbym je i obracał. Choć podobnie jak jelenie wypatrywałem wody, żeby się w niej ochłodzić i wysłać mój zapach we wszystkie strony, biegłem po najbardziej suchym terenie, jaki tylko mogłem znaleźć. Wiedziałem (intuicyjnie, a nie z książek czy obserwacji psów gończych), że sucha ziemia nie zatrzymuje skutecznie zapachu, a jeśli już, to przytrzymuje cząsteczki, zostawiając niewiele dla wachających nosów.

W odróżnieniu od jelenia, chciałem się jak najszybciej wydostać z lasu. Staghoundy miewają niekiedy wielki kłopot z wypędzeniem jelenia na otwartą przestrzeń. Czasami zajmuje to godziny. Jeleń wówczas zawraca i zamiast uciekać, kładzie się w jakichś chaszczach i staje do walki z ogarami, wymachując swoim porożem.

Pozostanie w lesie byłoby dla mnie rozsądnym rozwiązaniem. Zapach odbija się od drzew jak kulki we fliperze i zatacza wiry jak ciemne, pokryte torfem skraje rzeki East Lyn. Nawet najsprawniejszy nos będzie miał problem z odczytaniem sygnałów. Na otwartej przestrzeni uciekający, niczym ślimak, pozostawia po sobie ślad zapachowy na trawie. Pokazuje on kierunek, w którym uciekła ofiara. Łatwo jest dokonać na tej podstawie ekstrapolacji. Owszem, wiatr może trochę namieszać, ale zazwyczaj przesuwają ślad tylko o kilka metrów, a linia nadal pozostaje dostatecznie wyraźna.

Moja chęć wydostania się na otwartą przestrzeń była zatem dziwna. Pewnie chcemy umrzeć tam, skąd pochodzimy; z tego samego powodu zdecydowana większość ludzi mówi, że wolałaby umrzeć w domu. Wyewoluowaliśmy z afrykańskich równin. Tak jak u większości ludzi, to niesprecyzowane przywiązanie wyraża się u mnie na wiele

neurotycznych sposobów: w lęku przed ciemnością i jaskiniami (choć, jak wszyscy, rozpocząłem życie w całkowicie ciemnej, rozbrzmiewającej dudnieniem serca jaskini i byłem tam bezpieczniejszy niż kiedykolwiek później); w potrzebie rozsuwania w nocy zasłon, żebym mógł widzieć sunące po niebie gwiazdy i upewnić się, że wszechświat nadal działa prawidłowo; w apatii, jaka ogarnia mnie w pomieszczeniu pozbawionym naturalnego światła; w przekonaniu, że robaki zjadające coś pod ziemią są ohydniejsze od robaków zjadających coś w świetle dziennym; we wzdygnięciu się na widok trumny. Prywatne hospicjum zbudowane na górskim zboczu będzie pobierało znacznie wyższe opłaty niż to zlokalizowane na przedmieściach. Trudno się dziwić, że do nadmorskich miast przeprowadza się wielu emerytów, spragnionych efektownych zachodów słońca. A wszystko to z powodu Tanzanii.

Nie: nie miałem zginąć. Tyle że nie potrafiłem przekazać tej informacji moim nadnerczom. To one przepchnęły mnie przez kukurydzę. Mój oddech był ogłuszający. Nie słyszałem niczego innego.

Nie spodziewałem się ciszy. Sądziłem, że będę słyszał emocjonujący duet osaczających mnie ogarów i rzęzących płuc. Byłby to stosowny, przydający godności i uspokajający podkład dźwiękowy do dramatycznej ucieczki. Tymczasem zza moich pleców nie dobiegał żaden odgłos: nie słyszałem bicia żadnego niskiego, grobowego dzwonu zwiastującego zbliżanie się rozedrganych chrap.

Cisza była trudna do wytrzymania. To również dziedzictwo sawanny i kolejny powód podejrzliwości, jaką wzbudzały we mnie lasy. Z neurologicznego punktu widzenia jestem przygotowany do sytuacji, w której zagrożenia i możliwości są w miarę dobrze widoczne. Lubię sięgać wzrokiem daleko, obserwować stada zebr, przepływające po niebie chmury

i falującą trawę. Na równinie istnieją również niewidoczne, niesłyszalne, niewyczuwalne nosem zjawiska, ale można ocenić prawdopodobieństwo ich wystąpienia. Istnieje spore ryzyko, że w wysokiej trawie skryły się lwy: lepiej obejść to miejsce, żeby dostać się w pobliże stada zebr. Moją umiejętnością nie jest wykrywanie zagrożeń, ale rozważanie w umyśle dostępnych opcji; to taka bezbolesna, bezpieczna optymalizacja.

Dyszając na polu w Somerset, nie dysponowałem danymi niezbędnymi do przeprowadzenia wspomnianych szacunków. Jestem fizjologicznie przygotowany do unikania efektownej śmierci na otwartej przestrzeni, przez co wyraźnie wolę umrzeć tam niż gdziekolwiek indziej. Tworzone przez człowieka heroiczne metanarracje mają uzasadniać to fizjologiczne uwarunkowanie: „Czyż mogłaby śmierć lepsza”, pyta Horacy z wiersza Thomasa Macaulaya, zagrzewając Rzymian do odparcia atakujących most Etrusków, „W udziale przypaść nam, Niż śmierć za ojców prochy, Za święty Bogów chram”^[9]. Oto poetycki rezultat umiejętności dostrzegania zebr i sporej szansy na przewidzenie, gdzie siedzą lwy. Jesteśmy istotami wyposażonymi w twarze. Stajemy twarzą w twarz z różnymi zjawiskami. Wspecjalizowaliśmy się w tym. A kiedy nie możemy tego zrobić, wpadamy w panikę. Zawsze wpadamy w panikę, kiedy nie możemy zrobić tego, w czym jesteśmy dobrzy, dlatego też pracownicy biurowi, którzy dzięki naturalnym predyspozycjom świetnie poradziłoby sobie z wytropieniem rannego kudu, są zestresowani jak cholera, lękliwi i nafaszerowani niepotrzebnie dużą ilością leków.

Nigdzie nie widziałem ogara, z którym mógłbym się zmierzyć, stanąć twarzą w twarz, i to właśnie napawało mnie przerażeniem. Adrenalina i kortyzol niespecjalnie mi w tej kwestii pomagały. Tak naprawdę wręcz przeszkadzały,

podobnie jak uprzykrzają życie cierpiącym na nadciśnienie najemnym niewolnikom biurowym. Owszem, napinały moje mięśnie, ale paraliżowały umysł.

Wiedziałem, że nie wygram. Bloodhoundy są równie nieubłagane co śmierć. Potrafią podążyć za śladem zapachowym pozostawionym dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Nie muszą się śpieszyć. Mają tak pocieszne pyski, że aż głupio byłoby się z nich nabijać. Nie da się ich oszukać ani zdekoncentrować. Przeprowadzają drobiazgową analizę zysków i kosztów, rachując i sprawdzając wszystko po dwa razy. Nie ekscytują się tym, co robią, dlatego nie można liczyć na pomyłkę, jak to się dzieje w przypadku żywiołowych, żądnych krwi foxhoundów, które upijają się zapachem i ślinią z podniecenia. Bloodhoundy ślinią się cały czas, ale z powodu swojej sumienności. Foxhoundy są charyzmatycznymi prokuratorami; bloodhoundy należą do kategorii tych nudnych oskarżycieli, którzy siedzą zatopieni w aktach sprawy. Jeżeli miałbym być oskarżonym, który faktycznie popełnił przestępstwo, wolałbym, żeby oskarżał mnie roztrzepany prokurator.

Monty dogonił mnie na skraju kolejnego pola kukurydzy. Po raz pierwszy zauważyłem go, kiedy znajdował się w odległości dziesięciu metrów. Ledwie mnie dostrzegł — spod tych ciężkich, roletopodobnych powiek — po prostu zawrócił. Nie potrzebował żadnego spełnienia, po prostu odfajkował mnie w swoim grafiku. Zadanie wykonane. Ruszył powoli w stronę Matta, który szedł naszym śladem z kilkuminutowym opóźnieniem.

Wspomniana cisza nie tylko wytrącała mnie z równowagi; była również bolesna. Mam zwyczaj objeżdżać Oksford na rozklekotanym rowerze z przygotowaną w głowie przemową na wypadek, kiedy ktoś nie słyszy, jak się zbliżam, i nie ustępuje mi drogi. Brzmi ona mniej więcej tak:

Zagradzasz mi drogę. Jestem poruszającą się szybko stalową ramą i górą tłuszczu, która robi tyle hałasu, że każdy z twoich przodków, usłyszawszy ją z odległości pół kilometra, przypadłby do ziemi, dzierżąc kurczowo swojego assagaja i starając się opanować łomotanie serca. Znalazłem się dosłownie metr za tobą, a ty nie masz o tym pojęcia. Jakże wiele utraciłeś... Jestem od ciebie lepszy. Przywołam cię do porządku, sprawię, że ponownie poczujesz, że żyjesz, uruchamiając ten oto niesamowicie potężny dzwonek, a zatem...

Żywię w tej kwestii misjonarski zapał. Specjalnie zbaczam ze swojej ulubionej trasy i przejeżdżam przez dzielnice Oksfordu, na których pasą się wielkie, nieruchawe stada otumanionych turystów, w nadziei, że obudzę w nich ponownie to, co utracili.

Monty'emu udało się dokładnie w taki sposób utrzyć nosa mnie. Nigdy nie musiał tego robić żadnemu jeleniowi. A jednak to upokorzenie i przerażenie sprawiły mi satysfakcję. Gdybym po przebiegnięciu ośmiu kilometrów został powalony na ziemię na jakimś nadmorskim klifie, nie dowiedziałbym się, co to znaczy być zwierzyną łowną. Przypominałoby to wyścig hartów — rywalizację między dwoma drapieżnikami — w której zająłbym ostatnie miejsce. W byciu zwierzyną łowną nie ma nic chwalebного.

Osobniki dużych gatunków łownych giną zazwyczaj bardzo szybko. Epickie, wielogodzinne pościgi wilków za karibu wyglądają może efektownie w telewizji, ale zdarzają się rzadko. Zwykle wilki wypadają zza drzew, pędzą przez kilkaset metrów, po czym dopadają jakąś ofiarę albo dają za wygraną. Taki scenariusz dyktuje po prostu termodynamiczna arytmetyka.

W odróżnieniu od wilków, staghoundy nie dają za wygraną. Fakt ten leży u podstaw większości dobrze umotywowanych argumentów przeciwko polowaniu na jelenie przy pomocy psów gończych. Ewolucja nie przygotowała jelenia

szlachetnego do biegów długodystansowych. Praktycznie nigdy nie było im to do niczego potrzebne. Są sprinterami. Tymczasem w trakcie trwającego mniej więcej trzy godziny polowania w parku narodowym Exmoor przebiegają średnio dwadzieścia kilometrów. Dowodzi się, że prowadzi to do poważnych obciążeń fizjologicznych. Jeżeli ktoś przygotowywał się do startu w biegu na sto metrów, będzie cierpiał, biegnąc maraton. Nad tym, czy istnieją wiarygodne świadectwa tych obciążeń fizjologicznych, toczy się ożywiona, zaciekle dyskusja.

Możemy debatować, co dla subiektywnego przeżywania bólu przez jelenia oznacza wysoki poziom mleczanów albo czy do pęknięcia czerwonych krwinek w jego układzie krwionośnym dochodzi rzeczywiście za sprawą człowieka. Ta fizjologiczna debata jest ważna, ale nie sądzę, aby wносиła wiele do debaty etycznej. To oczywiste, że uciekające zwierzę ponosi fizjologiczny koszt: zostaje osaczone właśnie dlatego, że wyczerpują mu się fundusze pozwalające na opłacanie dalszej ucieczki. Ale przecież ten koszt jest wyraźnie większy, kiedy pędzący z dużą prędkością pocisk rozszarpuje serce skubiącego spokojnie trawę jelenia. A fizjologiczne wyczerpanie musi mieć jakiegoś rodzaju „emocjonalne” następstwa (kto chce, może zrezygnować z cudzysłowu). W ciele ściganego jelenia krąży znacznie więcej adrenaliny; jego neurony są rozgrzane do czerwoności, niczym ruszt w kominku, od przeskakujących między nimi komunikatów. Kwestią dyskusyjną pozostaje, czy jest to bolesne; wiele zależy również od tego, jak zdefiniujemy ból. Granica między bólem a przyjemnością jest często cienka, a czasami wręcz niewidoczna. Ból przynosi przyjemność: kiedy coraz bardziej zmęczony jeleni przeskakuje nad bramą, rozdierając sobie w niektórych miejscach tkankę mięśniową, jego mózg otrzymuje wywołujący euforię zastrzyk przeciwbólowych

endogennych opioidów.

Biegałem na długie dystanse: niekiedy pokonywałem nawet osiemdziesiąt kilometrów dziennie, a następnego dnia rano wstawałem i ruszałem w dalszą trasę, niosąc na plecach wszystko, czego mogłem na niej potrzebować. Błyskotliwy mozartowski mózg komponuje z kakofonicznego krzyku mięśni urocze harmonie — urocze, ponieważ współgrają z częstotliwościami otaczającej nas przyrody. Kiedy wsuwałem się do śpiwora, powyginany od skurczy, krwawiący i pokryty pęcherzami, powtarzałem sobie zawsze: „A więc do tego służą nogi, a więc tak to jest czuć, że się żyje!”.

Być może wynika to z faktu, że jestem masochistycznym zboczeńcem, co oznaczałoby, że nie dowiemy się w ten sposób zbyt wiele o uciekającym przed myśliwymi jeleniem szlachetnym. Ale może nie jest ze mną aż tak źle.

Wolałbym zginąć na dworze, podczas ucieczki, po dwudziestu pięciu kilometrach łomotania serca, po wypróbowaniu wszystkich możliwych sztuczek: po przeprowadzeniu psów gończych przez rozdzierające im łapy kolcolisty, z wymęczonymi, odmawiającymi posłuszeństwa nogami, dając za wygraną z powodu rozdzierającego bólu, z produkowaną przez organizm heroiną zaczynającą oddzielać moją świadomość od pulsującej głowy, z rozkoszną, nikczemną nadzieją, że uda mi się wypruć wnętrzności ogarowi, spoglądając przez oblepione solą, zamglone oczy na Walię, czując zawartość żołądka pochodzącą do gardła, padając z głuchym odgłosem, pogrążając się w ciemności.

Pewnie jestem dziwakiem. Wszyscy pragną chyba szybkiej, bezrefleksyjnej śmierci (najlepiej w wyniku zawału serca w czasie obiadu). Taka akurat panuje moda. Kilka pokoleń wcześniej ludzie modlili się o wybawienie od nagłej śmierci:

modlili się o czas; o kontekst; o możliwość pożegnania się; o szansę na przeprowadzenie rozrachunku swojego życia i wykonanie jakichś godnych zapamiętania gestów. Obecnie modlą się, żeby im tego wszystkiego oszczędzono: żeby zostali wystrzeleni bez ostrzeżenia w nicość. Bardzo to dziwne.

Jelenie szlachetne nie prowadzą jakichś specjalnych przemyśleń na temat swojej śmierci. Trudno dopisywać *timor mortis* do listy zarzutów przeciwko polowaniom na te zwierzęta. Jelenie odczuwają wtedy strach, ale strach można odczuwać bez wyraźnego powodu, istnieje zresztą wiele powodów, niezwiązanych z lękiem o własną egzystencję, aby obawiać się kłapiących szczęk.

Krzyki, hałasy i zamknięta przestrzeń ubojni budzi trwogę bydła i owiec prowadzonych na śmierć, mimo to nie wydają się one jakoś szczególnie przygnębione ani nie podejmują prób ucieczki, kiedy przystawia się im do głowy pistolet bolcowy. Stoją beztrosko nad ubitym chwilę wcześniej kolegą ze stada. Konie zachowują się całkowicie naturalnie w obecności innych ciężko rannych koni, nawet kiedy mamy do czynienia z wyraźnymi obrażeniami, obfitymi krwotokami czy otwartymi złamaniami kości. Obwąchają zwłoki innego konia, po czym wrócą do skubania trawy. Owce i świnie nie sprawiają wrażenia poruszonych widokiem ogłuszania innych osobników albo rozcinania im gardeł. Kiedy hodowlany jeleń szlachetny zostaje odstrzelony na łące, pozostałe jelenie są lekko wystraszone hukiem, ale same zwłoki nie wydają się ich niepokoić, dopóki w okolicy nie leży tyle martwych osobników, że zaczynają postrzegać broń (ale nie wypluwaną z niej śmierć) jako osobiste zagrożenie. Chętnie wyjedzą ziemniaki, które wypadły z pyska zabitego jelenia — chyba że będą w widoczny sposób pokryte krwią. Jeleń szlachetny jest zaprogramowany tak, aby unikać

zagrożeń, ale w ich definicji „zagrożenia” nie ma wymiaru egzystencjalnego; nie odczuwają zatem takich lęków.

Lęk przed własną śmiercią i przeżywanie śmierci innych osób to nie to samo: psychopaci skazani na śmierć przypuszczalnie nie wchodzą łagodnie do tej dobrej nocy. Mimo to istnieje między tymi lękami bezpośrednia zależność: gdyby jelenie były przerażone widokiem martwego osobnika swojego gatunku, moglibyśmy zacząć twierdzić, że odczuwają subiektywny lęk przed własną śmiercią. Ponieważ tak się nie dzieje, trudno nawet podejmować temat.

Nie chcę w ten sposób powiedzieć, że śmierć innych zwierząt nie ma dla nich emocjonalnych konsekwencji. Zwierzęta roślinożerne wchodzą ze sobą w relacje, które bez wątplenia charakteryzują się jakiegoś rodzaju uczuciowym zabarwieniem. Zabicie zwierzęcia, które było częścią życia innego osobnika, oznacza zburzenie jego ekosystemu. To musi powodować niepokój. Wydaje się jednak, że, powiedzmy, u przeżuwaczy, na przykład koni i świń, niepokój ten nie wynika z przepełnionej oburzeniem empatii. Niewiele wskazuje wręcz, żeby zwierzęta te w ogóle odczuwały empatię. Są maszynami; wyspami; nieczułymi nosicielami genów.

Mimo że wiele badań nad empatią zwierząt boryka się z metodologicznymi trudnościami, istnieją znaczące dowody na to, że niektóre gatunki autentycznie przejmują się losem innych osobników. Makaki królewskie, szczury i gołębie potrafią powstrzymać się przed naciśnięciem dźwigni, która wydzieli im porcję jedzenia, jeżeli tym samym inny przedstawiciel ich gatunku zostanie porażony prądem. U makaków efekt ten jest silniejszy, jeżeli małpa naciskająca dźwignię zna ofiarę albo sama została poddana wstrząsowi elektrycznemu. Po walce szympansy (i prawdopodobnie wiele innych ssaków i ptaków) znacznie intensywniej pocieszają

osobniki, które padły ofiarą przemocy, niż agresorów. Przebąkiwanie o „altruizmie opartym na zasadzie wzajemności” lub o „doborze krewniaczym” nie sprawia, że emocje związane z tymi zachowaniami staną się mniej realne lub mniej intensywne.

Jeżeli gołębie, gawrony i szczury odczuwają empatię, może budzić pewne zaskoczenie, że nie obserwujemy jej u dorodniejszych, charyzmatycznych przeżuwaczy. Spodziewalibyśmy się więcej po dużym zwierzęciu o brązowych oczach i długich rżęsach, które poświęca mnóstwo czasu na sumienne opiekowanie się pojedynczym cielaczkiem. Być może wynika to z faktu, że śmierć jest częścią ich konstytucji w inny sposób niż u reszty zwierząt. Zostały wyhodowane jako pożywienie. Po to istnieją i tym są. Śmierć nie jest dla nich niczym obcym: nie jest intruzem, którego należy się obawiać.

C.S. Lewis zauważył, że gdyby redukcjoniści mieli rację, ludzie nie powinni uskarżać się na śmierć tak bardzo jak teraz. Powinni pogodnie zaakceptować ją jako coś równie naturalnego jak oddychanie. „Czy ryby narzekają na morze, że jest mokre?”, pytał. Uskarżanie się przez ludzi na istnienie śmierci świadczyło według niego o tym, że nie zostali stworzeni do umierania. Fakt, że jelen szlachetny nie uskarża się na śmierć, świadczy o tym, że w jego przypadku mamy do czynienia z przeciwną sytuacją.

Śmierć służy, przynajmniej częściowo, spełnieniu oczekiwań natury. Zjedzenie roślinożercy jest moralnie mniej naganne niż zjedzenie mięsożercy.

W każdej kulturze istnieje tabu związane z jedzeniem zwierząt mięsożernych. Szamani zgadzają się z Jahwe.



Krótką ucieczką przed psem gończym i hipochondryczną obsesją na punkcie śmierci nie zniwelowały kilku dekad przyuczania się do drapieżnictwa; nie mogłem też nic poradzić na uwarunkowania zapisane w mojej podwójnej helisie. Odziedziczyłem po przodkach wspomnienie zwężonych oczu czających się tuż za zasięgiem blasku ogniska, a sama bliskość ognia sprawia, że czuję się bezpiecznie. Można kupić uspokajające pliki mp3 z odgłosami trzaskającego kominka. Czuję się lepiej, kiedy nieopodal znajduje się drzewo z niską gałęzią, na którą mógłbym się wspiąć, ale której nie dosięgłyby wilki. Uważam, że czytanie dzieciom bajki o Czerwonym Kapturku jest ważną lekcją, a nie tylko rozrywką. Śmierć przybiera postać paszczy lwa. Pragnę zachowania integralności ciała, a jednocześnie amputacje budzą moją ciekawość, co można wyjaśnić tylko podprogowym strachem przed śmiercią przez rozszarpanie.

Wszystko to są jednak tylko znaki przestankowe w mojej opowieści, a nie kluczowe przymiotniki. W tej opowieści oddalam się od ogniska z pochodnią i dzidą, przeczesując wzrokiem okolicę. Wilk siedzący w domku babci jest tu ofiarą. Zawsze doskakuję do najniższej gałęzi, drwię stamtąd z niego, po czym ciskam w niego dzidą. W czasie epoki lodowcowej ciepło zapewniają mi skóry upolowanych wilków. Jestem drapieżnikiem polującym na drapieżniki; zjadam steki, samemu nie stając się stekiem.

W jelenia potrafi zamienić mnie jedynie zimno. Dojrzewaliśmy w nim razem, gdzieś w plejstocenie.



W zimie jelenie schodzą z górskich szczytów. Zobaczyłem je blisko drogi z Inveroran biegnącej przez wrzosowisko Rannoch. Głowy miały pochylone, nawet kiedy podszedłem blisko; kilka rozgrzebywało śnieg ostrymi racicami; osłaniały się nawzajem od wiatru. Większość stała nieruchomo. Gruba sierść nie była w stanie ukryć zapadniętych podbrzuszy. Śnieg zalegał tam od dwóch nieprzyjaznych miesięcy. Rozkopując go odpowiednio mocno, miały szansę natrafić na trawę: zamrożone sierpniowe słońce. Ale okazało się, że to operacja na granicy opłacalności: równie dobrze mogła przynieść straty, czego świadectwem była drżąca noga. Tego rodzaju wahanie zawsze świadczy o bliskości śmierci. Przyroda nagradza tylko roztrofną pewnością siebie.

Zdjąłem plecak i podkradłem się do jeleni na czworakach. Nie próbowałem się ukrywać — i tak doskonale mnie widziały — ani nawet upodobnić do czworonoga. Taki sposób poruszania się był po prostu odrobinę efektywniejszy od chodzenia na tylnych kończynach; przy każdym kroku zapadałem się wtedy po pas w śniegu. Lepiej było sunąć przez niego, rozgrzebując puch ruchami pływaka. Przypominałem zatem bardziej kreta niż jelenia. Nie potrafiłem zrozumieć, jak to możliwe, że jelenie stoją jedynie po kostki w śniegu, ani że dokopać się do ukrytej głęboko trawy. Na odcinku dwustu metrów mojego wykopu nie natknąłem się na ani jedno źdźbło. W pewnym momencie grunt zaczął się podnosić i śnieg rozsunał się na boki, a ja zrozumiałem, że jelenie stoją na płaskowyżu, który wiatr oczyścił dla nich ze śniegu.

Zobaczyły, że jestem tylko nieuzbrojonym tułowiem z bezużytecznymi, młócającymi śnieg, niedokrwionymi

kończynami. Ich nieobecne spojrzenia wyrażały bezmyślność, której nigdy wcześniej nie zaobserwowałem u jeleni — nawet u tych tłustych, hodowlanych, cierpiących na niedobór bodźców osobników. Czułem ich kwaśny zapach. Wdychałem go przez gardło, nie przez nos. Wyczuwałem coś jeszcze: aromat gruszek w cukrze — czyli woń ketonów głodu. Organizmy tych jeleni spalały tkankę mięśniową; czekała je śmierć. Gdyby jakiś drapieżnik rozrzucił wokół nich siano, wpatrywałyby się w nie bezmyślnie, a następnie położyłyby się na ziemi i pozwoliły się zjeść. Dla organizmu doprowadzonego do takiego stanu byłaby to całkiem przyjemna śmierć. Jeleń zasypia, zostaje odstrzelony; jego ciało przymarza do ziemi, a potem trafia na górską grań na kruczych skrzydłach.

Siedziałem między nimi przez wiele godzin. Pod koniec przestały nawet rozkopywać śnieg. Stały nieruchomo niczym pomniki samych siebie. Ledwie odwróciły głowy, kiedy zacząłem się przekopywać z powrotem w stronę ścieżki.

Ależ byłem głupi. Przemokłem do suchej nitki. Ogrzewała mnie solidarność z jeleniami, ale teraz sam znalazłem się w trudnym położeniu. Dzień szybko chylił się ku końcowi. Wcześniej pokonałem trudną trasę drogą biegnącą przez Glencoe, a teraz na mojej twarzy potworzyły się narośle ze śniegu i lodu. Z Loch Linnhe wyłoniła się czarna sylwetka. Wyrównała lot nad Kinlochleven, zakreśliła łuk nad Glencoe i otworzyła dziób. Wskoczył z niego tłusty, trzepoczący skrzydłami ptak śnieżycy, który przeleciał nisko nad Kingshouse, rozłożył szeroko skrzydła nad Rannoch i wylądował z wystawionymi do przodu pazurami. Pazury mnie nie dosięgły, ale skrzydła smagnęły mnie po twarzy, oślepiając i przewracając na kolana.

Podniosłem się i ruszyłem w dół; podniosłem się i ruszyłem w dół; podniosłem się i ruszyłem w dół. Po

jakimś czasie przestało mnie obchodzić, co się stanie. Śnieg mnie powalał; mróz upuszczał ze mnie krew. Było to bardzo interesujące doświadczenie. Potem nie miałem już nawet siły, żeby okazywać zainteresowanie. Potwornie chciało mi się spać, głównie dlatego, że sen oznacza koce i przytulne ciepło. Chciałem się czymś nakryć i nie miałbym nawet nic przeciwko temu, żeby był to śnieg. Gdybym się okrył, przestałbym słyszeć ten irytujący dźwięk: pomruki dobiegające znad morza.

W pewnej chwili słaby, wyraźny, pedantyczny, ascetyczny głos, który rozpoznałem jako własny, powiedział coś w rodzaju: „Powinieneś znaleźć osłonę przed wiatrem”. Odpowiedziałem: „Aha, żeby uciszyć ten pomruk, żeby się ogrzać?”. Na co odpowiedziałem sobie: „Owszem, jeżeli chcesz na to w ten sposób spojrzeć”. Widząc, że potrzebna jest pewna zachęta, dodałem: „Jeżeli tego nie zrobisz, to nigdy więcej nie zjesz tosta z fasolką”. „Nigdy”, dodałem teatralnie, przerywając ciszę, jaka zapadła po ostatniej kwestii.

Tak więc ja, czy może my dwaj, znaleźliśmy kawałek drewna i kawałek muru, gdzie wyjęliśmy pulower i drugą czapkę oraz jeden z tych dużych, grubych worków ratunkowych, których się nigdy nie używa. Przez całą noc poruszaliśmy palcami u rąk i nóg, sumowaliśmy cyfry we wszystkich numerach telefonu, które potrafiliśmy sobie przypomnieć, rozkładaliśmy je na czynniki pierwsze, aż nastąpiło coś w rodzaju świtu bez pomruku, a po obu stronach nas, opartych plecami o ścianę, stały jelenie, które nie śmierdziały już gruszkami w cukrze, a mimo to spoglądały na nas wzrokiem starych, przyjaznych psów.



Nie mogłem jeść tego samego co jelenie. Niezależnie od miejsca, w którym żyją, co najmniej połowę ich diety stanowi trawa. Na kolejnych miejscach (przynajmniej w Exmoor) lokują się krzewy wrzoścowe i zioła, liście i drzewa liściaste — wszystko doprawiane od czasu do czasu porostami, mchami i nietypowymi iglastymi liśćmi. Znałem doskonale wszystkie rośliny, którymi odżywiają się jelenie. Obwąchiwałem je, rozgniatałem na miazgę, gotowałem z nich zupy, zrywałem je zębami, przeżuwałem, a następnie próbowałem je zwymiotować, żeby poczuć, jak smakują w częściowo strawionej postaci (czyniłem to bez większych rezultatów i bez przyjemności). Starłem się nawet więcej bekać — żeby dłużej pozostawać w kontakcie ze spożywanym przez siebie jedzeniem; przypominać sobie wielokrotnie, do późnych godzin nocnych, spożyte na lunch paluszki rybne i obsmażane ziemniaki.

W małym notesie tworzyłem listy przymiotników określających przeżute jeżyne, bluszcz, pokrzywy, szczaw i wiele gatunków traw rosnących na wrzosowiskach. Podobne listy przymiotników sporządziłem dla innych części jeleniego świata, które próbowałem zmałpować: jakie to uczucie wypróżniać się w północnym wietrze; jakie to uczucie zostać obudzonym przez sójkę; czym pachnie martwy jelonek leżący na słońcu, a czym w deszczu.

Pozwoliłem, żeby skudliły mi się włosy; pokryłem je błotem. Mierzyłem, jak długo zapach mojego moczu utrzymuje się na torfie, na kamieniu i w lesie liściastym, w różnych warunkach pogodowych. Snułem rozważania na temat niechęci, jaką jelenie żywią do lasów iglastych; zastanawiałem się, dlaczego łanie spędzają znacznie większą część nocy niż dnia w lasach liściastych i dlaczego samce

robią dokładnie na odwrót. Naśladowałem tryb życia obu płci przez wiele nocy i dni o różnych porach roku.

Dostrzegałem podobieństwo między grzybicą a zanokcicą, a żeby poczuć, co to znaczy mieć przerośnięte kopyta, przez kilka miesięcy nie obcinałem paznokci u stóp.

Powiedziałem sobie: mogę analizować dane węchowe, dzieląc je niczym plastry i badać każdy z nich w poszukiwaniu śladów interesującej mnie substancji. Nie ma potrzeby, żebym wchłaniał zapach doliny jako całości. Nigdy nie powiedzielibyście kelnerowi: „Chciałbym zamówić menu”. Tylko ludzkie nosy postępują w ten sposób. Powoli, stopniowo zacząłem mieć nos „à la carte”.

Wydawałoby się to naturalne, gdybym przedstawił tu wyniki tych zabaw. A jednak tego nie zrobię. Z czasem doszedłem do wniosku, że nie miały sensu.



Spotkanie z jeleniami na mrozie — kiedy i one, i ja znajdowaliśmy się na skraju zagłady — było czymś niezwykłym, niemniej prawie w ogóle nie przypominaliśmy wtedy prawdziwych siebie. Byliśmy tak wychudzeni i wycieńczeni, że ani ja nie wyglądałem na dumnie krocącego człowieka, ani one na skoczne jelenie. Nie było to w ogóle spotkanie z jeleniami — raczej ze zjawami. To nieprawda, że w ekstremalnych warunkach pokazujemy się takimi, jakimi jesteśmy naprawdę. Przeciwnie, prawdziwe „ja” prezentujemy w okresach obfitości. Liczy się to, co robimy z tymi bogactwami. W ten sposób stajemy się tym, czym jesteśmy.

Jelenie czekają, cierpliwie albo nie, na okres obfitości. Ten

przychodzi w lecie. Jeżeli chcielibyśmy je poznać, powinniśmy to robić właśnie wtedy. Jednocześnie właśnie wtedy jest je poznać najtrudniej.

W upale jelenie z Exmoor często zagrzebują się po rogi, albo jeszcze głębiej, w zalesionych dolinach wciosowych. Wiatr szumi wokół nich i nad nimi, kolumny maszerują po odnogach ich poroży, chmary owadów unoszą się nad ich odchodami niczym brzęczący tupecik. Jeleń leży nieruchomo, nasłuchując, kiedy trawa przestanie szumieć, coś zacznie się przez nią przedzierać i ją deptać, rozkłada zapachy na czynniki pierwsze, ocenia je pod względem poziomu istotności i poświęca im odpowiednio dużo uwagi.

W lipcowy dzień, tuż po świcie, wspiałem się na stromy skraj starego dębowego lasu i ześlizgnąłem się, wraz z leżącymi na ziemi patykami, na szerokie na kilka metrów, porośnięte chaszczami dno dolinki, które zapewniło mi odrobinę wytchnienia od dominującej w okolicy stromizny.

Z góry i z oddali las ten przypomina wyglądem mech. Od środka też wygląda jak mech, tyle że oglądany z perspektywy chrząszcza ryjkowca. Czasami odnosi się wrażenie, że — o tam, w oddali! — jakaś gałąź się poruszyła, uniesiona słabiutkim podmuchem wiatru. Ale nigdy nie będzie to więcej niż szelest. Jeleń ukryty latem w wysoko położonym lesie nigdy nie wyda odgłosu silniejszego od szelestu.

Były tu wcześniej. Co zresztą sprawiło, że wydawały się jeszcze trudniejsze do odnalezienia, niż gdybym nie natknął się na wyleżany kawałek wyki. Puste legowisko oznacza nieobecność, podobnie jak osobiste przedmioty pozostałe po zmarłym rodzicu. Gdyby te rzeczy nie zostały porzucone, zawsze można by mieć nadzieję, że ich właściciel powróci. To rzeczy materialne sprawiają, że czyjeś odejście staje się niezaprzeczalne.

W pobliżu zobaczyłem jeziorko w kształcie wykrzywionej

wargi. Paprocie chyliły się ku powierzchni, a nad nimi chyliły się inne paprocie — pomijając miejsce, gdzie samiec doczłapał do brzegu, głową wycinając w liściach opływowy tunel. Unoszące się na powierzchni resztki poszarpanych liści przechowały zapach jelenia. Był wciąż wyraźny, choć lekko rozwiany przez powietrze spływające z wrzosowiska. Na powierzchni wody unosiły się również grube włosy jelenia, które pozachodziły na siebie, tworząc „kratki”. Jeziorko przypominało rozbite okno albo psychotyczny sen o dziesięciu tysiącach celowników teleskopowych.

Rozebrałem się i wsunąłem do jeziorka. Zapadłem się w błoto po uda i w przerażeniu odskoczyłem. Powoli wyciągnąłem nogi i położyłem się, dysząc ciężko, na plecach, starając się utrzymać ciało pod powierzchnią, gdzie nie mogły się do niego dobrać chłepczące krew końskie gzy.

Jeziorko było wylęgarnią wszelkich stworzeń. Larwy wiły się, mozoliły i traciły równowagę na mocno napiętej, dwuwymiarowej linii powierzchni wody, opadając na błotniste dno złożone z ciał ich poprzedniczek. W wodzie kłębiło się od umierających istot, które nie zdążyły się jeszcze narodzić. Utworzyły dywan na mojej skórze. Kiedy samiec jelenia odchodzi od jeziorka, słońce wysusza wszystkie zwierzątka, które przykleiły się do jego sierści. Potem, kiedy staje na wzgórzu, oglądamy jego rudą suknię przez gładką soczewkę martwych bezkręgowców.

Leżałem, dopóki ostrzegawcze nawoływania w koronach drzew nie ustąpiły normalnym trelom. Minęło tyle czasu, że błoto na mojej klatce piersiowej zdążyło wyschnąć. Wypelźłem na brzeg niczym jakaś pierwotna morska istota; moje kończyny stały się równie użyteczne co płetwy latimerii. Zwinąłem się nagi w paprociach, próbując obudzić w sobie lęk przed zagrożeniami, zastępując nim poczucie, że wszystko to jest ciekawym, barwnym doświadczeniem.

Nie udało mi się to, ale potrafiłem być czujny, a tak właśnie zachowywałby się samiec jelenia, gdyby podejrzewał, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Udało mi się wyznaczyć terytoria zajmowane przez okoliczne ptaki, żeby w razie czego rozpoznać objawy niepokoju.

Wiedziałem, skąd wieje wiatr, dzięki czemu mogłem odwrócić się w przeciwną stronę i ogarniać spojrzeniem ten fragment terenu, który pozostawał „niewidoczny” dla mojego nosa. Udało mi się przestroić oczy na wykrywanie ruchu; zamierałem, kiedy jakaś gałąź uginała się pod nietypowym kątem. Niczym pilny student weterynarii zapoznałem się dokładnie ze stanem normalności, aby dostrzec, kiedy zdarzy się coś anormalnego. Uczyłem się zatem linii horyzontu, fotografując ją w głowie, a następnie zamykając oczy i próbując przypomnieć sobie każdy wybój. Po jakimś czasie znałem głosy i temperamenty wszystkich psów z okolicznych farm.

Za wszelką cenę chciałem założyć ubranie. Warstwa błota i chityny trochę mi pomagała, ale muchy były spragnione. Osłaniałem dłonią mosznę tak, jak robi to piłkarz przed potężnym rzutem wolnym. Rzecz w tym, że w przeszłości zbyt często wmawiałem sobie, że nic się nie stanie, jeśli się ubiorę. Przemoczyłem wszystkie ubrania w jeziorku, nie było więc sensu ich zakładać. Wyruszyłem na zwiedzanie lasu.

Mogłem robić to w pozycji wyprostowanej. Dorosły samiec jelenia mierzy około 127 centymetrów u podstawy szyi, a stamtąd do poziomu oczu jest zapewne kolejnych 60 centymetrów. Poruszając się z głową na wysokości mojego wzroku, obskubywały od czasu do czasu paprocie (zdecydowanie nie ich ulubione pożywienie). Widziały to samo, co ja, choć zubożone o barwy czerwieni i zieleni (co latem pozbawiało las części jego charakteru i różnorodności). Z kolei ich wyczulenie na światło

ultrafioletowe (w naszych oczach blokowane przez mocne filtry) musiało powodować, że płaskie niebieskie niebo, prześwitujące czasami między kołyszącymi się dębami, musiało się gniewnie kłębić i zwałać jak u Turnera.

Trudność polegała nie tyle na przełożeniu sposobu doświadczania lasu z jeleniego na ludzki, ale na przełożeniu ludzkiego poczucia czasu na poczucie czasu jeleni. Jest to tempo wzrastającego, kołyszącego się, pełzającego lasu, w którym za jednym prychnięciem wyskakuje się z przysiadu do prędkości sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Głowa i reszta ciała muszą mieć poczucie, jakby właśnie padły ofiarą dwóch różnych wypadków drogowych. Spowalniający wpływ poroża musi brutalnie odciągać głowę do tyłu w stosunku do reszty ciała wyskakującego z kępy kolcolistów.

Rokoszowałem się światłem, rosą i błotem, starając się, aby wyobraźnię napędzał mi wolny puls lasu, a nie moje tętno. Unosiłem głowę wraz ze wznoszącym się na niebie słońcem. Próbowałem sobie przypomnieć, że podstawową jednostką czasu jest dzień słoneczny i że wszystkie krótsze odcinki są równie sztuczne co dietetyczna pepsi.

Przez sześć godzin wpatrywałem się w pojedynczą kołyszącą się łodygę przytuli czepnej. Wokół wszystko zastygło w bezruchu. Poniżej nie drążył tunelu nornik, powyżej nie trzepotał skrzydłami ptak. Łodyga z uporem się kołysała. Pozostałe łodygi z uporem tego nie robiły. Wreszcie ruch ustał. Nagle. Nie zamierał stopniowo. Słońce wytłumiło ptasi śpiew.

Przeszedłem do kępy szczawiu. Muchy niespecjalnie za nim przepadały. Przez następnych osiem godzin obserwowałem, jak pająk zasnuwa siecią przerwę między młodym bukiem a młodym dębem. Kiedy osiadła wieczorna rosa, zorientowałem się, że nie zauważyłem niemal całej

pajęczyny. Mrówka próbowała mi wpełznąć do cewki moczowej. Potraktowałem to jako komplement.

Po zapadnięciu mroku przychodzi taki moment, kiedy las jednocześnie przytrzymuje w sobie kilka ostatnich skrawków słońca, niemalże wyginając się nad nimi w łuk, i wypuszcza z siebie część promieni, które wchłonął w ciągu dnia. Jest to najcieplejsza pora dla nagiego człowieka: spoczywa wówczas na słonecznej poduszce, leżąc pod słonecznym sklepieniem.

Ale gwiazdy są niemiłosierne. Założyłem przemoczone ubranie i wróciłem do domu.



Później tamtego lata leżałem pośrodku palisady z kolcolistów na szczycie pagórka. Kwiaty były tak żółte, że wszystkie inne kolory przy nich blakły. W okolicy unosił się przedziwny kokosowy zapach.

– Dajcie mi pięć minut — powiedziałem do dzieci. — Potem znajdźcie mnie i zabijcie.

– Dobrze — odpowiedziały.

Przez następnych dziesięć minut popełniały wszystkie łatwe do przewidzenia błędy: zajrzały w miejsca, które wydawały się oczywiste, ponieważ nie były oczywiste; następnie w miejsca, które były oczywiste, dlatego że były oczywiste. Potem zaczęły myśleć.

– On próbuje być jeleniem — usłyszałem, jak mówi jedno z nich. — W takim razie prawdopodobnie poszedł w stronę wody.

Przeszukały więc brzegi strumienia.

– Będzie się ukrywał między drzewami — zawyrokował Tom. — Pamiętam, jak mówił, że jelenie są tak naprawdę

leśnymi zwierzętami.

Zajrzały zatem między drzewa. Wreszcie zabawa im się znudziła i wróciły do domu, żeby coś zdemolować.

Nie pomyślały o kolcolišciu, ponieważ nie sądziły, że będą potrzebował fizycznej osłony. W dzisiejszych czasach nie przydaje się ona jeleniom. Kolcolist jest użyteczny, ponieważ, w odróżnieniu od paproci, zmniejsza do kilku liczbę kierunków, z których może prześlizgnąć się albo wyskoczyć wilk.

Ale wilków już tu nie ma. Zniknęły w XIV wieku i właśnie z tego powodu rozpoczęła się wtedy nowoczesność.

Okoliczne jelenie spędzają sporą część swojego życia w widmowych lasach, których drzewa zostały dawno temu wyrąbane na potrzeby budowniczych statków i hodowców owiec. Dla nich lasy te pozostają jak najbardziej realne: pochylają głowy, aby nie zaplątać sobie poroża w gałęzie, które wycięto jeszcze przed bitwą pod Azincourt; skubią trawę pod osłoną dębów, które nie rzucają cienia od epoki brązu. Jelenie nie mogą odpędzić duchów tej ziemi. Gdyby to zrobiły, wypędziłyby same siebie.

Przynajmniej w tym mogę je naśladować. Nie potrafiłbym się zresztą powstrzymać. Żaden człowiek tego nie potrafi, tyle że większość współczesnych ludzi — równie brutalnie wypędzonych z teraźniejszości przez swoje oprzyrządowanie neurologiczne — żyje w urojonej przyszłości, a nie w widmowej przeszłości. Ale dla mnie spacer po tych lasach, podobnie jak przez centrum handlowe, jest prawdziwym seansem spirytystycznym. W udanym dniu potrafię spędzić jakąś godzinę w autentycznym „tu i teraz”. Taka godzina wymaga albo silnej koncentracji (kiedy wydieram się na siebie, choć bez większego przekonania: „Jestem TUTAJ! To jest TERAZ!”), albo dzieci. Przez resztę dnia wpatruję się w jakąś farmę, obwąchuję efektownie rozkwitający urzet

barwierski, nasłuchuję odgłosu szczękających mieczy i widzę wilki powalające jelenie.



Richard Jefferies tak pisze o Exmoor w lirycznej monografii zatytułowanej *Red Deer* [Jeleń szlachetny]: „Z grzbietu górskiego Haddon Hill można przesunąć wzrokiem od szczytu Dunkery Hill, z którego rozciąga się widok na Severn Sea [Kanał Bristolski], po Sidmouth Gap nad kanałem La Manche, dzięki czemu można stamtąd objąć wzrokiem całą szerokość Anglii”.

Jelenie mają dobry wzrok. Nie ma powodu, dla którego nie miałyby postrzegać południowo-zachodniego odcinka Anglii w całej jego rozciągłości. Właśnie dlatego planowałem przygotować skreślone grubą kreską studium, które rzuciłoby światło na kontekst i regionalność, a stąd reprezentatywność jednego zwierzęcia. Zamierzałem zatem przemierzyć wiele kilometrów po wrzosowiskach ze wzrokiem utkwionym, niczym marynarz, w zamglonym, błękitnym horyzoncie, spać w rowach i koić pragnienie wodą źródlaną od Parracombe po Dulverton, wsłuchiwać się w dialekty kolejnych żywopłotów, opisywać geologię i skupić się wyłącznie na makroekonomii. Jakże wspaniały to miał być szkic.

Cały zamysł popsuły dane z monitoringu radiowego zwierząt. Zaczipowane zwierzęta nie były od siebie oddalone o więcej niż 9,6 kilometra w przypadku samców lub 7,2 kilometra dla łani. „Średni zasięg w okresie miesiąca albo pory roku wskazuje na to, że jelenie [w Exmoor] przez większość czasu żyją na względnie małych obszarach

nieprzekraczających 4 kilometrów”, pisze zniechęcająco zoolog Jochen Langbein. Dorosłe łanie poruszają się po obszarze około 428 hektarów. Dorosłe samce przemieszczają się intensywniej: obserwuje się u nich dwa wyraźnie różne zasięgi — jeden głównie w czasie rykowiska, a drugi przez pozostałą część roku — a ich terytorium obejmuje łącznie nieco ponad 1000 hektarów. W czasie rykowisk przemieszczają się zazwyczaj intensywniej — dokładnie tak jak ja w okresie zdobywania partnerki życiowej. Niemniej zakres ich występowania w czasie rykowiska i poza nim waha się między zaledwie 2 a 6 kilometrami i tak się składa, że jest niesamowicie zbliżony do różnicy między obszarami mojej aktywności, jeżeli dobrze pamiętam przejażdżki taksówką między Bethnal Green a Fulham. Wydaje się, że w obu gatunkach to samce zajmują się podróżowaniem.

Nie oznacza to bynajmniej, że jelenie z West Country są jakoś wyjątkowo zaściankowe. Łanie ze Scottish Highland żyją na obszarze 400-1000 hektarów, a ich samce od 1000 do 3000 hektarów, czyli faktycznie większym niż te z Exmoor, ale niewiele, i to tylko dlatego, że na tych ponurych wzgórzach można znaleźć znacznie mniej pożywienia. Gdzie indziej w Europie związane z porami roku zmiany w zasięgu występowania są niewielkie — rzadko przekraczają 10 kilometrów — i często ambicje tych stworzeń ograniczają się do zejścia zimą w niższe partie gór, aby uciec przed mrozem.

Jelenie nie są zatem wcale zwierzętami regionalnymi, a ja musiałem zrezygnować z grubej kreski. Jeleń musiał się stać bohaterem kolejnego studium lokalności, a zatem niewielkiego terytorium. Marzyła mi się długa wycieczka, ponieważ pozostawanie w jednym miejscu i podejmowanie prób zrozumienia zjawisk było zbyt żmudne. Jeżeli ktoś na swojej stronie internetowej określa się mianem „podróżnika”

(jak ja to czynię na swojej), można mieć pewność, że przed czymś ucieka, i powinniście zadać sobie pytanie, przed czym. Jeżeli o mnie chodzi — nie zamierzam wam tego zdradzać.

Okoliczne jelenie wyrastają prosto z tamtej ziemi. Być może dlatego jest im łatwiej do niej wracać. Czują się tam u siebie w sposób, w jaki ja nigdy się nie poczuję.

Ludzka lokalność ma charakter maciczny, a nie geograficzny. Człowiek nigdy nie poczuje się w pełni u siebie, dopóki macica, z którą się związał przez akt narodzin, nie zostanie spalona albo zjedzona.



Utraciwszy szeroką perspektywę, uznałem, że zrekompensuję ją intensywnością. Potrafiłbym zrozumieć pięćset hektarów. Z perspektywy mapy wydawało się to dość łatwe.

Jelenie w Exmoor przemieszczają się szybko ku wysoko położonym wrzosowiskom — „lasowi niebędącemu lasem” — wypchnięte z przystępniejszych, zalesionych, łatwiej dostępnych obrzeży i dolin wcisowych przez wysokie ceny ich mięsa. A przecież nie są stworzone do życia na wysokościach. Wrzosowiska w Exmoor mają akurat postać pofalowanego, ciągnącego się kilometrami terenu, ale tak naprawdę obrastają górski szczyt. Tamtejsze jelenie nie mają w swoich ciałach ani grama tłuszczu, nie śnią również o deserach. Pod kopytami mają torf. Chodzą po autentycznej paście z pni widmowych drzew, między którymi zarazem żyją. Nawet jeśli nie są tam aż tak narażone na karabiny kłusowników, to na pewno nie mają się gdzie

schować przed psami gończymi. Myśliwy może je dostrzec z dużej odległości, a jeśli uciekający jelenź zatoczy duży łuk, psy doganiają go po przekątnej.

To rzut beretem od chaty — trzeba dojść przez brendońskie błonia do drogi, przejść przez most, gdzie mieszkają traszki i trolle, a następnie skierować się w stronę Hoar Oak Water. W końcu docieramy do parkingu, gdzie spotkamy piechurów parzących herbatę i rozkołysane, postępujące samochody z uprawiającymi seks mieszkańcami Wolverhampton.

Wiosnę spędziłem na wrzosowisku, czekając, aż porośnie trawą. Kiedy to nie następowało, zaczęła ogarniać mnie narastająca panika.

W lecie leżałem z dziećmi w lesie i w paprociach, obserwując strumienie cukru krążące po żyłkach liści i zakrzywione fajki mszyc. Opuszczałem własne anarchiczne łydki, kiedy wymijali nas skoncentrowani na pokonaniu trasy, niezwracający uwagi na jej uroki wędrowcy.

Jesienią chodziłem i staczałem się za jeleniami, głodowałem z nimi, ale przyklaskiwałem skrycie, kiedy jakaś niestała w uczuciach łania, znudzona wojowniczym zewem eugenicznej roztropności wyrażonym w rykach dorodnego samca, wymykała się w dolne partie doliny, żeby zagrać w genetyczną ruletkę z bardziej rachitycznym kawalerem z sąsiedztwa.

W ziemi siedziałem, leżałem i wędrowałem. Ponieważ ziemia była nienawistna i złożona z martwych organizmów, często wspinałem się na gałęzie drzew, pod którymi przesiadywałem w lecie. Jelenie przetrwały, a ja po raz kolejny przekonałem się, że mogę się z nimi spotkać tylko w wynędzniałym świecie walki o przetrwanie.

A potem zrobiłem to ponownie i ponownie, i ponownie, i ponownie.

Strasznie mnie to nużyło. Po powrocie do chaty z rozpaczą i odrazą przeglądałem notatki. Nie powiedziały mi niczego o świecie jeleni ani zbyt wiele o moim własnym, z którego próbowałem uciec. Tonąłem w mdlących odmętach antropomorficznej fantazji — i to szybko.

Działo się tak z jednego głównego powodu. Niezależnie od ciężaru poroży, niezależnie od królewskość kroku i grubości szyi, jelenie są ofiarami. Ich świat jest światem ofiar i można go dostrzec jedynie oczami ofiary. Pomijając tych kilka minut, kiedy uciekałem przed Montym, kilka godzin, kiedy dygotałem z zimna wśród jeleni w Glencoe i kilka poetyckich chwil wyobrażonej solidarności ze zziębniętymi łaniami w Hoar Oak, nie potrafiłem być ofiarą. Wyobrażenia i pomysłowość pozwalają mi upolować i dostrzec w sobie odbicie wszystkiego poza trwałą, rzutuującą na wszystko bezbronnością.

Moje dociekania straciły sens. Po co powstrzymywać się przed obcinaniem paznokci u stóp, skoro nie mogłem od zarania dziejów zasiadać na ławie oskarżonych. Przez resztę życia miałem tkwić w tym wagonie restauracyjnym nocnego pociągu do Kaledonii, z karabinem u boku i potencjalnymi ofiarami dokoła.

Nie potrafiłem zbliżyć się do jeleni w Exmoor ani w Szkocji. Wyszłoby mi to najlepiej, gdybym zapakował się do kartonu dostarczonego pod drzwi sklepu mięsnego.

„Klap, klap, klap”, przyklaskuje mi amator Sofoklesa, ale zaczynam podejrzewać, że robi to ironicznie.

[7] Hab 2,14 (przyp. tłum.).

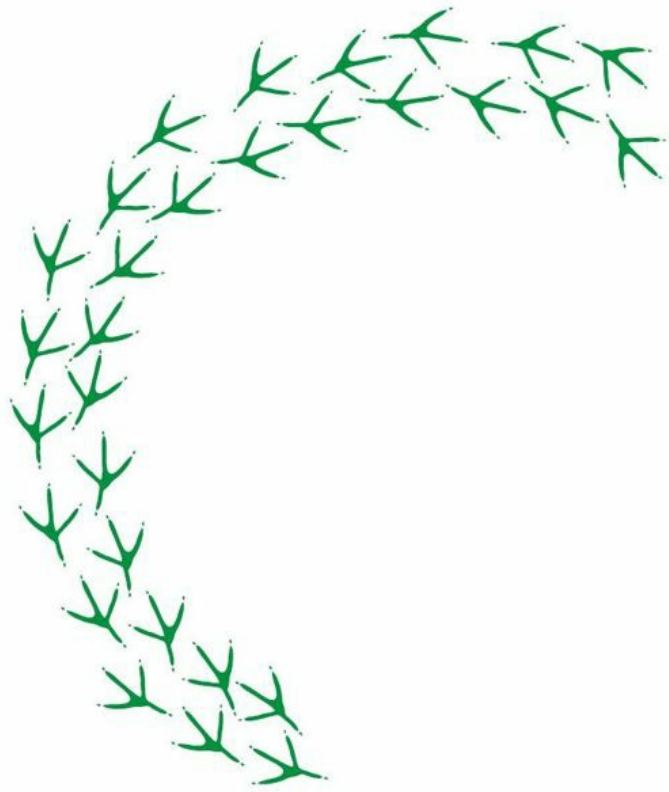
[8] Mt 5,5 (przyp. tłum.).

[9] Thomas Macaulay, *Pieśni starorzymskie*, przeł. Paulina Klarfeldówna, Biblioteczka Filomaty, Lwów 1936, s. 42 (przyp. tłum.).

6. POWIETRZE

Jerzyk





Niektórzy ludzie sądzą, że wolno im coś napisać o jerzykach, psach i termitach. Oto kilka powodów, dla których mogą tak myśleć, a także kilka faktów:

1. Niektóre psy wiedzą, kiedy ich właściciel wraca do domu, nawet gdy ów właściciel znajduje się w odległości kilkuset kilometrów albo kiedy zmienił plany i wraca w całkowicie nieoczekiwanym momencie.

2. Niektórzy ludzie również dysponują tą umiejętnością. Buszmeni Kalahari wiedzą, że uczestnicy wyprawy łowieckiej coś upolowali, co konkretnie upolowali i kiedy dokładnie powrócą — a wszystko to z odległości osiemdziesięciu kilometrów.

3. Podobne zjawisko ma w Norwegii specjalną nazwę: *wardøger*. Ktoś słyszy odgłos kroków albo chrzęst samochodu na żwirze, skrzypnięcie otwieranych drzwi czy strącanie śniegu z butów. Ale przed domem nikogo nie ma. Osoba, którą usłyszeliśmy, pojawia się dopiero kilka minut później. To użyteczna umiejętność. Mamy czas, żeby nastawić herbatę albo założyć elegancką sukienkę.

4. Wiele osób instynktownie wie, kiedy ktoś na nich patrzy.

5. Termyty są ślepe. Porozumiewają się za pomocą zapachu i stukotów. Można w ten sposób przekazać bardzo ograniczoną liczbę informacji. Jeżeli kopiec termitów ulegnie zniszczeniu i w powstałą wyrwę zostanie włożona przegroda blokująca zapachy i dźwięki, termyty znajdujące się po przeciwnych stronach nie mogą się ze sobą porozumieć.

Mimo to naprawiają obie strony kopca w taki sposób, że potem idealnie do siebie pasują. Najwyraźniej każda jednostka zna ogólny plan odbudowy. Podobne spostrzeżenia można poczynić na temat większości owadów prowadzących społeczny tryb życia.

6. Stada ptaków, ławice ryb i dziewczynki śpiewające w chórze poruszają się wspólnie jak fala obejmująca całą grupę. Tyle że fala ta przemieszcza się z prędkością znacznie przewyższającą czas reakcji jednostek, które stają się częścią superorganizmu w równym stopniu co pszczoły.

7. Młode kukułki nie znają swoich rodziców. Starsze kukułki wylatują z Europy do Afryki mniej więcej na cztery tygodnie przed osiągnięciem przez młode pokolenie zdolności do odbycia takiego lotu. Młode kukułki odnajdują drogę na afrykańskie żerowiska swoich przodków bez niczyjej pomocy.

8. Motyl danaid wędrowny wylęga się nad Wielkimi Jeziorami w Stanach Zjednoczonych i migruje na południe, aby przezimować na meksykańskich wyżynach. Wiosną leci na północ. Tyle że pierwsze pokolenie migrantów rozmnaża się w południowej części tej trasy (między Teksasem a Florydą), a następnie umiera. Nad Wielkie Jeziora docierają dopiero ich dzieci, które mają dość czasu, aby przejść kilka cykli rozrodczych. Pokolenie, które jesienią odlatuje na południe w stronę Meksyku, to prawnuki albo prapraprawnuki uczestników poprzedniej migracji.

9. Po wykluciu się z jajek pisklęta często przywiązują się do pierwszej rzeczy, którą zobaczą. Jeżeli tą rzeczą będzie robot, zaczynają traktować go jako swoją matkę. Przeprowadzono serię słynnych eksperymentów, w których ruchami robota kierował generator liczb losowych. Pisklęta, które uważały go za swoją matkę, chciały, żeby znajdował się blisko nich. W eksperymencie odseparowywano je od robotów za pomocą przegrody. Mimo to potrafiły zwabić go bliżej siebie. Potrafiły

psychokinetycznie zdominować mechanizm sterujący. Grupa kontrolna pisklaków, niedarzących robota miłością dziecka, nie potrafiła tego dokonać.

10. Kiedy uczeni tworzą nowy związek chemiczny, często bardzo trudno jest doprowadzić do jego krystalizacji. Niekiedy trwa to latami. Kiedy jednak jednemu zespołowi badawczemu, powiedzmy z Cambridge, uda się dokonać tej sztuki, często inny zespół, dajmy na to z Melbourne, powtarza ten wyczyn ledwie tydzień później. Istnieje wiele udokumentowanych przykładów tej prawidłowości. Sceptycy twierdzą, że być może kryształki uzyskane przez pierwszy zespół zostały przeniesione do drugiego laboratorium („hipoteza o brodzie chemika”), gdzie posłużyły jako załączek krystalizacji. Zazwyczaj jednak nie da się wykazać, że doszło do tego rodzaju kontaktu.

11. Podobne zjawiska obserwujemy w zachowaniach zwierząt. Jeżeli zespołowi X w Oksfordzie uda się po wielu latach prób nauczyć szczury określonej sztuczki, zespół Y, z Sydney, nie kontaktując się w żaden sposób z zespołem z Oksfordu, niespodziewanie odnosi podobny sukces.

12. Kiedy zabijemy jedną z dwóch komórek dwukomórkowego zarodka jeża morskiego, rozwija się z niego cały jeżowiec (a nie połowa). Jeżeli połączymy dwa zarodki jeża morskiego, otrzymamy jednego wielkiego jeżowca.

13. Dłoń, zbudowana z milionów różnego rodzaju komórek, rośnie do odpowiednich rozmiarów i przyjmuje odpowiedni kształt. Nie rośnie jednak dalej, niż powinna, i nie przybiera dowolnego kształtu.

14. Jednych ludzi lubię, innych nie, nawet jeśli nie potrafię u nich wskazać jakichś konkretnych, istotnych wad. Istnieją sympatyczni, życzliwi, ofiarni, zabawni ludzie, w których towarzystwie zwyczajnie się nie odnajdujemy.

15. W jednych miejscach czujemy się świetnie i jesteśmy szczęśliwi, a w innych, z pozoru podobnych, nie.

16. Miłość.

17. Paradoks Einsteina-Podolskiego-Rosena: cząsteczki pochodzące z jednego źródła (na przykład dwa fotony światła wyemitowane przez jeden atom) są w jakiś sposób powiązane, więc jeśli coś przydarza się jednej, znajduje to natychmiast odzwierciedlenie w stanie drugiej.

18. Rozmnażanie płciowe: utrapienie dla neodarwinowskiej ortodoksji, ponieważ ukrywa i rozcieńcza geny (zamiast stawiać je na pierwszym miejscu), które zostały uprzednio przetestowane przez dobór naturalny jako korzystne dla ich nosiciela.

19. Mimo że niektóre choroby albo urazy powodują utratę pamięci, nie zidentyfikowano nigdy jej ośrodka w ludzkim umyśle.

20. Altruizm.

21. Wspólnota.

Fakty te dotyczą jerzyków, ponieważ dotyczą świata jako takiego, a jerzyki, podobnie jak ja, są jego częścią. Fakty te wskazują, że aby pisać o jerzykach, wystarczy współzamieszkiwać z nimi świat. To wielka ulga, ponieważ trudno sobie wyobrazić bardziej obce nam istoty. Mogę o nich pisać tylko dlatego, że ja również jestem obcy lub (w zależności od nastroju) ponieważ nic nie jest obce.



Czasami wcale nie znajdują się aż tak daleko. Akurat teraz, dosłownie kilka stóp od mojej głowy, jerzyk wleciał prosto w dach; nie próbował nawet zwolnić. Był szybki jak myśl,

choć od niej zuchwalszy. Jeżeli coś jest równie szybkie jak myśl, być może owa myśl potrafiłaby za nim nadążyć. A jednak nie sposób uchwycić niebieskości pułapu jego życia ani wiedzieć, że całe życie jerzyka jest zaledwie westchnieniem.

Wspomniany jerzyk, który przyniósł kulkę złożoną z połączonych śliną pięciuset owadów do łysych piskląt mieszkających w przewodzie wentylacyjnym pod okapem dachu, wykrzykuje coś na całą ulicę z wysokości mojego gabinetu na piętrze. Zerka do środka i przygląda się, jak robimy książki, dzieci i herbatę; patrzy na kołdry w kwieciste wzory, na edwardiańskie tynki, okazałe pseudoboazerie, rzędy monografii poświęconych wspaniałościom z okresu *quattrocento*; na niedźwiedzie, czaszki, tybetańskie maski, psychotyczne lalki i duże ilości uprzejmej desperacji. Wykrzykuje na jedną i drugą stronę ulicy bez większego powodu, może poza takim, że przyjemnie jest sobie pokrzyczeć i ponieważ taki ma akurat nastrój. Nie są to krzyki towarzyszące polowaniu na mszyce, chrząszcze ani seksowi.

Czasami przyłączam się do niego w tych bezcelowych okrzykach.



Nasz jerzyk wyklął się w Oksfordzie cztery lata temu. Przez sześć pierwszych tygodni rósł jak na drożdżach. Potem wypadł z gniazda nad kubłami na śmieci, ale zdążył uruchomić skrzydła, zanim uderzył w poręcz, po czym spędził resztę nocy w powietrzu dwa kilometry nad Oksfordem, machając od czasu do czasu skrzydłami i wzlatając powoli coraz wyżej i wyżej na wietrze, aż wreszcie

dwa tygodnie później wyruszył w podróż do Afryki.

Powrócił następnego lata, wykręcił kółko nad naszym domem, nie spłodził potomstwa, odleciał kilkakrotnie do Afryki, aż w końcu podczas kolejnej wizyty w Oksfordzie znalazł dziurę w naszym domu oraz mniejszą dziurkę, w której umieścił swoje nasienie. Do chwili, kiedy wleciał ponownie pod nasz dach, przez cztery lata nie dotknął ziemi, drzewa ani budynku — niczego poza owadami i powietrzem.



O jerzykach opowiada się zazwyczaj za pomocą jednej z dwóch kategorii słów: słów opisujących eteryczność i słów opisujących gwałtowność. Nie wykluczają się one bynajmniej. Dzięki gwałtowności eteryczność staje się bardziej dostępna. Jerzyki odsłaniają nam niebo, dzięki czemu staje się ono dla nas dostępne. Rozcinają międzygatunkową membranę.

Gdyby jerzyki nie przyleciały, musielibyśmy się zadowolić tym, co mamy.

W tym roku pojawiły się późno. Zacząłem panikować. Wstawałem bardzo wcześnie i podbiegałem do okna, sądząc, że słyszę ich krzyki. Ale zastawałem tam tylko równie ociążałe co ja gołębice — które spały na drzewach i przysiadają na ziemi.

Aż wreszcie, kiedy leżałem akurat na plecach, nagle się pojawiły.

– Tatusiu, dlaczego płaczesz? — zapytała Rachel, która wpatrywała się w moją twarz, a nie w niebo.

– Bo wszystko będzie dobrze — odparłem. — Ponieważ świat wciąż działa.

– To dobrze — powiedziała.

Z jerzykami zawsze jest tak, że nagle są i nagle ich nie ma.



W powietrzu aż się roi. Unoszą się w nim — niczym plankton w morzu — żywe istoty: mszyce, robaki, pająki, żuki. Może się zdarzyć, że mszyca zostanie porwana ze źdźbła trawy w angielskim lesie, poszybuję ze strumieniem powietrza w górę, przeleci nad Pirenejami, nad Cieśniną Gibraltarską i wpadnie do wola chwastówki zwyczajnej mieszkającej w jakieś oazie w Mauretanii.

Próbowałem wyznaczyć kształt wirów powietrznych. Najłatwiej robić to z dość wysokich, nagich drzew o dużej liczbie punktów podparcia dla nóg na różnych wysokościach. Można na tym spędzić piękny mesmeryczny dzień.

Wiry najłatwiej obserwuje się dzięki unoszącemu się w powietrzu puchowi ostu. Pojedyncze ziarenko nie waży pewnie wiele więcej od mszycy.

Blisko ziemi puch ostu zachowuje się niepewnie. Przemieszcza się poziomo z boku na bok, jakby sprawdzał, ile warte są poszczególne kanały powietrzne. Po wzbiciu się powyżej jednego metra już wie, gdzie zamierza się udać, choć inna drobinka puchu pochodząca z tej samej główki ostu mogła równie dobrze dokonać innego wyboru.

Między drzewami lub nad łąką wiry tworzą niewidzialny las splecionych kominów. Ściany tych kominów są dość twarde. Niewiele zdoła z nich uciec. Często znajdują się bardzo blisko siebie, ale rzadko przebiegają równolegle; niekiedy nawet się krzyżują. W każdym występuje dośrodkowy ciąg, niemniej nie przemieszcza się on jedynie prosto w górę. Występują w nich pływy i wiry. Robaki i nasiona odbijają się

od siebie i od ścian: wykonują salta i arabeski. Mszyca, która wleciała już niemal nad korony drzew, może zostać skierowana z powrotem w dół przez tłuste policzki lata, a po drodze minąć się z inną przedstawicielką gatunku, która godzinę wcześniej zaczęła wędrówkę w górę z podszycia lasu.

Nad koronami drzew powstaje splątane ujście wirów. Kominy rozszerzają się, zaczynają się ze sobą łączyć i wylewać do płaskiej misy, która okrężnym ruchem zagarnia je wszystkie ku sobie. Uniesione drobinki nabierają szybkości; strumienie są szersze i gęstsze.

W tych właśnie strumieniach posilają się jerzyki. Być może wyżej tworzy się kolejna delta i ponownie dochodzi do wypłaszczenia kominów. Wiemy tylko, że na wysokości mniej więcej 100 metrów żniwa nie są już tak obfite. Mimo to jerzyki wzbijają się często znacznie wyżej, gdzie istnieje niewielka nadzieja na znalezienie pożywienia.

Na otwartym terenie sytuacja wygląda inaczej. Słońce wysysa tam mocno ziemię. Wały wietrznej fali przyboju przebiegają nad ziemią, uderzają w mur albo zmarszczkę terenu i wzlatają, zamieniając się w grzyby. Ich powietrzne nóżki są wielkimi, wirującymi rzekami maleńkich pajaków i mszyc, czasami szerokimi na kilkaset metrów, biegnącymi wezbranymi kaskadami z pól ku płynącym wysoko chmurom. Szarpią zanurzoną w nich rękę.

W lecie niebo przybiera zazwyczaj dla ptaków postać ściśle uwarstwionej kanapki. Jerzyki pożywiają się na jej szczycie; brzegówki pod nimi; a przelatujące nisko jaskółki wzbudzają za sobą fale na trawie. Jerzykom zdarza się czasami ześlizgnąć na poziom brzegówek, a kiedy w powietrzu unosi się duża ilość wilgotnej energii elektrycznej, schodzą jeszcze niżej, między jaskółki, nad pola i rzeki.

Jerzyki są wybredne. Mimo że łowią po pięć tysięcy owadów dziennie i choć potrafią rozewrzeć szeroko dziób,

zazwyczaj nie trałują. Polują na duże, nieżądłące owady. Czasami widać, jak nagle zmieniają tor lotu, żeby jakiegoś dopaść. W zależności od sytuacji bardzo uważnie wybierają swoje ofiary. Kiedy polują na pszczoły, wyławiają tylko pozbawione żadeł trutnie. Spróbujcie odróżnić trutnia od robotnicy, poruszając się z prędkością 15 metrów na sekundę. Jerzyki nie zrażają się ostrzegawczym ubarwieniem owadów: zjadają duże ilości owadów naśladujących wyglądem pszczoły i osy, ale pozbawionych żadeł. Nie mamy pojęcia, jak je odróżniają, ale muszą to być wskazówki wizualne.

Są raptorami — powietrznymi psami gończymi — kłapiącymi niczym terriery, dlatego też posiadają dwie siatkówki: płytką, jednooczną, i głęboką, powiększającą. Ten podwójny narząd wyposaża je zapewne w widzenie dwuoczne wykorzystywane do obliczania odległości do poruszających się szybko owadów. Przypominają gepardy albo sokoły wędrowne. Kiedy jerzyk zauważy potencjalną ofiarę, znajduje się od niej w podobnej odległości, relatywnie do wielkości ofiary, jak sokół wędrowny od gołębia, gepard od gazelopki sawannowej czy ja od jelenia szlachetnego stojącego po drugiej stronie górskiego zbocza. W każdym z tych przypadków występują identyczne problemy wizualno-przestrzenne. Podobnie jak sokół, jerzyk kiwa głową, przełączając się między dwoma narzędziami — perspektywą ogólną i perspektywą szczegółową. Obie są potrzebne, aby polowanie zakończyło się sukcesem, a nie żądłem wbitym w jamę gębową.

Choć jerzyki są głównie łowcami samodzielnie dobierającymi sobie ofiary, nie mają nic przeciwko łykaniu i gorączkowemu objadaniu się, jeżeli tylko powietrzne kominy wyrzucają w górę świeżo wyklute owady.

Zdarzyło mi się raz znaleźć w środku takiej morderczej

orgii. Ciągnąłem swoje malutkie dziecko do żłobka, gdzie miało zostać na jakiś czas poskromione, kiedy w powietrze nad lasem przy naszej drodze rozbłysło czarnymi, skrzeczącymi iskrami. Jerzyki dorwały się do świeżo wyklutych owadów unoszących się nad koronami drzew. Nie próbowały nawet wykonywać ostrych zwrotów, tylko po prostu przelatywały nad drzewami, unosząc głowy z szeroko rozwartymi dziobami, celując w obszary o największej gęstości.

Przebiegliśmy na drugą stronę drogi. Powiedziałem trzylatkowi, żeby zaczekał w pokrzywach, i wdrapałem się na drzewo, jak tylko mogłem najwyżej. A było to dość wysoko. Kołysałem się w rozwidleniu gałęzi tuż pod koroną, wystawiając głowę w strefę śmierci delty.

Zobaczyłem język, przysadzisty, szary i suchy; zobaczyłem siebie, napiętego i z oczami wielkimi jak spodki. Poczułem na twarzy chłodną elektryczną lekkość skierowanego w dół podmuchu wiatru. Nabrałem pełne usta nimf i wyplułem je na dach nowiutkiego merca, którym wieziono dziecko z domu stojącego 300 metrów dalej.

Nigdy bardziej się do nich nie zbliżyłem.

Zostać jerzykiem? Równie dobrze mógłbym próbować zostać Bogiem.



Założyłem uprząż i spadochron poderwał mnie w górę. Poznałem w ten sposób smak wysokości — tyle że był to smak odczuwany przez podniebienie zaprojektowane do przebywania 180 centymetrów, a nie 18 tys. metrów, nad ziemią. Poznałem wycie wiatru, tyle że było to wycie w łopocących uszach przyczepionych po bokach dużej,

kanciastej bryły, jaką jest głowa, wstawionej pod tryskający wodą kran. Nie dowiedziałem się, w jaki sposób temperatura zmienia się wraz z wysokością: twarz za bardzo rozgorzała mi od strachu i koncentracji, żeby mógł poczuć cokolwiek innego, a reszta ciała była owinięta wełną i nylonem.

Jerzyki wyczuwają ukształtowanie gruntu na podstawie jego oddechu. Za pomocą nosa odszukują drogę między kolumnami zapachów. Polują w zwierciadlanym odbiciu ziemi — odbiciu gęstym i lepkiem jak cukierek toffi.

Spojrzałem w dół na las i pola — zobaczyłem las i pola. Dla jerzyka to pizzerie oferujące dostawę na wynos. Nigdy do nich nie chodzicie, tylko dzwonicie i rozmawiacie z jakimś bezcielesnym głosem. Nie bardzo nawet wiecie, jak to miejsce może wyglądać. Nigdy się nad tym nie zastanawialiście. Potrafilibyście zapewne określić, gdzie się z grubsza znajduje. W razie absolutnej konieczności posłużylibyście się położeniem tego miejsca jako wskazówką, jak dojść gdzie indziej (podobnie jak jerzyk mógłby wykorzystać do nawigacji jakieś charakterystyczne obiekty na ziemi). Niemniej miejsce to jest tak naprawdę interesujące tylko z jednego powodu: jako źródło pizzy. Jerzyk siedzi w swoim domu — w powietrzu — a ziemia dostarcza mu pożywienia.

Nic dziwnego, że poeci piszą o jerzykach wyłącznie w kategoriach ich eteryczności. Jeżeli cokolwiek można określić mianem ucieleśnienia eteryczności, to właśnie je.

Główna trudność w staniu się jerzykiem nie sprowadza się jednakże do faktu, iż on żyje w powietrzu, a ja na ziemi. Chodzi o prędkość. Jako człowiek jestem niesamowicie powolnym zwierzęciem. Różnimy się ogromnie postrzeganiem tekstury powietrza, ale to jeszcze nic w porównaniu z różnicą tempa naszego życia.

Jerzyki osiągają wiek porównywalny z niektórymi ludźmi.

Wiemy, że niekiedy dożywają dwudziestego pierwszego roku życia. Prawdziwa różnica polega na intensywności tego życia.

Zacznijmy od odrobiny arytmetyki, ponieważ i z liczb można wyczytać jakąś prawdę:

Każdego roku wiosną i jesienią jerzyki pokonują około 9 tys. kilometrów między Oksfordem a Kongiem, co daje 18 tys. kilometrów rocznie. Liczba ta nie obejmuje dystansów, jakie pokonują one na co dzień. Migracja trwa około 66 dni jesienią (30 dni na podróż i 36 dni na przystanki) oraz 26 dni wiosną (21 dni na podróż i 5 dni na przystanki)[\[10\]](#). Jesienią przelatują około 300 kilometrów dziennie, a wiosną 430. Załóżmy, że w czasie migracyjnych przystanków pokonują 75 kilometrów dziennie, pożywiając się, wlatując, śpiąc i baraszkując. Załóżmy, że w okresie poza migracją pokonują 100 kilometrów dziennie.

A zatem:

Migracja wiosenna: 9000 km + 375 km w czasie przystanków

Migracja jesienna: 9000 km + 2700 km w czasie przystanków

Pozostała część roku: 273 dni po 100 km = 27 300 km

Łącznie w roku: 48 375 km

W ciągu dwudziestu jeden lat daje to 1 015 875 kilometrów — czyli mniej więcej 1/150 odległości między Ziemią a Słońcem i 2,6 odległości między Ziemią a Księżycem.

Jerzyki mają około 16,5 centymetra długości. Ja mam 180 centymetrów wzrostu — około jedenaście razy więcej. Gdybym miał w ciągu dwudziestu jeden lat przejść proporcjonalnie większy dystans, pokonałbym niemal 1/13 odległości do Słońca i 29 odległości do Księżyca. Gdybym utrzymał to samo tempo do 84 roku życia — realistyczny

odpowiednik długowiecznego jerzyka — przeszedłbym 1/3 drogi do Słońca i 116 odległości do Księżyca.

Ale życie jerzyka nie składa się z samych podróży i zabijania (choć wyobraźmy sobie miliony pojedynczych, opartych na precyzyjnych szacunkach skrętów głowy w stronę konkretnego owada i następujących po nich kłapnięć dziobem). Wspomniany dwudziestojednolatek mógł się rozmnożyć 19 razy. Średnia liczba młodych na sezon lęgowy sięga 1,7. To daje 32 pisklęta w ciągu całego życia jerzyka. Pomnóżmy to przez cztery, a uzyskamy dietność, jaką powinienem proporcjonalnie osiągnąć ja, czyli 128 dzieci.

Tak przedstawiają się główne aspekty życia jerzyków. A w jaki sposób one same postrzegają swoje życie? Jeżeli (tak, zdaję sobie sprawę, że jest to śmiała hipoteza) oglądają, jak my, film ze swojego życia, jak szybko się on porusza? I w jak szalonym tempie następują po sobie kłapnięcia dziobów?

Jeżeli pytania te mają cokolwiek znaczyć, muszą w jakiś sposób, choćby rudymmentarny, uwzględniać prędkość percepcji.

Ślimaki poruszają się bardzo, bardzo powoli. Poszczególne zdarzenia musi dzielić co najmniej 1/4 sekundy, aby ślimak postrzegał je jako odrębne. Jeżeli zaczniecie machać ślimakowi przed nosem w tempie przekraczającym 4 razy na sekundę, będzie widział jeden nieruchomy palec. Rozleniwienie zamraża ruch: rozmywa go, upraszcza i łączy, a w tym łączeniu traci się sporą część całościowego obrazu. Przesłonięte zostają wówczas elementy obserwowanych rzeczy, jeżeli z tymi elementami związany jest wymiar czasowy, a następnie w naszych głowach powstaje fałszywe przekonanie, że postrzegamy świat takim, jakim on jest naprawdę. Taka percepcja odziera nasze widzenie z wymiaru

czasowego. Nadmierne uproszczenie obrazu jest oszustwem.

Tymczasem szybkość, jeżeli tylko potrafimy jej sprostać, może nam uświadomić wartość czasu; pozwoli zobaczyć sprawy w odpowiedniej perspektywie czasowej; nasycić je złożonością i szczegółami. Gdybyście, podobnie jak wiele ptaków, potrafili usłyszeć dźwięki następujące po sobie w odległości mniejszej niż dwie milionowe sekundy, poznalibyście barokową złożoność ptasiego śpiewu — nawet tego z pozoru nijakiego. A gdybyście ją taką usłyszeli, padlibyście z wrażenia na kolana. Zachwyt bierze się z odpowiednio wysokiej złożoności obrazu — w ptasich trelach, w optyce, w filozofii, w teologii. Nie odczuwają go tylko osoby ślepe na aksamitnie płynny ruch gąsienicy i głuche na stęknienie krokusa wystawiającego nos spod ziemi, ale często nawet i je trudno za to winić.

Spróbujmy ująć to inaczej: naprawdę szybki sprzęt i oprogramowanie potrafią skutecznie spowolnić bieg świata. Rozpoznający najdrobniejszy dźwięk ptak słyszy to, co ja bym usłyszał, gdybym spowolnił odtwarzanie ptasiego śpiewu. Można przyjąć, że potrafiłbym odróżnić dwa dźwięki następujące po sobie w odległości 0,02 sekundy. Ptak słyszy w jednej sekundzie to, co mnie zajęłoby 2 godziny i 45 minut.

Jeżeli pozostała część nagrania ptasiego świata jest odtwarzana w podobnym tempie, a ptak (nazwijmy go jerzykiem) żyje 21 lat, to ponieważ jego życie toczy się w 10 tys. razy szybszym tempie od mojego, umiera on w faktycznym wieku 210 tys. lat. Mniej więcej taki dystans dzieli nas od pierwszych przedstawicieli naszego gatunku, którzy wyewoluowali w Afryce.

Przyjrzyjmy się teraz prędkości w wymiarze fizycznym, co oczywiście wymaga zwrócenia uwagi na wiele różnych trybów neurologicznych. Ślimak rozróżnia elementy świata

fizycznego w rozpaczliwie skromnej skali, ponieważ porusza się po ziemi z prędkością maksymalnie jednego metra na godzinę.

Największa zarejestrowana na dużym dystansie prędkość u migrujących jerzyków (bez wątpienia wspomagana przez wiatr) wynosi 650 kilometrów dziennie. Średnia prędkość migracji to 336 kilometrów dziennie. Badanie radarem śledzącym pozwoliło wyznaczyć prędkość podczas wiosennej migracji na 10,6 metra na sekundę, która — gdyby utrzymać ją przez całą dobę — pozwoliłaby na pokonanie w tym czasie 916 kilometrów. Najszybszy człowiek, Usain Bolt, rozwinął prędkość 12,4 metra na sekundę na odcinku 100 metrów. Po przebiegnięciu tego dystansu zatrzymał się, dysząc ciężko, został owinięty w koc, otrzymał napój energetyczny i został przeniesiony na rękach wokół stadionu. Jerzyki przelatują codziennie 3360 razy większy dystans przez większą część miesiąca, łapiąc pożywienie i odnajdując drogę nad pustyniami, morzami i górami. My, nawet przy największym wysiłku, jesteśmy ślimakami.

Do tego rodzaju suchych matematycznych porównań można zgłosić oczywiste zastrzeżenia. Mnie również przychodziły one do głowy w trakcie pisania. Wszystkie je zresztą podzielam. Ale nawet jeśli tego rodzaju porównania nie mają najmniejszego sensu, warto je czynić, aby wykazać ich bezwartościowość i w ten sposób ustąpić miejsca innym.

Przytoczone liczby można uznać za gramatykę świata jerzyków. Gramatyka jest konieczna, ale niewystarczająca dla poezji.

Próbowałem mówić prozą, ponieważ w przypadku jerzyków poezja nas zawodzi.



Nie mogę podążyć za jerzykami w powietrze. W mniejszym stopniu przypominałbym je tam niż tu na ziemi. Podróż samolotem nie ma oczywiście nic wspólnego z przebywaniem w powietrzu. W pędzącej rurze wypełnionej wzdętymi przewodami pokarmowymi od jerzyków dziela nas lata świetlne. Widok z okien samolotu jest bezcieleśnie kartograficzny.

Powietrze siłą rzeczy wiąże się zatem dla mnie ze sprzączkami i uciskającą jaja uprzężą. Podskakuję, kołyszę się i wiruję. W najlepszym razie jestem wielką mszycą — unoszącym się w powietrzu kawałkiem jerzykowego pożywienia. Na ziemi mogę się przynajmniej uchylić, zwinąć na kilka sekund, a przebywając na górskim zboczu w czasie wichury czuję się bezpiecznie, kiedy wiatr owiewa mnie z tą samą prędkością co wokół głowy migrującego jerzyka. Kiedy zdjąłem z siebie ubranie na szczycie naszego wrzosowiska, otrzymałem informacje zwrotne od moich zwichrzonych włosów, które w pewnym stopniu przypominały mrowienie receptorów dotykowych piórek nitkowatych jerzyka — maleńkich, włosopodobnych, rosnących między piórami konturowymi, poruszających się wraz z nimi i informujących centrum dowodzenia o położeniu w przestrzeni każdego z dużych piór.

Woda jest pewnie lepsza, ale mimo wszystko niewystarczająca. Unoszę się w niej podobnie jak jerzyk w powietrzu, kiedy śpi na wysokości trzech kilometrów nad morzem. Moje nogi byłyby odpowiednikiem rozwidlonego ogona: spełniają tę samą funkcję. Mogę ustawić ręce pod takim samym kątem, pod jakim jerzyk układa swoje szablowate skrzydła, i będą mi one pomagały się wznosić i opadać. Tyle że woda niemal w równym stopniu oddali mnie od życia jerzyka, co do niego przybliży. Pozbawi mnie

prędkości, a przez to jerzykowego czasu. Powolny jerzyk jest chyba w jeszcze mniejszym stopniu jerzykiem od sztywnego jerzyka.

Naśladowanie jerzyka wychodzi mi najlepiej, kiedy przebywam na ziemi. Przynajmniej mogę wtedy zobaczyć i wyczuć nosem źródła powietrznych rzek, w których ptaki łowią swoje owady, usłyszeć obok ucha brzęczenie osy, które ucichnie na wysokości trzystu metrów, i pacnąć muchę na ramieniu z mniej więcej taką samą szybkością, z jaką jerzyk obróciłby głowę i pochwycił go dziobem.



Siedząc na ławce w moim oksfordzkim ogrodzie, wodziłem spojrzeniem za jerzykami i zamartwiałem się, kiedy wzlatywały w górę, aby przenocować wysoko w powietrzu, poza zasięgiem wzroku, poza jakąkolwiek sensownością, wrażliwością i słowami.

Nie potrafiłem się pogodzić z tym, że odlatywały na południe. Podążyłem za nimi przez Kanał La Manche i Francję, wynotowując niewolniczo — niczym osierocony akolita szukający relikwii albo świętych miejsc — wszystko, co jerzyki mogły po drodze zobaczyć, wyczuć albo usłyszeć. Uważałem za istotne, aby w odpowiedni sposób oddać w moich notatnikach zapach ognisk Pikardii: ptaki mogły przecież pochwycić żuki, które zostały wyniesione na poziom chmur przez ogień. Nie bez znaczenia było brzmienie rozmów toczonych w pirenejskiej knajpce: te same frazy wypowiedano tam zapewne dwa tygodnie wcześniej, z tym samym natężeniem i przy tych samych stolikach, a przez to odbijały się od tych samych pokrytych pleśnią białych ścian i wzlatywały ponad górskie szczyty pod tymi samymi kątaami,

współtworząc dobrze znany jerzykom szum i warkot albo w ten sam sposób podrywając przelatującą tamtędy mszycę, a przez to prowokując jerzyka do odwrócenia głowy. Wino sączone na andaluzyjskim dziedzińcu wymagało dokładnego opisanie, ponieważ azotan z jerzykowego guana mógł trafić do winogron i ponieważ owady, które pożywiały się winoroślami, mogły zostać porwane przez jakiś wir przepelniony zapachem cytryn i gnijących krewetek i zostać pożarte przez sami wiecie co. Albo sami wiecie kogo.

Ten świat okazał się siecią, cienutką niczym gaza, splatających się ze sobą przyczyn — każda z nich była powiązana z innymi, a nawet więcej: jeżeli tylko prześledziło się ją odpowiednio dokładnie, była możliwa do powiązania z jerzykami. Wiem, znajdowałem się pewnie o komarzy włos od utraty zmysłów.

Kiepsko to wyglądało. Jerzyki były dla mnie alfą i omega, a to pomniejszało znaczenie pozostałych liter alfabetu i ograniczało moje słownictwo. Obsesja na punkcie jerzyków ciągnęła się przez lata. Czasami była to wyczerpująca zabawa, którą w co bardziej napuszonych chwilach uzasadniałem jako swego rodzaju eksperyment myślowy. „W jaki sposób za pomocą jerzyków można powiązać mój łokieć tenisisty z bankructwem islandzkiego banku?”, pytałem sam siebie. W chwilach, gdy na szczęście potrafiłem się zdobyć na autoironię, przypominałem sobie scenkę z mojej fundamentalistycznej szkółki niedzielnej:

Nauczyciel: Caleb, co to jest: małe, pokryte rudym futerkiem, żywi się orzeszkami, ma długi puszysty ogon i skacze z gałęzi na gałąź?

Caleb: No cóż, wiem, że odpowiedź musi brzmieć: „Jezus”, ponieważ zawsze tak jest, ale wygląda mi to na wiewiórkę.

W moim przypadku odpowiedź zawsze brzmiała: „Jerzyki”.

Tę główną patologię wzmacniało dodatkowo jeszcze większe dziwactwo. Podobnie jak pielgrzymi pragną iść śladem uczniów, którzy szli w ślad za Nauczycielem, ja również szedłem w ślady moich własnych prób podążania za jerzykami. Wiosną obserwowałem Cieśninę Gibraltarską, siedząc w tym samym barze, na tym samym krześle, pijąc tę samą sherry, ponieważ właśnie tam się znajdowałem i właśnie to piłem, kiedy one poprzednio dotarły do wybrzeża. Poprosiłem muzyków, żeby zagrali tę samą melodię, która poprzednio je tam sprowadziła. W Oksfordzie na przełomie kwietnia i maja zawsze szedłem ze spuszczonego wzrokiem, zbliżając się do miejsca na drodze, gdzie zawsze widziałem je po raz pierwszy po powrocie z Afryki — złękniiony, że zobaczą je gdzie indziej.

Wygląda to na (w najlepszym razie) przypadek poważnego zaburzenia osobowości albo zaburzenie obsesyjno-kompulsywne. Może, kto wie. Bardziej życzliwe byłoby słowo „nawyk”.

Wolę to ostatnie określenie. Tak naprawdę bardzo mnie to ekscytuje. Nawyk może być sposobem zbliżenia się do jerzyków. Wszystkie pozostałe portale wydają się zamknięte na cztery spusty.

Jerzyki podlegają tym samym prawom przyrody co ja, mimo że swoimi zachowaniami często pozornie temu przeczą. Niezależnie od tego, jak bardzo wydają się ocierać o nieśmiertelność, w końcu umierają. Grawitacja nie ma dla nich równie wielkiego znaczenia co dla mnie, ale przecież nie są na nią niewrażliwe. Podlegamy tej samej jurysdykcji, mamy ten sam paszport. Możemy razem żyć; możemy razem podróżować; już teraz łączą nas pewne wspólne nawyki, więc możemy popracować nad zwiększeniem ich liczby.

Według biologa Ruperta Sheldrake'a (który zestawił wiele faktów przytoczonych na początku rozdziału) prawa przyrody

przypominają nawyki. Wydają się prawdziwe, ponieważ wszechświat przyzwyczał się do funkcjonowania w ten właśnie sposób. Atomy sodu i chloru w naturalny sposób uzyskują konfigurację charakterystyczną dla kryształków soli, ponieważ do tego właśnie są przyzwyczajone; robiły to wcześniej tryliony razy; taki ustalił się wzorzec; elektrostatyczne rowki są do siebie idealnie dopasowane; proces przebiega gładko, ćwiczenie czyni mistrza; nawyk polega na poruszaniu się po linii najmniejszego oporu; nawyki wytworzyły się, ponieważ sprawdzają się w praktyce, a trwają, ponieważ nieustająco się sprawdzają.

Jak doskonale wie każdy, kto zaczynał biegać albo się odchudzać, nowe nawyki są trudne do wyrobienia. Wszechświat jest twardą powierzchnią, na której niełatwo żłobi się nowe koleiny. Kiedy jednak coś zostanie zrobione raz, znacznie łatwiej jest to powtórzyć. Przypomnijcie sobie brodę chemika albo szczury w Oksfordzie i Sydney. Kiedy jakaś czynność zostanie powtórzona tysiąc razy, będzie przychodziła jeszcze łatwiej. Nic dziwnego, że historia ewolucji jest naznaczona tyłoma zrywami: przez miliony lat nie dzieje się nic, a potem następuje skok rozwojowy.

Moje palce przestały rosnąć, ponieważ ich opuszki natrafiły na granicę utrwalonego wzoru. To było nawykowe zachowanie. A palce, jak to palce — zachowują się zgodnie ze wzorcem. Młode kukułki przyciąga do Afryki wspomnienie osadzone głęboko w zbiorowej kukułczej podświadomości — wspomnienie tego, jak zachowują się kukułki. Jung nie mylił się akurat w kwestii kukułek, palców i kryształków soli.

Wymaga to sporej dozy mistycznego myślenia. Sód musi porozumieć się z chlorem; palce z etapu embrionalnego muszą rozmawiać ze swego rodzaju idealnym palcem; młode kukułki — nawiązać kontakt ze swoimi nieżyjącymi

przodkami. Całe to skomplikowane przedsięwzięcie, jakim jest migracja, zaczyna przypominać seans spirytystyczny. Ma w sobie coś przerażającego i platońskiego. Na wysokości sześciu tysięcy metrów jerzyki zostają porwane przez niematerialny przyływ wytwarzany przez miliony swoich nieżyjących przodków. Martwi niebiescy pasterze zaganiają je nad Pirenejami, nad Morzem Śródziemnym i zachodnim krańcem Sahary do Konga.

„Nie trzeba w ogóle powoływać się na tego rodzaju zjawiska, żeby wyjaśnić migrację”, powiedział mi kiedyś znany zoolog. „Tradycyjna biologia znakomicie sobie z tym radzi. Ptaki dysponują genetyczną mapą, która podpowiada im z grubsza, gdzie powinny się udać. Poza tym istnieje szereg mechanizmów wspomagających. Na przykład kryształki magnetyczne w głowach. Wewnętrzne zegary i położenie słońca w ciągu dnia; posiłkowanie się w razie konieczności przenikającym przez chmury promieniowaniem ultrafioletowym”.

Naprawdę? To aż takie proste? Właśnie ta rozmowa, bardziej niż cokolwiek innego, popchnęła mnie w ramiona Sheldrake'a. Przychodzi tu na myśl stwierdzenie Terence'a McKenna: „Współczesna nauka opiera się na zasadzie: «Dajcie nam cud, a my wyjaśnimy resztę»”. Spostrzeżenie to McKenna wygłosił w odniesieniu do kompleksowych wyjaśnień świata naturalnego. Następnie stwierdził: „Jedynym cudem jest pojawienie się w jednej chwili i z niczego całej masy i energii we wszechświecie i wszystkich rządzących nimi praw”. Podobnie ma się rzecz ze wszystkimi trudnymi do wyjaśnienia faktami z listy otwierającej ten rozdział. Podarujcie nam prawa rządzące skłonnością identycznych pod względem genetycznym komórek do zachowywania się zgodnie z niewidzialnym planem oraz mechanizm umożliwiający zakodowanie tej

skłonności i późniejszej identyczności zachowań, a wyprodukujemy artykuły naukowe opisujące te zjawiska, w których posłużymy się terminami w rodzaju „predeterminowane różnicowanie somatyczne” i spróbujemy ukryć fakt, że nie mamy zielonego pojęcia, w jaki sposób się ono odbywa. Wyposażcie młode kukułki w pragnienie wyruszenia w podróż liczącą kilka tysięcy kilometrów, bez przewodnika, do miejsc w Afryce, gdzie wpadną na swoich genetycznych rodziców, a my przedstawimy wam kilka inteligentnie brzmiących hipotez, w jaki sposób, kiedy już się tam znajdą, mogą posłużyć się magnetytem do wytyczenia skomplikowanej trasy powrotnej. Czy „mapa genetyczna” nie jest czymś równie tajemniczym co podświadomość zbiorowa? Tyle że niczego tak naprawdę nie wyjaśnia. Czy mapa genetyczna nie jest w istocie przejawem istnienia podświadomości zbiorowej?

Możecie powątpiewać w moc wyjaśniającą hipotezy Sheldrake’a albo podważać leżące u jej podłoża obserwacje empiryczne, ale faktem jest, że uprawia on znacznie bardziej satysfakcjonującą biologię niż ten, dla kogo migracja kukułek nie stanowi problemu wymagającego bardziej fundamentalnej odpowiedzi od stwierdzenia, że istnieje „wewnętrzny kompas”.

Sheldrake określa mianem „pól morficznych” siły ciągnące jerzyki i kukułki w migracyjnych pływach, nakazujące komórkom palców rozwijać się do ściśle określonego punktu, nie bliżej ani nie dalej, i układać się atomom w zwyczajową strukturę. Siła tego pola, przekonuje, bierze się po części z podobieństwa. Wszystkie składniki wszechświata są zapewne powiązane za pomocą jakiegoś pola, ale rodzinne podobieństwo zwiększa jego moc.

Jest to po prostu inny sposób myślenia o nawykach. Wszystkich przedstawicieli gatunku o nazwie „jerzyk” łączą

pewne nawyki. Nawyki te mają z kolei to do siebie, że się nawzajem umacniają. Łączą nas zresztą nie tylko z innymi przedstawicielami naszego gatunku, ale ze wszystkimi innymi istotami, z którymi mieszkamy. Upodabniamy się do naszych psów, a one do nas. Przebywając w lesie, zaczynamy mówić z akcentem drzew.

Powinno być czymś oczywistym, że wiedzy nie czerpiemy wyłącznie od istot aktualnie żywych w sensie biologicznym. Uczenie się czegoś od kogokolwiek to ćwiczenie z jasnowidzenia. Greki nauczyłem się od człowieka, który nauczył się jej od wielu nieżyjących osób. Mój nauczyciel przekazał mi tę umiejętność, posługując się genetycznymi zapisami, które, o ile wiem, odziedziczył po Gotach i Berberach. Podobnie jak ja, sporą część materiału genetycznego dzieli z martwymi szympanсами, lemurami, traszkami i muszkami owocowymi.



Wszystko to wydawało się ekscytujące i obiecujące, ponieważ z jerzykami łączyło mnie kilka nawyków. Kosztownych, głęboko zakorzenionych od lat nawyków, które zawiodły mnie do pociągów, na łodzie, samoloty i ścieżki, do pubów, ogrodów, na sofy dawnych dziewczyn, do latarni morskich, na parkowe ławki, na skraje różnych miejsc, na odziane w lustrzane szkło wieżowce firm ubezpieczeniowych w Tel Awiwie, do szkoły podstawowej w Berlinie i do zakurzonych wnęk pod okapami podmiejskich domków, pełnych nietoperzego guana i włókna szklanego.

Już od dawna łączyła mnie z jerzykami pewna liczba nawyków i siedlisk. Poza tym chciałem zostać jerzykiem.

Intencje muszą się przecież jakoś liczyć w rachunku rezonansu morficznego, prawda?



W ogromnym zachodnioafrykańskim mieście żyje sobie fryzjer z Libanu, który jest gejem. Jego salon to świątynia, w której oddaje się cześć niezbyt wymagającej bogini. On nazwałby ją „Pięknem”. Ktoś inny określiłby ją mianem kiczu, ale nie miałby racji. Libański fryzjer sprowadził tam wszystko, co wydawało mu się najlepsze w odwiedzonych przez niego wcześniej krajach. Z Paryża przywiózł zasłony tak ażurowe, że odpowiednio zdeterminowany komar mógłby się przez nie przebić. Z Włoch mozaiki wykonane w sztucznie postarzonej, gęstym polietylenie. Postanowił jednak osiedlić się w Afryce Zachodniej, a za najwspanialsze w tym regionie uznał ciężarne boginie-matki, które kucały pod jakarandą z dłońmi na brzuchach i rogami antylop wystającymi z czoła, marszcząc bezokie brwi i prezentując nieodmiennie asymetryczne piersi.

Siedzieliśmy na dziedzińcu przed jego salonem z moim kumplem Nigelem, który w Glasgow sprzedaje na straganie koszulki Iron Maiden. Czuliśmy na twarzach powiewy powietrza wzbudzone przez nietoperze wielkości kotów, odgłosy cykad wraz z szumem klimatyzacji tworzyły niemal perfekcyjną kwintę w tonacji durowej, a fryzjer rozlał do kieliszków *château margaux*.

Gdzieś w połowie drugiej butelki nabrał do nas zaufania.
– Wejdźcie — powiedział.

Weszliśmy, pochylając się, przez tunel zbudowany z dwóch wełniaków azjatyckich, do pomalowanej na złoto szopy. Fryzjer otworzył kilka kłódek, dotknął mezuzy przykręconej

do framugi, otworzył drzwi, zapalił lampę sztormową i zaprosił nas do środka gestem.

Na podłodze szopy leżały świeżo ścięte liście. Ściany miały jasnoniebieski kolor i, poza tą znajdującą się w głębi, były nagie.

W głębi znajdował się kamienny stół. Stała na nim kadzielnica, a tuż nad nią wisiał obraz udekorowany czerwonymi i żółtymi plastikowymi goździkami z bramińskiego wesela.

– Ja pierdolę — skwitował Nigel.

Nic dodać, nic ująć. Mieliśmy przed sobą jerzyka zwyczajnego.



Fotografia została wykonana gdzieś daleko w górze rzeki. Była niewyraźna i poplamiona. Przedstawiała pojedynczego ptaka na tle nieba, wiszącego z boku zdjęcia nad, jak się wydawało, kępą namorzynów.

Fryzjer przyklęknął, zapalił kilka kadzidełek, ponownie przyklęknął i wycofał się w stronę wejścia, popychając nas za sobą. W milczeniu zakluczył drzwi, przegnał nas na podwórze i napełnił ponownie kieliszki.

Na temat jerzyka nie padło ani jedno słowo. Zwróciliśmy się w stronę wypełnionej nieoczyszczonymi ściekami zatoki.

Kiedy późną nocą opuściliśmy to miejsce, Nigel powiedział:

– Musimy tam pojechać, nie uważasz? W górę rzeki?

– Myślę, że powinniśmy — odparłem. Tak też zrobiliśmy.



Nigel nigdy świadomie nie widział jerzyka, niemniej ich krzyki musiały pomarszczyć powierzchnię nenufarowego stawu anten satelitarnych, jaki pokrywał dachy w jego rodzinnym Lambhill. Nigdy też nie wykazywał żadnego zainteresowania jakąkolwiek ptaszyną, która nie miała spódniczki albo nie piekła dla niego ziemniaków. Teraz jednak sprawiał wrażenie opętanego.

– Moglibyśmy wyjechać o trzeciej trzydzieści — powiedział. — Wtedy będzie chłodno.

– Co ty opowiadasz? — odparłem. — Możemy spokojnie zaczekać do szóstej. Upał zacznie akurat ustępować.

– Miałem na myśli trzecią trzydzieści w nocy — zaśmiał się szaleńczo.

– Nie ma pośpiechu — powiedziałem. — Naprawdę nie ma. — Wygłosiłem te słowa z całkowitą pewnością siebie. Nie byłem pewien, skąd się ona wzięła. — W okolicy nie brakuje jerzyków.

Teoretycznie miałem rację. Był początek września. Jerzyki z Oksfordu powinny przelatywać nad okolicą w ramach swojego nieśpiesznego powrotu do serca Afryki. Ale nie dlatego powiedziałem, że nie ma pośpiechu.

Nigel nie uznawał sprzeciwu. Wyjechaliśmy o trzeciej trzydzieści, skacowani, nieogoleni, bez śniadania i (przynajmniej ja) rozdrażnieni. Nie tak to sobie wyobrażałem.

Świtało. Nigel jechał jak wariat. Zatrzymaliśmy się tylko trzy razy: kiedy pod naszymi kołami zginął pies, żebym mógł wymiotować pod baobabem i kiedy pękła nam oś.

Pęknięta oś ujawniła najlepsze i najgorsze cechy Nigela. Wykazał się dyktatorską władczością; był niezmordowany; brutalny. Pamięć podsuwa mi nieustannie wspomnienie, jak zatrzymuje inny samochód, wymontowuje z niego oś

i zostawia zapłakaną dziewięcioosobową rodzinę w krzakach na poboczu drogi obok ich bezużytecznego pojazdu. Wiem, że to niemożliwe, ale miałem poczucie, jakby właśnie coś takiego się zdarzyło. Tak czy inaczej, niedługo potem (zbyt szybko) piliśmy piwo koło jakichś namorzynów. Nigel wpatrywał się w niebo przez wielką żeglarską lornetkę, a ja sprawdzałem godziny odjazdu autobusów na wybrzeże.

Nie znalazłem żadnego połączenia. Musiałem zostać przy nim i patrzeć, jak obserwuje. Nasłuchiwał też charakterystycznych krzyków jerzyków, o których gdzieś przeczytał; w końcu powiedziałem mu, że jerzyki zwyczajnie w Afryce nie wydają żadnych odgłosów. Wyszło nam to na dobre, bo wcześniej podskakiwał, ilekroć gdzieś w okolicy skrzypnęły drzwi albo ktoś nadepnął kotu na ogon.

Przez większą część czasu krążył tam i z powrotem nad rzeką, z wyciągniętą głową, mrużąc oczy i wpatrując się w słońce, jakby spodziewał się, że wyskoczy z niego chmara ptaszków. Na nogach był już wraz z pierwszymi promieniami słońca (mimo że jerzyki wstają w miarę późno), pił czarną kawę, żeby zachować przytomność umysłu, zmieniał swoją pozycję na wypadek, gdyby jerzyki ukrywały się za drzewem; czasami sam się gdzieś chował i wyskakiwał niespodziewanie z ukrycia, jakby uczestniczył w zabawie w kotka i myszkę. Po zachodzie słońca brał ze smutkiem w dłonie kieliszek wolnoctowego johnnie walkera i z miną człowieka wystawionego do wiatru przyglądał się skaczącym po gałęziach lelkom.

Nie było powodu do pośpiechu. Miały nadlecieć dopiero za jakiś czas. Mogliśmy spokojnie patrzeć na wykrzywające się od wilgoci pocztówki, na drzewo z ludzkimi palcami zaciśniętymi w pięść, na przedwczesne oznaki gnicia strzechy. Cała okolica wyczekiwała na burzę i trwała w tym stanie zawieszenia od poprzedniej. Tym się właśnie

zajmowała — czekaniem.

Wszędzie widać było drewniane maski ze szparkami na oczy, a ja nie mogłem uwierzyć, że zostały zdekonszkrowane. Znajdowaliśmy się kilkaset kilometrów od wybrzeża, mimo to różnica między przyływem a odpływem wynosiła dobre półtora metra. Nic nie wskazywało na to, że między morzem a lądem toczyły się jakiegokolwiek pertraktacje. Morze nie musiało iść na żadne ustępstwa. Mewy szarogłowe walczyły — jak moje dzieci o pikantne skrzydełka kurczaków — o nagą nogę pawiana gwinejskiego. Nasada kości udowej lśniła niczym perła. Duże, stare istoty z wąsami kołysały się w łukach między namorzynami; czasami wyciągano je stamtąd, przy ich niewielkim oporze, zatłukiwano na śmierć kijami i gotowano do miękkości, żeby zabić ostrogłowe robaki, które mieszkały w ich wnętrzościach.

– Rozumiesz, że nie wyjedziemy, dopóki ich nie zobaczymy — powiedział Nigel po kilku pełnych napięcia dniach.

– Oczywiście, że nie — potwierdziłem.

Następnego dnia pojechaliśmy na teren porośniętymi kolczastymi krzakami, z dala od śliskiego błota i czających się w nim niebezpieczeństw. Małe brązowe istoty wzbijały się przed nami w powietrze albo czmychały w ciemne, cierniste tunele. Wszystko, co tam umierało, było białe i wyschnięte. Największe niebezpieczeństwa czają się zawsze w wilgoci, więc tamto miejsce — ponieważ nie witało nas przepoconymi rękoma — było dla nas przychylniejsze niż rzeka.

Znudziło mi się obserwowanie Nigela wypatrującego jerzyków. Zdjąłem kurtkę, oparłem się o drzewo, policzyłem w głowie mrówki i zasnąłem.

Musiałem spać z pół godziny. Zdażyłem się przechylić w bok. W pewnym momencie poderwałem się na nogi i zacząłem wykrzykiwać: „Przyleciały, przyleciały!”.

Nigel również zdążył zasnąć. Obudziłem go kopniakiem. Wskazałem na niebo. Przez chwilę nie widzieliśmy niczego poza strzępkami chmury. Potem się pojawiły — zgodnie z moimi przewidywaniami — siedem jerzyków przybyło, pokrzykując cicho, prosto z Oksfordu i tronu niebieskiego; leciały wysoko, potem niżej, polując na wiatr, przecinając prąd termiczny, który musiał furkotać trzy kilometry wyżej niczym wiatrak w starym autobusie, przeczesując cały system pogody jako mieszkańcy całego świata.

– Ja pierdolę — skwitował Nigel.

Nic dodać, nic ująć.



Żuk złapany przez jerzyka nad Pirenejami może pozostawać żywy nad Gambią, wijąc się w torbie gardłowej, a jego pancerz może poszybować w kawałku guana na oddział dzieci-żołnierzy w Demokratycznej Republice Konga. Od tego pancerza może się odbić pocisk zmierzający w stronę głowy przeciwnika. Różnie się może zdarzyć. Ale nie trzeba wymyślać dziwacznych, dobroczynnych związków przyczynowo-skutkowych, żeby uzasadnić znaczenie jerzyków.

Mogę przebyć tę samą trasę co jerzyki, choć nie z taką werwą i bez takich konsekwencji. Próbowałem. Doroczna migracja jerzyków, w czasie której dwukrotnie przekraczają równik, spina obie półkule Ziemi na podobnej zasadzie, na jakiej borsuki łączyły świat podziemny z naziemnym. Jerzyki zapobiegają rozpadnięciu się obu połówek. Jest to praktyczne, chirurgiczne *tikkun olam*. Kiedy w opisie jerzyków posługujemy się słowami związanymi z przemocą, opisujemy skalpele i igły. Kiedy wraz z Rachel płakaliśmy,

obserwując ich powrót, odczuwaliśmy ulgę, że przez kolejny rok świat się nie rozpadnie.

Inne rodzaje ich światów — te eteryczne — mają iście kapłański charakter. Jerzyki robią coś w naszym imieniu. Ich działania pełnią odkupicielską funkcję. Poruszają się nieustannie, abyśmy my nie musieli tego robić. Borsuk może być zwierzęciem lokalnym, mieszkać w dziurze w walijskim wzgórzu, dzięki temu, że istnieją istoty aktywne — zwłaszcza jerzyki — które biorą na siebie obowiązek ruchliwości. Są łomoczącymi sercami i unoszącymi się klatkami piersiowymi. Dzięki nim miechy świata cały czas się poruszają, umożliwiając powolnym istotom przebudzenie po spokojnym śnie. Tłoczą tlen do stojącej wody, aby inni się nie udusili. Kto się zatrzymuje, ten umiera. Istoty poruszające się umożliwiają innym bezruch: żywiołowa międzynarodowość umożliwia i uprawomocnia istnienie zaściankowości.

Ruch jest wpisany we wszystkie trwałe systemy. Bóg wyraźnie i niezmiennie woli istoty ruchliwe od domatorów. Hodowca owiec stoi wyżej w hierarchii od nieprzemieszczającego się farmera, a ten farmer, zazdroszcząc wyższego statusu swojemu bratu, pokolenie za pokoleniem próbuje go za wszelką cenę zabić. Kain świetni sobie radzi z mordowaniem jerzyków. Ich liczebność szybko spada wskutek zachcianek mieszkańców przedmieść, którzy pragną uszczelnić swoje strychy — żeby były cieplejsze, bezpieczniejsze i stabilniejsze (tym samym zmniejszają liczbę dostępnych miejsc lęgowych). A jeżeli jerzyki wyginą, wyginie my i my.

O tym, jak bardzo potrzebujemy jerzyków, wiedzą ludzie, którzy naprawdę nie mogą się poruszać. Najbardziej znaną postacią w literaturze poświęconej jerzykom jest człowiek chory na stwardnienie rozsiane i poruszający się na

elektrycznym wózku inwalidzkim, który spogląda w niebo na kołujące ptaki zakreślające platońskie formy na letnim niebie i mówi: „Tak, ponieważ one mogą się poruszać, i ponieważ jestem ich częścią, ja również mogę się poruszać”.

Kiedy spałem wtedy pod drzewem, gdzieś głęboko w afrykańskim buszu, obudziły mnie milczące jerzyki, które znajdowały się wtedy ze trzy kilometry od nas. Był to przejaw bliskości, jakiej nie doświadczyłem z żadnym innym gatunkiem, być może właśnie dlatego, że nie mogłem się do nich w żaden sposób zbliżyć, ani pełzając, ani podskakując, ani pływając.

Całkowita kapitulacja daje swego rodzaju władzę. Być może mogłem latać z jerzykami tylko dlatego, że w przeciwnym razie nie mógłbym się do nich w żaden sposób zbliżyć albo nawet w ogóle poruszać. A jednak jerzyki zdołały ruszyć Nigela z miejsca. Prędzej czy później doprowadzą go swoim lataniem do stanu sfrustrowanego zastoju. Ale wtedy nabierze już ich nawyków: zostanie pochwycony w sieci ostroskrzydłych rybaków gatunku ludzkiego; oplotą go lepkie macki Umysłu; zostanie szczęśliwie zaorany w polu morficznym i będzie naprawdę gotów, aby rozkwitnąć.



Nie chcę, żeby wydało wam się to łatwe. Swoje będziecie musieli przejść.

Nie tak dawno temu siedziałem w gorącym tipi, podczas gdy bardzo atrakcyjna szamanka w koszulce na ramiączkach opowiadała nam, w jaki sposób możemy poznać nasze duchowe zwierzęta.

– Rozluźnijcie się — mówiła. — Zamknijcie oczy. Wyobraźcie sobie dziurę. Może to być królicza albo lisia nora. Cokolwiek, byle prowadziła prosto w głąb ziemi. Następnie do niej wejdźcie. Wyobraźcie to sobie tak dokładnie, jak tylko potraficie. Zobaczcie korzenie drzewa. Przeciśnijcie się koło nich. Poczujcie zapach humusu z liści. Schodźcie niżej i niżej; cały czas w dół. W pewnym momencie natkniecie się na jakieś zwierzę. Powitajcie je. Ucieszy się na wasz widok. Będzie chciało wam pomóc. Znajdujecie się w jego królestwie, więc okażcie mu szacunek: to wy jesteście gośćmi. Zwierzę poprowadzi was stamtąd; poprowadzi was w dół. Idźcie za nim. Coś wam się przydarzy. A jeśli nie potraficie sobie wyobrazić nory, po prostu wejdźcie do otworu w swoim zlewozmywaku. Dotrzecie do tego samego miejsca”.

Zaczęła bardzo szybko uderzać w bębenek, wybijając na nim coś w rodzaju chomiczego pulsu. Na zewnątrz ludzie byli oblewani dźwiękami gongu, ich tai chi ulegało cudownemu naprostowaniu, a tymczasem moje dzieci okładały się pobijakami do namiotów. Wszyscy weszliśmy w swoje nory. Mnie udało się zagłębić na piętnaście centymetrów, po czym zaklinowała mi się głowa. Tkwiałem tak, spocony, podczas gdy inni, jak się potem okazało, z radością przelatywali, galopowali i truchtali przez swoje światy.

– Spotkałem wilka — opowiadał nam słabym głosem jeden z uczestników, kiedy powróciliśmy do świata holistycznych masaży i bratobójstwa. — Wielkiego, szarego wilka z białymi plamkami na szyi i wielkimi niebieskimi oczami o złotych środkach. Nie chciałem za nim iść, ale popchnął mnie nosem, który był tak ciepły, że natychmiast się uspokoiłem. Pozwolił mi wsiąść na swój grzbiet. Zapadłem się w nim, a potem zacząłem czuć szyszki sosnowe pod stopami... pod

jego stopami!

Wszyscy westchnęliśmy z uprzejmym przejęciem i się uśmiechnęliśmy.

– My... ja... ruszyliśmy w górę stromego zbocza. Czułem zapach jelenia po prawej stronie, ale nie byłem głodny. Między drzewami dostrzegłem jaskinię, w której zagrzebano jakieś dziwne kości. Zacząłem je rozkopywać przednimi łapami. Potem usłyszałem bęben wzywający mnie z powrotem.

Było to, jak przyznał, znacznie intensywniejsze doznanie niż to sprzed roku.

Przykro mi, ale jakoś w to nie wierzę. Nie twierdzę, że nie przeżył tego, co nam później opisał. Nie ulegało wątpliwości, że mówił szczerze. Tyle że nie mieliśmy tu do czynienia z szamanizmem, którego doświadcza się po mozolnej i bolesnej nauce; pod wpływem wyczerpania, głodówki i spożycia ogromnej liczby czerwonych muchomorów. Kilometrowa wędrówka w ciemnościach wzdłuż jakiejś szczeliny w skale pozwalała im osiągnąć coś innego. Nie docierali do świata po drugiej stronie zasłony, ale do tego zamkniętego w głowie z dredami. Sprawa zwyczajnie nie jest taka prosta: trzeba wyrobić sobie nawyk; trzeba swoje przejść albo przelecieć. Szamanizm nie polega na odpowiednim nakierowywaniu wyobraźni czy dobrych intencjach.

Żydowska modlitwa wypowiedana po przebudzeniu głosi: „wszyscy, którzy wypełniają Jego przykazania, zyskują dobre zrozumienie”. Zrozumienie nie jest punktem wyjścia: trzeba zacząć od idei. Na początku był czyn. W świecie materialnym — świecie ziemi, powietrza, ognia i wody, składników magicznej alchemii — nie można bezpośrednio pojąć abstrakcji ani duchów, jak to próbowano zrobić w opisanym wcześniej tipi. Są one zbyt nieuchwytnie; zbyt niematerialne;

zbyt uzależnione od cudownej konkretności. Trzeba się ubrudzić ziemią, poczuć chłód i grozę powietrza, przypalić się ogniem i dostać choroby morskiej na wodzie. Trzeba rozdrapywać, bez końca rozdrapywać świat tymi samymi ruchami łapy albo skrzydła, jakimi czyni to istota, którą pragniemy poznać.

Jerzyki mają w zwyczaju latać. Żeby samemu wzbić się w powietrze, trzeba przyswoić sobie nawyki jerzyków.

[\[10\]](#) Szacunki na podstawie danych na temat jerzyków urodzonych w Szwecji, których migracja jesienna trwa średnio 69 dni (30-99 dni), w tym 30 dni na podróż, a 39 na postoje; a wiosenna średnio 29 dni (18-34 dni), z czego 21 dni na podróż i 8 dni na postoje.

Epilog

- No to o czym jest ta książka?

Siedziałem w barze na pewnej wyspie w towarzystwie znanego greckiego poety, który pochrząkiwał lekceważąco pod wąsem między kolejnymi kieliszkami peloponeskiego czerwonego wina.

Powiedziałem mu, jaki postawiłem sobie cel.

- Niemożliwe. — Miał na myśli „absurdalne”, ale był zbyt uprzejmy, aby powiedzieć to na głos. — To tak, jakby ktoś próbował żyć w piątym wymiarze. Da się to opisać matematycznie, ale nie sposób wyjaśnić, na czym by to tak naprawdę polegało.

- Nie — powiedziałem — to coś innego. Gdybyś miał rację, zacząłbym powątpiewać, czy jestem w stanie stworzyć jakiegokolwiek prawdziwe relacje z innymi ludźmi. Żyję w tym samym wymiarze przestrzennym co lis, a czwarty wymiar, czas, upływa w równie tajemniczy i nieregularny sposób dla innych ludzi co dla lisów. To prawda, lis może za jednym pociągnięciem nosa uzyskać informacje nagromadzone w jakimś miejscu przez kilka lat, a więc potrafi spoglądać niczym przez teleskop w przeszłość. Ale jest to przecież w jakiś sposób porównywalne z sytuacją, kiedy ja wertuję pośpiesznie rodzinny album.

Poeta uniósł brwi i spojrzał na mnie z pogardliwą

wyższością.

Mówiłem dalej, choć nie wiem, po co.

– Masz nos. Jest on o tyle bardziej wybredny od przeciętnego nosa, a z pewnością od mojego, że przyniosłeś własną butelkę wina do tej zupełnie przecież przyzwoitej tawerny. Mimo to mogę do pewnego stopnia zrozumieć, co masz na myśli, mówiąc „wino”, czy nawet „dobre wino” albo gdybyś użył innych przymiotników, aby go scharakteryzować. A nawet gdybym teraz tego nie wiedział, mogę się tego nauczyć. Mogę rozbudzić mój nos.

– Ale — odparł — nie mogę mieć najmniejszego pojęcia, co to znaczy żyć w świecie Południowej Konwencji Baptystów z Alabamy. Nie można wyszkolić swojego psyche, aby choć w minimalnym stopniu pojąć, co to znaczy.

Przyznałem mu rację. W tym przypadku faktycznie mieliśmy do czynienia z piątym, szóstym albo nawet siódmym wymiarem. Ale to porównanie obudziło we mnie pewną nadzieję.

– Zgadza się — powiedziałem — o wiele więcej łączy mnie z lisem niż z fundamentalistą religijnym. Żyłem i żyję z lisami w ucieleśnionym, zmysłowym świecie lasu, ziemi, krwi, nasienia i zimna. Spotykaliśmy się i spotykamy w rzeczywistości, w której zacząłem się posługiwać słowami: „Ja i ty”. Zapewniam cię, to „ja” rozwinęło się w czasie tych spotkań. Ale skoro „ja” się rozwinęło, to dlaczego również nie „ty”? Jeżeli wzrastamy na tej samej ziemi, każde w świetle promieniującym od tego drugiego, czy nie oznacza to, że dysponujemy na swój temat jakąś wiedzą?

Mój rozmówca wzniosł oczy do nieba, upił kolejny haust swojego niezrównanie, niewyobrażalnie dobrego wina i zmienił temat na akcenty Kreteńczyków i Traków.

Z tawerny rozciągał się widok na gaj oliwny, gdzie w szczęśliwszych, mądrzejszych czasach skaczący na swych

kopytach bożek Pan opiewał i zapładniał córę Kithiry. Jak każda porządna albo nieporządna menada, piłem wino zrobione z owoców wyhodowanych w okolicy, a po jakimś czasie idea tej książki przestała się wydawać aż tak niedorzeczna. Uważałem, że będzie uczciwe, a na pewno pokrzepiające, jeśli zostanie oceniona po owocach.



Dorastałem na skraju. Na skraju wspólnoty (nigdzie nie czuliśmy się tak naprawdę jak u siebie) oraz na granicy spinającej miasto z dzikimi terenami. W nocy przechodziłem kilka spokojnych ulic, aż kończyły się neony i mogłem spojrzeć z góry na całe miasto. Jedną nogą stałem na wrzosowisku, drugą na asfalcie; jedną w świetle, drugą w ciemności.

Te nocne spacerunki mnie ukształtowały. Zrodziłem się z tego pogranicza. Gdyby mi je odebrano, zupełnie bym się rozpadł. Nie przetrwałbym ani na wrzosowisku, ani na asfalcie.

Zawsze ciekawiło mnie, czy inni ludzie są do mnie podobni. Nadal się zastanawiam. Egoistycznie mam taką nadzieję. Chciałbym ich kiedyś poznać.

Dorastałem zatem jednocześnie nieufny wobec granic, jak i całkowicie od nich uzależniony. Potem, odbywszy trochę podróży i przeczytawszy to i owo, zacząłem się zastanawiać, czy ludzie mogą przekraczać granice oddzielające ich od innych gatunków. Wydawały mi się dość sztuczne — wytyczone przez aktualne mody taksonomiczne. Wszystko wskazywało również na to, że były nieustannie naruszane (jak ujęłaby to tradycja judeochrześcijańska ze swoją

miłością i rozdziałem) albo entuzjastycznie i wzbogacająco penetrowane (jak ujęliby to kudłaci ludzie, którzy grają na fujarkach i wydają się czerpać większą przyjemność z życia) w większości kultur poza naszą.

Mogłem podążyć poważną, narkotyczną, zieloną drogą szamana. Tyle że się wystraszyłem. Zamiast tego zająłem się obserwowaniem ptaków i abstrakcyjnymi filozoficznymi rozmyślaniami.

Jeśli chodzi o abstrakcyjne rozmyślania, trzy kwestie wydają mi się interesujące. Choć może nie wydało się to oczywiste, starałem się je zgłębić w tej książce.

Pierwsza wiąże się bezpośrednio z wrzosowiskiem, asfaltem i szamanizmem: czy istnieją jakiegokolwiek granice naszej możliwości wyboru?

Fakt, że przynajmniej do pewnego stopnia dysponujemy jakąś autonomią, jest zarazem wspaniałą i przerażającą. Nawykliśmy do myślenia, że autonomia zostaje poddana najbardziej krytycznemu osądowi w dramatycznych, wyjątkowych sytuacjach — na przykład kiedy rozważamy prawo człowieka do wspomaganego samobójstwa. Nie ulega jednak wątpliwości, że to nasze codzienne wybory są najbardziej przerażające i obciążone największymi konsekwencjami. Posłuchajcie tylko: możecie zdecydować, że wstajecie wcześniej, idziecie pobiegać, bierzecie zimny prysznic, a potem czytacie *Miasteczko Middlemarch*. Albo że zostajecie w łóżku i oglądacie telezakupy. To niesamowite. Nigdy nie przestało mnie to zadziwiać. To wybór między Życiem a Śmiercią. Wybierzcie zatem Życie.

Często mówimy, przynajmniej do siebie: „Jeżeli tylko się przyłożę, mogę robić wszystko albo zostać kimkolwiek”. Ale czy to prawda?

Można to łatwo sprawdzić. Jeżeli ja potrafiłem zostać borsukiem, możemy z większą ufnością myśleć o swojej

autonomii.

Drugie pytanie wiąże się z tożsamością i autentycznością.

Często ogarnia mnie niepokój, że niczym się nie wyróżniam. A nawet jeśli, to czymś wysoce nietrwałym. Chciałbym uzyskać pewność, że istnieje niezniszczalne jądro fosterowatości.

Jednym ze sposobów weryfikacji tego problemu jest stanie się lisem i przekonanie się, czy ten lis będzie nadal wyraźnie pachniał mną.

Trzecie pytanie dotyczy pojęcia obcości.

Obawiam się, że jestem całkowicie osamotniony w świecie: że obcość jest całkowicie nieprzenikniona. Że mylę się, sądząc, iż nawiązałem z kimś relację. Że we wszystkich rozmowach każdy mówi o czym innym. Że ani nie rozumiem partnera, ani nie jestem przez niego rozumiany.

Istnieje pewne ćwiczenie, które może nam pomóc w tej kwestii. Jeżeli potrafię nawiązać prawdziwą relację ze zwierzęciem niebędącym człowiekiem, istnieją podstawy do zachowania optymizmu w związku z relacjami międzyludzkimi. Jeżeli może mnie połączyć więź z jerzykiem, równie dobrze może mnie połączyć więź z moimi dziećmi. Owszem, nie będę w stanie przedstawić euklidesowego dowodu na to, że faktycznie nawiązałem relację z jerzykiem, ale relacja człowiek-zwierzę będzie prostsza od relacji człowiek-człowiek, poza tym nie będzie jej przesłaniać taka liczba pogmatwanych emocji. Oznacza to, że być może łatwiej przyjdzie nam uzyskanie przekonania o prawdziwości relacji człowiek-zwierzę. Skoro tak, to jeśli przybierze ona identyczny odcień co relacja człowiek-człowiek, będę mógł z większym przekonaniem kochać moje dzieci.

Właśnie tymi sprawami zajmowałem się na wzgórzach, wrzosowiskach, w rzekach, morzach i przestworzach.

I poczyniłem w tych rozważaniach, jak sądzę, pewne

postępy.

Anatomia i fizjologia nakładają na nas pewne ograniczenia. Podobnie jak nasza śmiertelność, o ile jesteśmy śmiertelni (alternatywa wydaje się wysoce nieprawdopodobna). Nie potrafię latać. Nie zdążę również nauczyć się wszystkich słów potrzebnych do tego, abym mógł za pomocą poezji zrekompensować sobie brak skrzydeł. Dysponuję jednak nieograniczonymi możliwościami stawiania się w pozycji innego. Jeżeli odpowiednio mocno wczujemy się w sytuację jerzyka, to albo się nim staniemy, albo (co może być równoznaczne z poprzednim) rozkrzyczane wyścigi wokół kościelnej wieży sprawią nam tak wielką radość, że nie będzie nam przeszkadzało, że sami wcale nie jesteśmy tym jerzykiem.

Czy to dobrze, czy źle, Charles Foster nadal pachniał sobą, kiedy pełzał, zsuwał się i nurkował. Więcej: pachniał bardziej sobą. Nie dlatego, jak sędzę, że cały projekt transformacji zakończył się porażką, ale raczej na skutek ogólnej zasady, że im więcej dajemy, tym więcej sami otrzymamy. Tak czy inaczej, dodało mi to otuchy. Istniało jednak we mnie coś unikalnego, o co warto było dbać.

Spotkałem i poznałem pewną liczbę „innych” ze świata zwierząt. Lasy są pełne przemykających chyłkiem „onych”! Na podwórku w londyńskich East Endzie zostałem zatrzymany przez pionową źrenicę bezczelnego lisa. Naoglądałem się w życiu dość wabiących i ostrzegawczych spojrzeń posyłanych przez zatłoczony bar, żeby rozpoznać wzajemność albo jej brak.

Jakież to ekscytujące! Mogę mieć nadzieję, że poznam i zostanę poznany!



Interesowało mnie jeszcze jedno, mniej abstrakcyjne pytanie. Czy moje zwierzęta zamieszkują ten sam świat co ja? Czy pływają w tej samej wodzie, przetrząsają te same kubły na śmieci, kopią nory w tej samej ziemi, spoglądają przez ten sam zamglony Kanał Bristolski na Walię i wyczuwają ten sam zgniły zapach przyływu docierający z Zatoki Gwinejskiej?

Zostawiłem to pytanie na koniec, ponieważ moje przemyślenia w tej sprawie zmieniały się co pół godziny. Początkowo miałem nadzieję, że się w końcu wykrystalizują.

Tak się nie stało, co mnie niezmiernie cieszy.



Nie mogę spędzać całego czasu w dziczy. Czasami muszę wracać do miejsc, które pachną strachem, spalinami i ambicją. Pomaga mi tam ogromnie świadomość, że borsuki śpią we wnętrzu walijskiej góry; że wydra odwraca kamienie w jednym z plosów Rockford, że lis mruga w tym samym słońcu, w którym ja pocę się w swojej tweedowej kurtce; że samiec jelenia szlachetnego przeżuwa w zadumie trawę między widmowymi drzewami przy kamiennym kręgu obok Hoar Oak; że istnieje sobie gdzieś jerzyk, który wykluł się nad moim gabinetem w Oksfordzie, a teraz poluje niemal poza zasięgiem ludzkiego wzroku w wysokim gorącym błękitnie nad rzeką Kongo.

To doprawdy osobliwe, że takie rzeczy mogą przynosić człowiekowi otuchę. Powinny go rozdrażniać, a nie przynosić ulgę. Powinny mówić: „Nie ma cię tam. Ha, ha, ha”.

Dlaczego tak się nie dzieje?

Chciałbym zauważyć, że tego rodzaju pocieszenie czerpię jedynie ze świadomości istnienia rzeczy — a zwłaszcza ludzi — które kocham (czymkolwiek jest miłość).

Być może więc faktycznie kocham te zwierzęta (cokolwiek miłość znaczy). Wzdrygam się na samą myśl, że mogłoby tak być. Na poprzednich dwustu stronach antropomorfizm budził moje szczere przerażenie, a teraz wychodzi na to, że sam noszę w sobie jego najgorszą odmianę.

Ale to jeszcze nie wszystko, ponieważ miłość, jaką mam tu na myśli (czymkolwiek ona jest), z konieczności jest obustronna. Nie mogę naprawdę pokochać X, jeżeli X nie pokocha mnie.

To dopiero jest myśl.



Podziękowania

Bibliografie i podziękowania sporządza się zazwyczaj osobno. Według mnie jest to dziwne. Nie ma wyraźnej różnicy między osobą a książkami, które przeczytałem. Jeżeli poproszę kogoś o opinię w jakiejś kwestii albo o informację, jego odpowiedź będzie opierać się na ogromnej ilości literatury. Dlatego też w mojej książce ludzie i publikacje znalazły się w tym samym miejscu.

Nie jest to pełna lista wszystkich osób, które mi pomogły. Pełna lista obejmowałaby wszystkie osoby, które kiedykolwiek poznałem, oglądałem albo których słuchałem, oraz wszystkich, których oni poznali, oglądali albo słuchali — i tak w nieskończoność.

Niektóre nazwiska zmieniłem.

Bibliografia jest bardzo wybiórcza. Zawiera tylko podstawowe publikacje, które mogą się przydać komuś, kto chciałby przeczytać coś więcej. Przygotowując się do napisania tej książki, przeczytałem setki artykułów naukowych. Cytuję tylko pięć z nich (o polowaniu wilków na borsuki, ponieważ wiele osób nie uwierzyło w prawdziwość zdarzenia przywołanego w tamtym rozdziale; o empatii zwierząt, ponieważ jest to wyjątkowo kontrowersyjna kwestia, a cytowany artykuł omawia wszystkie znaczące badania; o różnorodnych zachowaniach jeleni szlachetnych,

z którego zaczerpnąłem wiele faktów; o fizjologicznych reakcjach jeleni szlachetnych podczas polowania, ponieważ omawiam to zagadnienie, a przywołany artykuł jest uzupełnieniem Bateson Report i Joint Universities Study, które zostały również przywołane; i o migracji jerzyków, ponieważ wykorzystałem w poświęconym im rozdziale znaczącą liczbę zawartych w tym artykule danych).

Podziękowania ogólne — ludziom

Moim cudownym przyjaciołom Jay'owi Griffithsowi i Iainowi McGilchristowi, którzy wierzyli w sens tej książki, kiedy nie było ku temu jeszcze żadnych powodów. Pierwsze słowa napisałem w domu Iaina na wyspie Skye, wpatrując się w sztorm wzbierający nad środkową częścią archipelagu Hybryd Zewnętrznych, podczas gdy Iain wyjmował ostrygi ze skorup, przygotowując kolację. Ostatnie słowa układałem w głowie, spacerując z Jay'em po Brendon Common w Exmoor, tuż po tym, jak polował na mnie pies gończy.

Mojej agentce, niesamowitej Jessice Woollard; moim znakomitym redaktorom, Mike'owi Jonesowi i Rebecce Gray z wydawnictwa Profile Books i Rivie Hocherman z Metropolitan; Lulianie Froggatt za przerażająco wnikliwą adiustację; życzliwemu, mądrymu George'owi Lucasowi z Inkwell Management.

Colinowi Robertsowi za całą tę radosną, formującą anarchię w Peak District, Derekowi Whiteleyowi i Andy'emu Powellowi za zarażenie mnie pasją do historii naturalnej, która nigdy mnie nie opuściła.

Markowi i Sue Westom z Indicknowle Farm w Combe Martin za utwierdzenie mnie w tożsamości Człowieka Borsuka.

Nigelowi i Janet Phillipsom, dwóm najwspanialszym skarbowi, jakie udało mi się kiedykolwiek znaleźć na plaży.

Za najróżniejsze rzeczy: Paulowi Kingsnorthowi, Andy'emu Lercherowi, Hugh'owi Warwickowi, Jamesowi Crowdenowi, Aricie Baaijens, Davidowi Bostockowi, Geoffowi i Mandy Johnsonom, Katherine Stathatos, Gusowi Greenleesowi, Annabel Foulger, Magnusowi Boydowi, Marnie Buchanan i Karlowi Segnoe'owi, bandzie z *Dark Mountain* i redaktorom „Shooting Times”.

Mojej cierpiącej w milczeniu żonie, Mary.

Oraz oczywiście szczeniaczkom/cielątkom/pisklakom: Lizzie, Sally, Tomowi, Jamie, Rachel i Johnny'emu, którzy są moimi zdecydowanie najważniejszymi nauczycielami.

Bibliografia

1. Jak stawałem się zwierzęciem

David Abram, *The Spell of the Sensuous: Perception and Language in a More-than-Human World*, Vintage, New York 1997.

David Abram, *Becoming Animal: An Earthly Cosmology*, Pantheon, New York 2010.

J.A. Baker, *The Peregrine*, wstęp Robert Macfarlane, New York Review Books, New York 2005.

'BB' [Denys Watkins-Pitchford], *Brendon Chase*, Hollis, London 1944.

Jack Bradbury, Sandra L. Vehrencamp, *Principles of Animal Communication*, Sinauer, Sunderland, Massachusetts 2011.

John Downer, *Supersense: Perception in the Animal World*, BBC Books, London 1988.

Jonathan Safran Foer, *Zjadanie zwierząt*, przeł. Dominika Dymińska, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2013.

Jay Griffiths, *Wild: An Elemental Journey*, Penguin, London 2007.

Geoffrey Household, *Rogue Male*, Chatto and Windus, London 1939.

Bradley G. Klein, *Cunningham's Textbook of Veterinary Physiology*, Saunders, Amsterdam 2012.

David Lewis-Williams, David Pearce, *Inside the Neolithic Mind: Consciousness, Cosmos and the Realm of the Gods*, Thames and Hudson, London 2009.

Iain McGilchrist, *The Master and His Emissary: The Divided Brain and the Making of the Western World*, Yale University Press, New Haven, Connecticut 2012.

George Monbiot, *Feral: Rewilding the Land, Sea and Human Life*, Penguin, London 2014.

Virginia Morell, *Animal Wise: The Thoughts and Emotions of Our Fellow Creatures*, Old Street Publishing, Brecon 2013.

George Page, *Inside the Animal Mind*, Broadway Books, New York 2001.

David Rothenberg, *Survival of the Beautiful: Art, Science and Evolution*, Bloomsbury, London 2011.

2. Borsuk

OSOBY

Burt i Meg, wiadomo

Dr Chris Newman, WildCRU, Uniwersytet Oksfordzki

Derek Gow, Upcott Grange Farm

Hugh Warwick

Mark West, Indicknowle Farm

Liczni wolontariusze z Wytham Woods, Oksford

KSIAŻKI

Patrick Barkham, *Badgerlands: The Twilight World of Britain's Most Enigmatic Animal*, Granta, London 2013.

Michael Clark, *Badgers*, Whittet, Stowmarket, Suffolk 2010.

Daniel Heath Justice, *Badger*, Reaktion, London 2015.

Cynan Jones, *The Dig*, Granta, London 2014.

Ernest Neal, *The Badger*, Collins, London 1969.
Tim Roper, *Badger*, Collins, London 2010.

ARTYKUŁ

Vadim E. Sidorovich, Irina I. Rotenko i Dmitry A. Krasko,
*Badger (Melesmeles) Spatial Structure and Diet in an Area of
Low Earthworm Biomass and High Predator Risk*, w:
„Annales Zoologici Fennici” 2011, nr 48, s. 1–16.

3. Wydra

OSOBY

Nigel Phillips, Somerset Wildlife Trust
Ione Willcock, władze parku narodowego Exmoor
Daphne Neville
Simon, James, Richard i Wendy Wyburnowie, Staghunters’
Inn, Brendon, Exmoor

KSIĄŻKI

Daniel Allen, *Otter*, Reaktion, London 2010.
Paul Chanin, Guy Troughton, *Otters*, Whittet, Stowmarket,
Suffolk 2013.
Miriam Darlington, *Otter Country: In Search of the Wild Otter*,
Granta, London 2012.
Hans Kruuk, *Otters: Ecology, Behaviour and Conservation*,
Oxford University Press, Oxford 2006.
Gavin Maxwell, *Wydry pana Gavina*, przeł. Maria
Boduszyńska-Borowikowa, Iskry, Warszawa 1970.
Gavin Maxwell, *The Rocks Remain*, Longmans, London
1963.
Gavin Maxwell, *Raven Seek Thy Brother*, Longmans, London
1969.

James Williams, *The Otter*, Merlin Unwin, Ludlow, Shropshire 2010.

Henry Williamson, *Tarka the Otter*, G.P. Putnam, London 1927.

4. Lis

OSOBY

Prof. David Macdonald, WildCRU, Uniwersytet Oksfordzki
Ówczcześni dyrektorzy Coniston Foxhounds, Blencathra Foxhounds, Lunesdale Foxhounds, Melbreak Foxhounds, Pennine Foxhounds, Dumfriesshire Foxhounds, South Shropshire Foxhounds oraz (choć oni akurat nie zajmują się polowaniami na lisy) Ecclesfield Beagles, Shropshire Beagles i Trinity Foot Beagles

Wielu hodowców owiec z High Peak, Derbyshire

Roger i Doreen Westmorelandowie

Malcolm i Pip Chisholmowie

Mike Smith

Mervyn Vickery

KSIĄŻKI

'BB' [Denys Watkins-Pitchford], *Wild Lone: The Story of a Pytchley Fox*, Eyre and Spottiswoode, London 1938.

Stephen Harris, *Urban Foxes*, Whittet, Stowmarket, Suffolk 2001.

J. David Henry, *Red Fox: The Cat-like Canine*, Smithsonian Books, Washington DC 1996.

H.G. Lloyd, *The Red Fox*, Batsford, London 1980.

David Macdonald, *Running with the Fox*, Harper Collins, London 1989.

Martin Wallen, *Fox*, Reaktion, London 2006.

5. Jeleń szlachetny

OSOBY

Wszyscy wymienieni pogardzają agresywnym szowinizmem panującym w opisanym w tym rozdziale chacie myśliwskiej i żadna z tych osób nie musi się go wstydzić.

Dr John Fletcher, Reddie Hill Deer Farm, Auchtermuchty

Richard Eales, władze parku narodowego Exmoor

David Greenwood, dyrektor Devon and Somerset Staghounds

Ówcześni dyrektorzy Devon and Somerset Staghounds, Quantock Staghounds i Tiverton Staghounds

Uczestnicy polowań na jelenie w górach Szkocji

Duff i Phylla Hart-Davies

David Lyon

Katy Stewart-Smith

Dr Chris Thouless, Save the Elephants

Dr Murray Corke, Department of Clinical Veterinary Medicine, University of Cambridge

Prof. Peter Clegg, School of Veterinary Science, University of Liverpool

Prof. Roger Smith, Royal Veterinary College

Prof. Christine Nicol, School of Veterinary Sciences, University of Bristol

Dr Liz Paul, School of Veterinary Sciences, University of Bristol

Dr Jo Edgar, School of Veterinary Sciences, University of Bristol

Matthew Price

Farlap Bloodhounds

KSIĄŻKI, ROZDZIAŁY I RAPORTY

Paul Patrick Gordon Bateson, *The Behavioural and Physiological Effects of Culling Red Deer*, raport

- przygotowany dla National Trust, London 1997.
- Patrick Chalmers, *Mine Eyes to the Hills: An Anthology of the Highland Forest*, A.C. Black, London 1931.
- John Fletcher, *Deer*, Reaktion, London 2013.
- J. W. Fortescue, *The Story of a Red Deer*, Sportsman's Press, London 1897.
- Roger C. Harris, Timothy R. Helliwell, William Shingleton, Neil Stickland i Jeremy R.J. Naylor, *The Physiological Response of Red Deer (Cervus elaphus) to Prolonged Exercise Undertaken During Hunting*, R&W Publications, Newmarket 1999.
- Duff Hart-Davies, *Monarchs of the Glen: A History of Deer Stalking in the Scottish Highlands*, Jonathan Cape, London 1978.
- Duff Hart-Davies, *Among the Deer*, Quiller, Wykey, Shropshire 2011.
- Richard Jeffries, *Red Deer*, Longman, Green, London 1884.
- Jochen Langbein, Rory Putman, *Studies of English Red Deer Populations Subject to Hunting-to-Hounds*, w: Victoria J. Taylor, Nigel Dunstone (red.), *The Exploitation of Mammal Populations*, Chapman & Hall, London 1996.
- Richard Prior, *Deer Watch*, Swan Hill, Wykey, Shropshire 2007.
- Henry Williamson, *Stumberleap*, w: *The Old Stag*, G.P. Putnam, London 1926.

ARTYKUŁY

- Joanne L. Edgar, Christine J. Nicol, Corinna C.A. Clark i E.S. (Liz) Paul, *Measuring Empathic Responses in Animals*, w: „Applied Animal Behaviour Science” 2012, t. 138, s. 182–93.
- Jochen Langbein, *The Ranging Behaviour, Habitat-Use and*

Impact of Deer in Oak Woods and Heather Moors on Exmoor,
w: „Deer” 1997, t. 10, s. 516–21.

L.H. Thomas, W.R. Allen, *A Veterinary Opinion on Hunting
with Hounds,* www.vet-wildlifemanagement.org.uk/images/stories/item-images/pdf/VetOpinion.pdf.

6. Jerzyk

LUDZIE

Prof. Tim Birkhead, University of Sheffield

Prof. Susanne Akesson, Lund University

Dr Andrew Gosler, Edward Grey Institute, Uniwersytet
Oksfordzki

Prof. Yossi Leshem, Tel Aviv University

Amnonn Hahn

Shira Twersky-Cassell

Wszyscy z International Common Swift Seminars,
a zwłaszcza Ulrich Tigges, Chris Mason and Gillian
Westray

KSIĄŻKI

Phil Chantler, Gerald Driessens, *Swifts: A Guide to the Swifts
and Tree-Swifts of the World*, Pica, Robertsbridge, East
Sussex 2000.

Alan Garner, *Boneland*, Fourth Estate, London 2012.

David Lack, *Swifts in a Tower*, Methuen, London 1956.

Rupert Sheldrake, *The Presence of the Past: Morphic
Resonance and the Habits of Nature*, Icon, London 2011.

Rupert Sheldrake, *Dogs That Know When Their Owners Are
Coming Home, and Other Unexplained Powers of Animals*,
Arrow, London 2000.

ARTYKUŁ

Susanne Akesson, Raymond Klaassen, Jan Holmgren, James W. Fox i Anders Hedenstrom, *Migration Routes and Strategies in a Highly Aerial Migrant, the Common Swift, Apus apus, Revealed by Light-Level Geolocators*, w: „PLOS ONE” 2012, t. 7(7), s. e41195.

Spis treści

[Od autora](#)

[1. Jak stawałem się zwierzęciem](#)

[2. Ziemia. Borsuk](#)

[3. Woda. Wydra](#)

[4. Ogień. Lis](#)

[5. Ziemia. Jeleń szlachetny](#)

[6. Powietrze. Jerzyk](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Bibliografia](#)

[Polecamy](#)

TO NAJBARDZIEJ INTELIGENTNA I WCIĄGAJĄCA KSIĄŻKA
PRZYRODNICZA, JAKĄ BĘDZIECIE MIELI PRZYJEMNOŚĆ PRZECZYTAĆ!

Pięknie napisana, refleksyjna, a zarazem dowcipna opowieść człowieka, który z czułością i pasją podpatruje pory roku mijające jedna po drugiej na łące tętniącej życiem. John Lewis-Stempel, mieszkający na pograniczu Anglii i Walii, nie tylko obdarzony jest zmysłem uważnej i życzliwej obserwacji, ale też wszystkożerną, typowo angielską ciekawością. Autor poznał rozmaite gatunki roślin i zwierząt żyjących w jego okolicy i potrafi o nich opowiadać w niezrównany oraz zachwycający sposób. Kto raz zanurzy się w ten poetycki świat pieszych wędrówek po terenach Herefordshire, ten na zawsze zmieni sposób myślenia o otaczającej przyrodzie.

„Prywatne życie łąki” zostało uhonorowane prestiżową brytyjską nagrodą dla najlepszych książek przyrodniczych – The Wainwright Prize 2015.

